

Jerzy Urban
Ostatni wywiad

Wojciech Klicki
Służby mogą podsłuchiwać każdego

Wojciech Łuczak
Nuklearna łamigłówka Putina

Pośmierne kłopoty
Ewy Demarczyk

Mamy 4 miliony magistrów

MAGISTER

CZYLI KTO?

ISSN: 1509-3115 Indeks: 353299



NAGRODZONY SREBRNYM NIEDŹWIEDZIEM REŻYSERSKI DEBIUT NATALII LÓPEZ GALLARDO

UKRYTY KLEJNOT

BŁYSZCZY JAK ZMYŚŁOWE DOZNANIE



MFF
W LONDYNIE



MFF
W JEROZOLIMIE



MOTOVUN
FILM FESTIVAL



MFF
W SAN SEBASTIAN



Srebrny Niedźwiedź

72

Internationale
Filmfestspiele
Berlin

Nagroda Jury



W KINACH OD 14.10.2022

AURORA



Żegnaj, Redaktorze

Tego miejsca nikt nie wypełni. Jerzy Urban był w dziejach polskiej prasy kategorią osobną. Samą w sobie. Jeden człowiek, a jak orkiestra. Z wieloma talentami. Ale przede wszystkim z charakterem. Był wolnym ptakiem, który fruwał wysoko i zwykle według swoich zasad. Trzeba mieć charakter, by przez całe życie, przez dziesiątki lat, boksować się z głupotą, bezprawiem i hipokryzją. Kto, zwłaszcza z młodszych, wie, że Urban miał kłopoty z każdą władzą. Po rozwiązaniu przez Gomułkę „Po Prostu”, tygodnika, który był symbolem odnowy w Październiku '56, Urban stracił pracę za krytyczne reportaże. Miał wilczy bilet i pisał pod pseudonimami. Na łamy „Polityki” wrócił pod własnym nazwiskiem po odejściu Gomułki. I w latach 70. odgrywał w niej kluczową rolę. A gdy Rakowski został wicepremierem, przyjął rolę rzecznika rządu. W czasie stanu wojennego i później była to rola sapera na polu pełnym min. Urban zmienił styl rzecznikowania, jego konferencje były widowiskami, które oglądały miliony ludzi. Radził sobie, choć oszukany przez MSW nie uniknął wpadki.

Wtedy podzielona była nie tylko Polska. Urban miał wrogów na opozycji, ale też wśród aparatu partyjnego i służb. Dość skutecznie wpływał na opinie zagranicznych dziennikarzy o Polsce. A przede wszystkim na ludzi

władzy i społeczeństwo. Popierała go połowa oglądających konferencje, czyli ok. 8 mln ludzi.

Po zmianie ustroju napisał „Alfabet Urbana” i po sprzedaniu rekordowych 700 tys. egzemplarzy założył tygodnik „Nie”. Pismo tak prześmiewcze, że już przy winiecie ostrzegało, że „zawiera wulgarne słowa oraz nieprzyzwoite, a nawet antyrządowe i przeciwkościelne treści”. A w środku było jeszcze ostrzej. Nie znam drugiego czasopisma, które by przez 30 lat wydrukowało tyle udokumentowanych śledztw dziennikarskich. I ujawniło tyle afer. „Nie” brało się za bary z najtrudniejszymi problemami i najważniejszymi politykami. Demaskowało hipokryzję kleru i polityków, bez względu na ich przynależność partyjną. Tępiło przestępców w sutannach i garniturach.

Takie pismo mógł wydawać tylko ktoś intelektualnie niezależny, niemieszczący się w szablonach i tak bystry jak Urban. Konkurencja gazetowa przyjęła taktykę przemilczania tych afer albo wracania do nich po jakimś czasie. Oczywiście bez podawania źródeł. Stosunek większości Polaków do Jerzego Urbana jest krańcowo rozciągnięty. Od uwielbienia do nienawiści.

Dla mnie spotkania z Nim zawsze były inspirujące. A jego życzliwość wobec „Przeglądu” zostanie mi w pamięci. Żegnaj, Redaktorze.

BAKOWSKI



SYLWETKI

- 8** Odpowiadają mi obie role:
błazna i mędrca
– ostatni wywiad z Jerzym Urbanem

KRAJ

- 13** Inflacja pomaga rządowi
Wzrost cen korzystny dla budżetu państwa
- 16** Magister, czyli kto
Wyższe wykształcenie a praca
- 22** Rejestr ciąży do polowania na kobiety
Pomoc czy inwigilacja
- 24** Wieś bez lekarza
Brakuje chętnych i placówek
- 28** Jak Europa walczy z Pegasusem
– rozmowa z Wojciechem Klickim

ZAGRANICA

- 32** Nuklearna łamigłówka Putina
Scenariusze na atak atomowy
- 36** Szyjci walczą o Irak
Bagdad w głębokim impasie politycznym
- 38** Giganci polityki
– rozmowa z Henrym Kissingerem
- 52** Wysycha rzeka Kolorado
Korespondencja z USA

HISTORIA

- 42** Pełzająca III wojna światowa
Ofiary konfliktów zbrojnych

KULTURA

- 44** Pieski świat otacza słowa
Nike dla Jerzego Jarniewicza
- 46** W poszukiwaniu straconego czasu
naszej epoki
Literacki Nobel dla Annie Ernaux
- 47** Kulturalia
- 48** Jeno wyjmij mi z tych oczu...
Pośmiertne kłopoty Ewy Demarczyk
- 66** Karolina Skorek. Lux et Umbra

ZWIERZĘTA

- 56** Pies może żyć bardzo długo
– rozmowa z dr Karen Shaw Becker
i Rodneyem Habibem

EKOLOGIA

- 58** Pranie na zielono
Korporacje a ekologia

FELIETONY I KOMENTARZE

- 3** Jerzy Domański
Zegnaj, Redaktorze
- 21** Jan Widacki
Gruba kreska po raz drugi!
- 31** Andrzej Romanowski
Wielebne głupstwo
- 35** Roman Kurkiewicz
Urban z pokojowym Noblem literackim
- 45** Wojciech Kuczok
Nie czytałem
- 55** Tomasz Jastrun
Na Śmiałej

22

KRAJ



REJESTR CIĄŻ DO POLOWANIA NA KOBIETY

Pomoc czy inwigilacja



46

KULTURA

W POSZUKIWANIU STRACONEGO CZASU NASZEJ EPOKI

Literacki Nobel dla Annie Ernaux

52

ZAGRANICA



WYSYCHA RZĘKA KOLORADO

Korespondencja z USA

Projekt okładki: Daria Słowińska-Kettner





Czy Czarzasty chce łapać wyborców, czy Tuska za nogi?



Lewicę należałoby zresetować. Ustanowić od nowa. Do władz partyjnych i rządowych należy wskazywać przedstawicieli zależnych od mandatu wyborców, bo inaczej są zależni od Czarzastego, Tuska czy Kaczyńskiego. Ale jeszcze gorsze jest, gdy wybrani do władz są zależni od lobbystów lub sterujących hakami. Szkoda mi Adriana Zandberga, ale na Nową Lewicę Włodzimierza Czarzastego głosu ważnego nie oddam.

Józef Brzozowski



IPN od Kieresa do Nawrockiego

IPN to bezpieczna przystań dla nominatów politycznych, „historyków” bez żadnego większego dorobku, autorów opracowań polegających na kopiowaniu fragmentów akt z IPN-owskiego archiwum. Jest to instytucja całkowicie niepotrzebna, a wręcz szkodliwa, ponieważ jest też częścią maszyny propagandowej – Orwellowskim Ministerstwem Prawdy zmieniającym historię zgodnie z politycznym zapotrzebowaniem.



Piotr Ciszewski



Wyrzućcie Anię z Zielonego Wzgórza

Co to za bzdury to żądanie usunięcia „Ani” z listy lektur? Przecież to urocza czytanka pokazująca silną, pewną siebie dziewczynkę, która stara się być sobą. Żaden dziecięcy czytelnik nie jest dziś tak naiwny, by myśleć, że realia z tamtego czasu przystają do dzisiejszych. Ania nie spała ze smartfonem w rękę. Litości. A samo przesłanie jest jak najbardziej w porządku.

„Czy to nie przyjemnie, że jest tak dużo rzeczy, które jeszcze poznamy? To właśnie sprawia, że ja się tak cieszę życiem... świat jest taki ciekawy... Nie byłby taki ani w połowie,

gdybyśmy wszystko o nim wiedzieli, prawda?”, „Pamiętaj, że wszystko można zacząć od nowa. Jutro jest zawsze świeże i wolne od błędów”. Prawda, jakie głupoty plotła ta dziewczyna?

Beata Igielska



Czy każdą lekturę, która nie przystaje do obecnych czasów, należy przenosić na emeryturę? Lektury powinny pokazywać również zmiany zachodzące na świecie i w takim kontekście powinno się je omawiać w szkole, a nie od razu wyrzucać. Zmienić należy sposób nauczania na języku polskim. Bo problemem jest brak dyskusji i dopuszczenia innego myślenia o lekturach niż to, którego poloniści „nauczyli się” na studiach. A tak na marginesie – Ania była wojującą feministką i wbrew wszystkiemu skończyła uniwersytet. Dosyć postępowe, jak na tamte czasy.

Dominika Śmigiel

Oj nie, absolutnie nie wyrzucać „Ani”! To jedna z piękniejszych książek, jakie zdarzyło mi się czytać. Może trochę naiwna (w końcu autorka była żoną pastora i zajmowała się domem, z dala od prawdziwego życia), ale pełna pozytywnego przekazu, który powinien trafić do dzieci w odpowiednim wieku.

Przemysław Jańczak

A co powiecie na powieści Jane Austen, tak często ekranizowane, w których panny na potęgę szukają mężów, bo jak nie znajdą, to im biada? „W pustyni i w puszczy” też było krytykowane, i to już za komuny, bo w złym świetle pokazano Mahdiego. I co? Zakazać? Nadmierne wzmoczenie ideologiczne prowadzi do śmieszności, chyba że ten tekst o „Ani” jest jedną wielką prowokacją, by właśnie taką dyskusję wywołać.

Grażyna Minkowska

ZDJĘCIE TYGODNIA

Krzysztof Żuczkowski

Na Cmentarzu Powstańców Warszawy na Woli otwarto Izbę Pamięci. Dzięki staraniom Wandy Traczyk-Stawskiej i Społecznego Komitetu ds. Cmentarza Powstańców Warszawy upamiętniono tysiące poległych mieszkańców stolicy.



Minister spraw zagranicznych **Zbigniew Rau** wystosował do rządu Niemiec notę dyplomatyczną w sprawie odszkodowań za II wojnę światową. Wbrew propagandzie PiS Polska domaga się nie reparacji, lecz odszkodowania za materialne i niematerialne szkody wyrządzone państwu polskiemu.

1 mln euro kary dziennie płacimy za niewykonanie orzeczenia Trybunału Sprawiedliwości Unii Europejskiej. Razem jest to już ponad **340 mln euro**.

2 października, w rocznicę upadku powstania warszawskiego, otwarto **Izbę Pamięci na Cmentarzu Powstańców Warszawy**. W 177 zbiorowych mogiłach oraz kurhanie skrywającym ludzkie prochy spoczywa ponad 104 tys. osób, głównie cywilów, którzy zginęli w czasie powstania. Ta tragedia jest niestety bardzo oszczędnie prezentowana w Muzeum Powstania Warszawskiego.

Jerzy Jarniewicz za tom poetycki „**Mondo cane**” otrzymał Nagrodę Literacką Nike, statuetkę zaprojektowaną przez Gustawa Zemłę oraz 100 tys. zł.

Przymusowa restrukturyzacja **Getin Noble Banku**, czyli w praktyce jego likwidacja, będzie kosztowała ok. 10,3 mld zł, z czego 6,9 mld zł wyłoży Bankowy Fundusz Gwarancyjny. Zdaniem **Leszka Czarneckiego**, współwłaściciela banku, jest to decyzja polityczna, ponieważ odmówił zapłacenia rządzącym łapówki.

Wicepremier **Henryk Kowalczyk** zapewniał, że dopłaty do nawozów sztucznych rolnicy dostaną do końca sierpnia. Na początku października na kasę czekało jeszcze 95 tys. rolników.

Co oznacza, że co czwarty został oszukany.

Żywność podrożała we wrześniu o 19,3%, licząc rok do roku. A w stosunku do sierpnia wskaźnik cen konsumpcyjnych wzrósł o 1,6%.

Ewa Kusz, psycholożka o specjalizacji z seksuologii i terapeutka związana z Kościołem, została powołana przez papieża Franciszka do **Papieskiej Komisji ds. Ochrony Nieletnich**.

Polacy nie chcą, aby były prezes TVP Jacek Kurski objął stanowisko ministerialne. 59,2% nie chce tego zdecydowanie, a 22,4% raczej nie chce (sondaż IBRIS dla „Rzeczpospolitej”).

Około 7,7 mln emerytów i rencistów dostało 14. emeryturę w pełnej wysokości, czyli 1338,44 zł brutto, a ok. 1,3 mln pomniejszoną.

1 października w ramach **Nocy Bibliotek** w 1,4 tys. bibliotek w całej Polsce była okazja do spotkań z pisarzami i poetami, prezentacji, warsztatów, filmów i występów. Brawo!

Instalacja Zwartowo w województwie pomorskim jest największą farmą fotowoltaiczną w Europie Środkowo-Wschodniej. Zajmuje powierzchnię 300 ha i docelowo ma dostarczyć energię do ok. 153 tys. gospodarstw domowych („Angora”).

744 obcokrajowców ubiega się w Polsce o ochronę międzynarodową. Najwięcej jest obywateli Rosji (508), Ukrainy (75), Białorusi (41), Iraku (24) i Afganistanu (22). W luksusy nie opływają. Stawkę dzienną wyżywienia podniesiono z 9 do 11 zł („Rzeczpospolita”).

98% ciężkiego transportu w Polsce to diesle.

PRZEBŁYSKI

Wróci czy nie wróci?

Krótkoterminowa banicja Piotra Kraśki zdaje się dobiegać końca. Grunt pod powrót na wizję przygotował sam Kraśko w rozmowie w „Dzień Dobry TVN”. Dobrze zagrał rolę biednego, cierpiącego misia, który, choć popełnił wiele błędów, ma wrażenie, że za nie dużo płaci. Niestety, do Kraśki ciągle nie dotarło, że jazda bez prawa jazdy i oszukiwanie skarbowki to nie są błędy. To są przestępstwa. Za które zwykły obywatel poniósłby surową karę. A Kraśko? W listopadzie chce wrócić do pracy. I do widzów, którzy będą się zastanawiać, jaka twarz Kraśki jest prawdziwa. I czy „wolne media” nie mogłyby widzów uwolnić od kogoś, co prawo ma za nic.



Nie to kazanie premiera

Prymusem w nauce Morawiecki nigdy nie był. Najpierw zajęło go robienie kasy. A teraz obrona posady, która wisi na siwym włosie Kaczyńskiego. Łapie się więc chłop każdej okazji, by zapunktować w elektoracie. W 75-lecie urodzin Jerzego Popiełuszki zrobił sobie fotkę przy jego grobie i błysnął cytatem. Miało to być coś z Popiełuszki. A było ze zbioru kazań franciszkanina Szymona Leona Grodzkiego. Na dodatek z błędem. Pewnie nikt z czytelników by tego nie rozróżnił. Ale też nikt nie jest kłamczuchem w skórze premiera.



Śmigulski wie, komu dać

W grudniu kończy się pięcioletnia kadencja obecnego dyrektora Polskiego Instytutu Sztuki Filmowej. Spadochroniarza z Totalizatora Sportowego. Wybrany przez PiS Radosław Śmigulski wcześniej miał śladowy kontakt z branżą. Ale dla PiS to atut i częsta praktyka. Śmigulski nie zawiódł pokładanych w nim nadziei. Dysponując budżetem w wysokości 250 mln zł, jak chciał komuś dać dotację na film, to dał. Ale jak później się rozmyślił, to zabierał. Wybory miał czytelne. Wojciechowi Smarzowskiemu na „Wesele” nie dał. A Ewie Stankiewicz, tej od Smoleńska, dał pięć baniek. I czego tu nie rozumiecie? Śmigulski to pewny kandydat na drugą kadencję.



Seks za wyjazd

Coś musi być w Opolu nie tak. Bo jak nie kolejny wyglup Janusza Kowalskiego, od niedawna także rolniczej twarzy Solidarnej Polski, to do pieca daje kuria. Ks. Wojciech Lipa nie jest już kanclerzem Kurii Diecezjalnej w Opolu ani wikariuszem biskupiego urzędu ds. kultu i dyscypliny sakramentu. Drugi człowiek w kurii po bp. Andrzeju Czai trafił do... archiwum. Będzie tam robił za kierownika. Opolanie mówią, że ma to związek z ks. Rafałem Cudokiem, który publicznie głosi, że jego przełożeni w zamian za wyjazd na parafię do Włoch domagają się od niego seksu. Nagrał kanclerza, który żądał, by „ściągnął gacie”. A biegła sądowa stwierdziła, że to głosił ks. Lippa.



PYTANIE TYGODNIA | Dlaczego powinno się wprowadzić 0% VAT na książki, gazety i czasopisma?

MAREK FRĄCKOWIAK,
prezes Izby Wydawców Prasy

Prasa w Polsce jest w bardzo trudnej sytuacji, przede wszystkim z powodu gwałtownego wzrostu kosztów jej wydawania. Papier podrożał o ponad 100%, a przed nami zapowiedziane wielu drukarniom bardzo wysokie podwyżki cen energii. Do kryzysu przyczyniła się również pandemia – wprowadzone wtedy restrykcje w sprzedaży, a na początku nawet w poruszaniu się ludzi. Wiele tytułów już upadło, padają całe wydawnictwa, a to zjawisko będzie się pogłębiało. Przełoży się ono nie tylko na spadek czytelnictwa gazet i czasopism, będącego ważną częścią kultury, ale także na sytuację ekonomiczną – utratę miejsc pracy przez dziennikarzy, wydawców, ludzi zatrudnionych w wydawnictwach, drukarniach, dystrybucji i sprzedaży. Wprowadzenie zerowej stawki VAT

na całą prasę, o co wnioskujemy już od dawna, a co od wiosny jest formalnie możliwe, byłoby w tej sytuacji istotną pomocą dla naszej branży i branż powiązanych. Unijna dyrektywa o VAT daje rządowi taką możliwość, to kwestia jednej prostej decyzji.

RAFAŁ SKĄPSKI,
prezes Polskiego Towarzystwa Wydawców Książek

Mija prawie 20 lat, odkąd negocjując przystąpienie do Unii Europejskiej, uzyskaliśmy na okres pięciu lat zerową stawkę VAT na książki i czasopisma. Byłem wówczas wiceministrem kultury odpowiedzialnym za sprawy książki, ale też za sprawy akcesji do Unii. Po pięciu latach jako prezes PTWK zainicjowałem rozmowy środowiska wydawców z rządem (naszym partnerem był Michał Boni), by przedłużyć obowiązywanie tej stawki.

Nie udało się. Nie zmieniłem zdania – jestem nadal za stawką zerową. Widzę w tym szansę na zahamowanie wzrostu cen książek i prasy, a co za tym idzie, na powstrzymanie spadku czytelnictwa.

DR WIESŁAW UCHAŃSKI,
prezes Wydawnictwa Iskry

Każdy ruch niepozwalający na wzrost cen książek lub je obniżający jest ruchem słusznym i pożądanym bez względu na to, jakie rzeczywiste skutki w złotówkach on wywołuje. Skutki niewprowadzenia zerowej stawki VAT na książki nie byłyby może bardzo odczuwalne, ale mogłyby dodatkowo przynębiać czytelnika. Kiedy ma się poczucie, że wszystko drożeje, opanowuje wówczas człowieka beznadzieja i mówi: „A nie, to ja nie chcę”.

Not. Michał Sobczyk

Odpowiadają mi obie role: błazna i mędrca

Z JERZYM URBANEM

rozmawiają Bożena Przytńska, Paweł Sękowski, Robert Walenciak
(najnowsze wydanie pisma **ZDANIE**)

(...) Jerzy Urban: Ja np. nienawidzę PiS...

Bożena Przytńska: I wstydzi się pan tego?

JU: – Nie, zupełnie się nie wstydzę. Ale to nie znaczy, że gazowałbym pisowców. Przeciwnie, jestem przeciwnikiem zapowiadanych im na przyszłość procesów. Bo to umacnia ich determinację, żeby zostać przy władzy. Niezależnie od tego, jak by się kształtowały wyborcze sympatie ludności. Antysemityzm też traktuję z pewnym liberalizmem, ponieważ jest to skłonność zła, ale dziedziczna, umacniana przez polskich nacjonalistów i przez Kościół. Czyli przez to wszystko, czego nie lubię.

Paweł Sękowski: Dobrze rozumiem, że pan wybaczają antysemityzm, bo Polacy, którzy są antysemitami, nie są do końca winni, ponieważ oni to dziedziczą kulturowo czy rodzinnie?

Robert Walenciak: Czy to jest swoisty rodzaj pogardy, że są tacy głupi?

PS: Albo pobłażliwości?

JU: – Ja odpowiem historyjką. W czasie okupacji, już po ataku Niemiec na Związek Radziecki, mieszkaliśmy na wsi pod Tarnopolem, ojciec miał licencję na sprzedaż gazet – gadzinówek i niemieckich gazet. To była taka „czapeczka” uzasadniająca nasze przebywanie na wsi. Więc to było tak: jeszcze są Niemcy, a mój ojciec, który przecież nie mógł się utrzymać ze sprzedawania gazet, których nikt nie kupował na wsi, pojechał do miasta powiatowego Tremblowa, żeby sprzedać brylant.

I miał taki sweterek, jaki ja teraz mniej więcej noszę. W ściągaczu miał ukryty brylant. Zajeżdżał do hoteliku, jaki tam był, i zapytał pani siedzącej w recepcji, czy nie wie, gdzie można sprzedać brylant. Ona powiedziała, że wie i że do niego się zgłosi odpowiedni dżentelmen. I przyszedł ten dżentelmen i zapytał, czy woli mu oddać brylant, czy też woli z nim iść na gestapo i pokazać rozporek. Ojciec oczywiście wołał oddać mu brylant... Kiedy przyszli nasi, czyli armia radziecka, ta pani napisała w jakiejś ankiecie czy w innej prasie, że przechowywała Żydów. A kogóż to? No właśnie Urbana przechowywała w swoim hotelu! I ona pretendowała do jakichś fruktów z tego powodu. Komizm sytuacji polegał na tym, że ona przechowywała go przez jedną noc, a poza tym sprowadziła na niego szmalcownika i zapewne podzieliła się z tym szmalcownikiem wartością brylantu. Ale w jej świadomości po wojnie pojawiło się przekonanie, że przechowywała Żyda...

PS: Pomogła, bo nie zadenuncjowała...

JU: – Tak. A w istocie przecież zadenuncjowała.

RW: To pokazuje doskonale mentalność całego polskiego szmalcownictwa.

JU: – Tak, racja. Dzisiaj pisowcy i im podobni starają się nie zadziierać z Żydami, bo wiedzą, że na tym źle się wychodzi, że Żydzi okazują się silniejsi, mając pewne zaplecze światowe. Trochę już przestało u nas mieć znaczenie to rozróżnienie między Żydami a nie-Żydami.

Są zawodowi Żydzi, znaczy żyjący z tego, że są Żydami, ale większość potomków Żydów... No właśnie, nie ma badań, czy dzisiejsi potomkowie Żydów w Polsce mają poczucie jakiejś odrębności. A może w ogóle to już nie gra roli, kim był dziadek? (...)

RW: Kiedyś panu nie wierzyłem w pewnej sprawie, ale potem przekonałem się, że pan nie blefował. Otóż napisał pan, i to w „Alfabcie Urbana”, że Wojciech Jaruzelski jest jedyną pańską polityczną miłością – politykiem, któremu pan zaufał, któremu pan wierzy. Nie znałem wtedy Jaruzelskiego, więc pomyślałem, że Urban oszukuje. Natomiast jak poznałem Jaruzelskiego, to się przekonałem, że na tle innych polityków, których poznałem, on jest wyżej.

JU: – A szczególnie w gronie generałów. Mówiono, nie wiem, czy to prawda, bo go nigdy nie zapytałem, że on, jak był dowódcą dywizji w Szczecinie, kazał czytać „Ulissesa” Joyce’a tym swoim trepom.

RW: To jest całkiem możliwe. Miał w domu biblioteczkę ze Słowackim i cytarami ze Słowackiego jak z rękawa rzucał. Pan, niezależny dziennikarz, nagle idzie za tym gen. Jaruzelskim. Traci pan wtedy przyjaciół, znajomych i opinię osoby niezależnej.

JU: – Ale zawsze patrzyłem na wady polityki Jaruzelskiego i zawsze mu je przedstawiałem. Co zresztą nie było niebezpieczne. Bo on z wielką uwagą przyjmował uwagi.



PS: Co on takiego w sobie miał? Pan darzy go ogromnym szacunkiem, ale właściwie to samo mówił nam w rozmowie „Troje na jednego” dla „Zdania” Adam Michnik.

JU: – Wdzięk, poczucie humoru... On miał wielkie poczucie humoru. Lubił dowcipy, plotki. Za to nie lubił alkoholu, to była jego wada ogromna.

RW: Gdy mówił o polityce, to nie o cwaniakowaniu, tylko o racji stanu, o państwie. Nawet prywatnie tak mówił.

JU: – No bo on bardzo serio traktował siebie, politykę i losy kraju. To wszystko. Jednocześnie będąc łasy plotek, będąc żartownisiem. On nawet odgrywał w skromnym zakresie jakieś scenki kabaretowe, mierzone w osoby, których nie lubił, albo lubił, ale podpatrywał różne słabości. Był to bardzo ciekawy człowiek. Bardzo niejednoznaczny w swojej konstrukcji politycznej i społecznej.

RW: A jak on pana uwiódł politycznie? Co się stało, że pan, osoba niezależna, sceptyczna, nagle się zakochuje w polityku?

JU: – Wstępem do tego była moja niechęć do Solidarności. Już samo to zbliżało mnie do rządzącego Jaruzelskiego. Poza tym to on mi dał posadę rządową, co było dla

mnie niewypowiedzianą rozkoszą, bo ja jestem maniakiem polityki, a nagle znalazłem się wewnątrz, a nie jako obserwator. Przy bliższym poznaniu okazał się zupełnie innym człowiekiem niż ta pocztówka w ciemnych okularach, bardzo ujmującym, bystrym. To był człowiek, który zawsze trafiał w sedno. Cokolwiek by mu tam gędzono, a gędzono mu cały dzień, wychwytywał od razu spod tego potoku słów profesorów i innych zwolenników sedno zjawiska społecznego, politycznego, o którym mowa. Czyli wielka bystrość umysłu.

RW: Czy także uczciwość, prostolinijność?

JU: – On nie był taki prostolinijny. Do każdego mówił co innego, pokazywał inną twarz. Co dowodzi inteligencji i umiejętności, ale nie uczciwości.

RW: To był polityk, wielki gracz oczywiście. Ale pan widział, w co on gra. W co zatem grał Jaruzelski? Jaki był jego polityczny cel?

JU: – Nie odpowiem tak prosto na to pytanie, bo te polityczne cele się zmieniały z biegiem czasu. Skończyło się tak, że był prezydentem III RP. I on, mając prawo weta, w ogóle z niego nie korzystał inaczej, jak tylko w obronie starych towarzyszy.

To znaczy wtedy, gdy trzeba było ich interesy materialne chronić.

PS: Czy to jest do dzisiaj pańska jedyna, pierwsza i ostatnia taka polityczna miłość? Czy np. potem zdołał pana uwieść Aleksander Kwaśniewski?

JU: – Kwaśniewski mnie uwiódł, jak jeszcze nie rządził krajem, czyli jak był ministrem sportu, a potem całokształtem. Osobowością, towarzysko mnie uwiódł – jak Przyłębska Kaczyńskiego.

BP: A czy wśród współczesnych polityków ma pan jeszcze jakieś sympatie, choćby odrobinę porównywalne do tej do Kwaśniewskiego? Czy już nie ma polityków tej klasy?

JU: – Lubię Tuska. Bo to jest jakiś kaliber.

PS: A na lewicy nie ma już takich?

JU: – Nie.

RW: Wracając do lat 80., dlaczego pan nie lubił Solidarności?

JU: – Solidarność była katolicka, rewindykacyjna, prawicowa. W znacznym stopniu te masy były prawicowe, choć trochę było też tych intelektualistów, których lubiłem. (...)

RW: A jednak w 1989, 1990 r. oddawaliście władzę właśnie tej Solidarności. Musieliście to zrobić?

JU: – Tak, no bo komu mieliśmy oddawać?

RW: Tacy Chińczycy nie oddali, Komunistyczna Partia Chin władzy nie oddała.

JU: – Bo ona miała tę mądrość, żeby robić kapitalizm w socjalizmie, a myśmy ciągle wierzyli, że socjalizm to jest coś innego.

RW: Naprawdę? Mówił przecież Rakowski, że stół suto zastawiony jest dla Polaków ważniejszy od okrągłego. Był też Mieczysław Wilczek i jego reformy. Czy naprawdę nie było alternatywy?

JU: – Rakowski tak mówił, bo to nie on Okrągły Stół robił. Decyzje podejmował Jaruzelski – gdzie ustąpić, gdzie się upierać. (...)

PS: Geopolityczny punkt widzenia przede wszystkim? Że nie ma alternatywy, że to jest optymalny system z punktu widzenia polskiej racji stanu?

► **JU:** – Też. Mnie to trudno w czasie umieszczać, ale pamiętam, że chodziłem do Jaruzelskiego codziennie, co wieczór. Byłem wzywany przez jego adiutantów wtedy, kiedy wychodził ambasador Związku Radzieckiego Borys Aristow. Więc mijałem się z nim i kłaniał się sobie w takiej galerijce łączącej gabinet Jaruzelskiego z głównym gmachem Urzędu Rady Ministrów, no i nadziewałem się na umęczenie Jaruzelskiego tymi codziennymi, ciewiecznymi molestowaniami. Nigdy mi Jaruzelski nie zdradzał, o czym oni mówili. Aristow też nigdy ze mną nie rozmawiał. Ale widziałem, co tu się przede mną działo.

PS: Wracając do pańskich stosunków z ludźmi opozycji w okresie Polski Ludowej, jak pan się czuł, kiedy musiał pan potępiać różnych ludzi, z którymi był na stopie towarzyskiej – to też jest pytanie, czy tak było, bo nie wiem – albo przynajmniej nie miał z nimi złych relacji.

Pierwszy przychodzi mi do głowy oczywiście Adam Michnik. Jak to było z tym Michnikiem?

JU: – Michnik wiedział, że mimo całego mojego jazgotu przeciwko niemu i całej tej grupie ja bardzo dbałem o interesy Adama, czasem przesadnie. Na przykład na posiedzeniu rządu, czyli protokołowanym, oburzałem się, że chcą mu odebrać w celi kolorowy telewizor i wstawić czarno-biały. Bo to już była represja. Albo że chcą mu odebrać mieszkanie, w którym do dziś mieszka. Mówiłem, że tylko za stalinizmu odbierali mieszkania. To ja pośredniczyłem w tym, żeby mógł pisać po cichu w „Życiu Gospodarczym” u Głównicy. To takie moje grzeczności wobec Michnika, którego zawsze lubiłem. Ale wtedy nie komunikowaliśmy się.

PS: Czyli to była jednostronna przysługa, „po starej znajomości”?

JU: – On nigdy się ode mnie nie odcinał.

PS: To jest zresztą moim zdaniem ładna cecha: Adam Michnik

nie ukrywa, że kogoś zna. A było więcej takich „Michników”? Takich osób, które starał się pan kryć czy bronić, otoczyć jakimś kłosem?

JU: – Nie, ale sympatyzowałem z Tadeuszem Mazowieckim, którego znałem z okresu 1956 r. On wtedy odchodził z PAX. Jesienią 1956 r. przyszedł do „Po Prostu”, żeby tam jakiś manifest wydrukować.

PS: Środowiska tzw. Frondy z PAX.

JU: – Tak i wtedy go poznałem. A potem on bardzo kurtuazyjnie mnie wyrzucał ze stanowiska prezesa telewizji.

PS: Mówimy teraz o jesieni 1989 r. Jeszcze jedno pytanie, które muszę zadać w odniesieniu do okresu, gdy był pan rzecznikiem prasowym rządu PRL. O sprawę zabójstwa ks. Jerzego Popiełuszki. Czy od początku uważaliście, że to jest intryga na szczytach, że ktoś chce podkopać ekipę gen. Jaruzelskiego? To się łączy dzisiaj zazwyczaj z Mirosławem Milewskim. Czy wtedy też tak pan myślał? I czy pan tak myśli dzisiaj?

ALEKSANDER KWAŚNIEWSKI:

Obojętnych wobec Jerzego Urbana nie było

Jerzy Urban! W wywiadzie dla „Zdania”, zapewne ostatnim, którego udzielił, puentuje bardzo interesującą rozmowę stwierdzeniem: „Odpowiadają mi obie role: i błazna, i mędrca”. I taki był. Wybitny dziennikarz, felietonista. Przenikliwy analityk polityki. Człowiek lewicy zaangażowany w reformę systemu – od „Po Prostu”, przez „Politykę”, do współautorstwa w 1986 r. memorandum o koniecznych zmianach politycznych.

Lojalny współpracownik Wojciecha Jaruzelskiego, który miał ogromny wpływ na ewolucję postawy Generała – od stanu wojennego do Okrągłego Stołu.

Był też błyskotliwym, przewrotnym błaznem, prześmiewcą, krytykiem zakłamania, obłud, bohaterstwa, narodowych wzmożeń.

Prowokacje, skandale, wulgaryzmy to była jego metoda, ale i tarcza ochronna tego w istocie delikatnego człowieka.

Jego tygodnik „Nie” walczył z tym, czego Jerzy Urban nie znosił i obawiał się – z nacjonalizmem, ksenofobią, hipokryzją ludzi i instytucji, szczególnie Kościoła.

Był kontrowersyjny z charakteru i wyboru. Miał dużo wrogów, jeszcze więcej krytyków i nie mniej zwolenników, ostatnio wielu wśród młodego pokolenia w sieci. Obojętnych wobec Jerzego Urbana nie było, bo nie sposób było nie zauważyć tej wyrazistej, aktywnej, złośliwej i wrażliwej, nadzwyczajnie inteligentnej postaci.

OLGA LIPIŃSKA:

Odszedł Jerzy Urban – wielka strata

Jak bardzo Jerzy Urban nie pasował do mentalności „prawdziwych Polaków”, świadczy tragiczne nieporozumienie w powszechnej jego ocenie. Miał umysł światlejszy od światłych, co już było niewybaczalne.

Za to, co mówił, pisał i robił, powinniśmy go szanować i chronić. Tak, chronić przede wszystkim za to, że mogliśmy się czuć bezpiecznie przed różnymi groźnymi poczynaniami rządzących nami psychopatów. Urban dawał nam poczucie bezpieczeństwa i pewność, że wszelkie bezprawie, zło i świństwo zostanie pokazane publicznie, opisane i właściwie osądzone. Stąd popularność tygodnika „Nie”. Urban zawsze uderzał bez zbytecznych słów w samo sedno nieprawości, oszustwa i zło-dziejstwa. Uderzał ostro i adekwatnym językiem.

To nieprawda i oszczerstwo, że Urban był wulgarnym cynikiem. Wręcz przeciwnie, był wrażliwym człowiekiem. Bolała go dotkliwie bezmyślność, krzywa gęba tej fałszywej „prawdziwej” polskości.

Urban był szaleńczo odważny w bitwach z polską głupotą. Od lat 50., kiedy pisał o lizusowskim polskim stalinizmie (co było groźne i ryzykowne), przyczyniał się wybitnie swoją postawą i publicystyką do przemian roku '56. Ta szaleńcza odwaga nie opuszczała go nawet w czasach naszej koślawej demokracji.

Za to, że wyrzywał z korzeniami bezprawie, świństwo i zło, bezrozumna gawiedź oskarżała go i jazgotała, że to właśnie on, Urban, jest największym złem i świństwem. Nieustający hejt nie opuszczał go do końca życia.

JU: – Tak myślałam wtedy i tak myślę dzisiaj. A źródłem tego myślenia był Kiszczak, który wręcz histeryzował po tym wydarzeniu, że znaleźli u tych chłopców z IV Departamentu całą szafę kajdanków. „I dla kogo oni te kajdanki szykowali? Dla nas!”.

RW: Był pan w „zespole trzech”, razem z Władysławem Pożogą i Stanisławem Ciosek, który w drugiej połowie lat 80. przygotowywał dla Jaruzelskiego raporty. Pożoga wam dostarczał materiały, Ciosek gadał, a pan pisał, to wiadomo. Czy miały one wpływ na Jaruzelskiego?

JU: – Tak. Oczywiście nie taki, żeby on wykonywał, co my proponowaliśmy, ale wybierał z tego rzeczy, które mu odpowiadały. Nadto samo czytanie tych raportów, uzasadnień, oddziaływało na jego myślenie polityczne. Wiedział, że to piszą ludzie życzliwi mu, krytyczni, ale w szczerzej trosce nie tylko o ukochaną Polskę, ale także o niego. A pisaliśmy, że jesteśmy już po prostu słabi. Tutaj sprawy ekonomiczne miały znaczenie.

BP: W 1992 r. powiedział pan, że jeśli w Polsce zrodzi się prawicowa dyktatura, to Kościół – nielubiący z natury rzeczy demokracji – stanie się jej filarem. To było 30 lat temu. Dzisiaj to właśnie się stało.

Co będzie dalej?

JU: – Z Kościołem?

RW: Z Kościołem i z nami.

JU: – Kościół słabnie, jak wiadomo.

BP: Ale tylko w społeczeństwie, nie w strukturach władzy. To są jednak dwie różne sprawy.

JU: – Ale jak zmienimy struktury władzy, to już zupełnie osłabnie. Jeśli naprawdę wejdziemy mentalnie, politycznie i ekonomicznie do Europy, to Kościół w Polsce czeka los Kościoła w Europie Zachodniej. Czyli niszwowej organizacji o niszowych wpływach. Ku temu idzie. Badania socjologiczne wskazują, że Kościół traci, traci i traci. Już go prawie nie ma w wielkich miastach.

PS: No dobrze, ale pan mówi, że popiera Tuska. A czy Tusk

nie grozi jakimś odgrzaniem koncepcji „Kościoła łagiewnickiego”? Dojdzie do władzy i uzna, że wbrew Kościołowi nie da się rządzić, więc wymyśli swój Kościół, wyciągnijmy swoich „wesołych” księży.

JU: – Może. Ja nie jestem wy-
borcą Tuska. Ja tylko mówię, że on
mi się podoba jako polityk. Że jest
jedynym poza Kwaśniewskim żyją-
cym politykiem o tego rodzaju kal-
ibrze, myśleniu o świecie, ogłądzie,
sprawności myślowej, pewnego ty-
pu charzmie.

PS: Ale nie zgłasza pan na Tuska?

JU: – Nie, skądże. Będę jak idiota głosował na lewicę. (...)

PS: Do Nowej Lewicy jednak pan nie wszedł. A dlaczego w 2002 r. poszedł pan na zwanie z rządzącą wówczas lewicą? Pan i tygodnik „Nie” bierzecie rozbrat z SLD, zaczyna pan krytykować rząd, trochę też prezydenta Kwaśniewskiego, za zdradę ideałów lewicowych.

JU: – Leszek Miller, mój bliski
wówczas przyjaciel, pierwsze, co ►

Na szczęście on nic sobie z tego nie robił. Robił swoje do końca. Ja osobiście dziękuję Jerzemu Urbanowi za edukację i za to, że był.

STANISŁAW CIOSEK: Mieszkaliśmy po sąsiedzku

Jerzy Urban... Znałem go w dwojaki sposób. Po pierwsze, blisko współpracowaliśmy u gen. Jaruzelskiego. A po drugie, mieszkaliśmy po sąsiedzku przez kilka lat na Powiślu w Warszawie. Drzwi w drzwi. No i widywaliśmy się na co dzień. W kapiach, w pizamie. Normalne sąsiedzkie życie.

Była taka książka „Dr Jekyll i pan Hyde”... Więc Jerzy Urban też miał dwie twarze. Tę pierwszą znali ludzie z zewnątrz – maskę złośliwego kpiarza, lubiącego wsadzać szpile tym, którzy stanęli mu na drodze, budzącego niechęć do siebie, wręcz do tej niechęci prowokującego. Ja miałem tę rzadką okazję poznać jego drugą twarz. Człowieka bardzo wrażliwego. I myślę, że ta właśnie twarz była bliższa jego naturze niż maska kpiarza.

Wydaje mi się, że rozumiem, dlaczego tę maskę przybierał. Małe żydowskie dziecko, żeby przetrwać w otoczeniu śmiertelnego zagrożenia, musiało grać kogoś innego. W ten sposób maska stała się jego drugą osobowością.

Z naszych sąsiedzkich kontaktów pamiętam jeszcze jedno – stukot maszyny do pisania. Regularnie o piątej rano zaczynał pisać... Przyzwyczailem się do tego. Widziałem zresztą te maszynopisy. Pełno było poprawek na tych tekstach maszynowych. Czytelował bardzo. Każde słowo było przemyślane, dobrane.

Nasze kontakty z biegiem lat osłabły, zwłaszcza że w roku 2005 odszedłem na emeryturę po skończonej kadencji Aleksandra Kwaśniewskiego. A on pozostał czynnym politykiem. Co tydzień był w polityce. Co tydzień w „Nie” potwierdzał swoją błyskotliwą inteligencję.

Nawiasem mówiąc, poczuwam się do współautorstwa „Nie”, w nazwie, nie w treści. Otóż kiedyś, w roku 1989, kiedy wszystko się sypało, nie wiadomo było, co będzie, spacerowaliśmy po Wilanowie. Przeskakivaliśmy kartofliska – dziś stoją tam domy – i zastanawialiśmy się, co ze sobą zrobić. Gdy chodziło o Urbana, powiedziałem: „Jurku, przecież ty się składasz ze słowa »nie«. Ty wszystko robiłeś w swoim życiu na »nie«”. On wtedy uniósł palec do góry i zawołał: „Mam! Kupuję!”. To było takie drobne zdarzenie...

Gen. Jaruzelski go szanował. I z lubością korzystał z jego talentów. Gdy miał zamiar wsadzić kornuś w inteligentny sposób szpilę, potrafił zachęcić go do tego, podpowiedzieć niektóre rzeczy. I z przyjemnością patrzył, jak Urban to wykonuje.

Korzystał też z jego politycznych rad. Na bieżąco, no i czytając „raporty trzech”. Jak one powstawały? Spotykaliśmy się w tej osławionej Magdalence, gen. Pożoga, Urban i ja. I rozpoczynaliśmy burzę mózgów. Pożoga dostarczał nam znakomitych analiz, pełnych danych i prognoz. Urban był naszym piórem. Ale również mózgiem. Bo był bardzo aktywny w rozmowach. A myśmy w nich puszczali wodze fantazji, w tym kierunku – co robić. W istocie, jak się na to spojrzysz z daleka, te raporty miały chyba większe znaczenie, niż nam się wydawało. Choć o tym, którym pomysłem nadać bieg, decydował gen. Jaruzelski.

Roch Sulima

Powidoki codzienności Obyczajowość Polaków na progu XXI wieku

Wydawnictwo Iskry, Warszawa 2022

„Codziennosc jest modna, zostaje zauważana w naszych rozmowach, wizualizuje ją nieustannie reklama –



czytamy w nocy wydawniczej tej pozycji Iskier. – Staje się odmianą potocznej refleksyjności, jest mitopodobna, nadaje hybrydyczną formę tradycyjnym dziedzinom kultury, takim jak obyczaj, sztuka, religia, polityka, technika. Czy

można dziś zatem mówić już o »upadku w codzienność«? Eseje zebrane w »Powidokach codzienności« podejmują zagadnienia, które mogłyby znaleźć się w klasycznych »opisach obyczajów«. Zorientowana na nowość, prefabrykowana, codzienność podważa sankcje obyczaju, ale też ożywia jego pamięć, postrzega obyczaj jako »utajony język«, w którym wyraża się przecucie niewy-
wrotności świata».

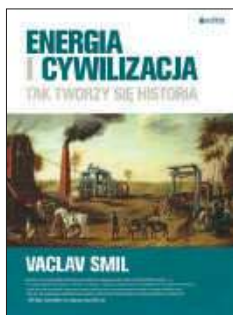
Vaclav Smil

Energia i cywilizacja Tak tworzy się historia

Editio, Gliwice 2022

przeł. Joanna Sugiero

W tym monumentalnym dziele wybitnego myśliciela znajdziemy dogłębne wyjaśnienie znaczenia ludzkich



zdolności przetwarzania energii w odniesieniu do działania mechanizmów kulturowego i cywilizacyjnego postępu w ciągu ostatnich 10 tys. lat. Przedstawiono tu szeroką gamę metod, których użyła ludzkość, aby

zmusić energię do napędzania rozwoju, i zarazem konsekwencje tych procesów: wpływ rosnących możliwości wykorzystania coraz większych ilości energii na życie człowieka. Publikacja pozwala spojrzeć na historię cywilizacji z innej perspektywy.

zrobił jako premier, to ściągł dotację do barów mlecznych. Drugą rzeczą, jaką zrobił, gorszą, było zlikwidowanie ulg komunikacyjnych dla młodzieży dojeżdżającej do szkół. To już miało poważniejsze konsekwencje społeczne, bo oznaczało odcinanie od wykształcenia młodzieży małopolskiej czy wiejskiej. Następnie on co wieczór żarł kolację u innego oligarchy, a nigdy szef lewicy nie zjadł kolacji w rodzinie robotniczej. Co wieczór, jak nie Gudzowaty, to ktoś inny... Ja zresztą spotykałem się z nim u Gudzowatego. Kiedy Jakubowska została szefem gabinetu Millera, to ja jej powiedziałem: „Proszę pani, ja znam rozkład tygodnia Millera, bo mi pokazał – on codziennie je u jakiegoś wielkiego kapitalisty kolację, czyli cały tkwi w środowisku – nie powiem antylewicowym, bo to nie jest to kryterium, ale przecież to oznacza, że ma dwa oblicza”.

PS: I to tak pana zbulwersowało? Wydawało mi się, że takie rzeczy nie ruszają Jerzego Urbana.

JU: – Wzbudziło niesmak.

BP: Przekonał mnie pan dopiero teraz, że ma pan serce po lewej stronie. Bo szczerze mówiąc, dotąd nie wierzyłam za bardzo.

JU: – Po lewej, ale bez biustonosza. A powinienem już... (...)

PS: No dobrze, ale jesteśmy w 2022 r. Co pan sądzi o dzisiejszych realnych liderach lewicy: Włodzimierzu Czarzastym i Robertcie Biedroniu?

JU: – Ja uważam, że Biedroń przechodzi znakomitą reinkarnację w osobie Krzysztofa Śmiszka.

PS: Że on jest tą „lepszą połową”?

JU: – Dużo lepszą. Natomiast Czarzasty to typowy urzędnik partyjny, aparatczyk.

PS: Sprawny menedżer, cokolwiek by mówić.

JU: – Wielkiej przyszłości bym mu nie obiecywał.

•

RW: Po 1989 r., gdy Solidarność wzięła władzę, czy pan się bał, że będzie jakiś rewanż?

JU: – Nie, zupełnie nie.

RW: Czyli to były takie strachy na Lachy, te wszystkie wezwania, żeby rozliczyć komunistów i tym podobne rzeczy?

JU: – Jak mieli rozliczać? Oni zawsze chcą mnie rozliczać za Popiełuszkę.

RW: Pan swoją publicystyką, swoimi tekstami, ich tak dźgał, że chcieliby coś zrobić, ale nie wiedzą za bardzo co.

JU: – Ja już mam wariackie papiery, już mogę wszystko. Wiem, że mnie nie podadzą do sądu, nawet jak napiszę, że Kaczyński jest maciorą na czterech łapach.

BP: Woli pan mieć wariackie papiery czy opinie proroka i celnego felietonisty politycznego?

JU: – Wie pani, już wszystko mi zwisa, bo ja w przyszłym roku skończę 90 lat i jestem poza grą.

PS: A nie obawia się pan, że w świetle lektury naszej rozmowy wyjdzie pan nie na błazna, tylko na mędrca? Istnieje takie ryzyko.

JU: – Istnieje, ale mnie odpowiada i ta rola, i ta.

PS: Myślę, że to jest dobra puenta. Dziękujemy za rozmowę.

Fragmenty wywiadu, który ukazał się w najnowszym wydaniu pisma „Zdanie”, nr 3(194)/2022.

* Rozmowa „Troje na jednego” z Adamem Michnikiem w „Zdaniu” 1/2021.

Odszedł

Jerzy Urban

Wybitny dziennikarz, błyskotliwy felietonista, homo politicus.

Zawsze było Mu bliżej do lewicy.

Mocno wpłynął na poglądy i postawy Polaków. Życzliwie towarzyszył naszemu tygodnikowi.

Żonie, Małgorzacie Daniszewskiej, rodzinie i zespołowi „Nie”

przekazujemy nasze współczucie i wielki żal.

Jerzy Domański, Paweł Dybicz, Robert Walenciak, Marek Czarkowski i zespół „Przeglądu”

Inflacja pomaga rządowi

Wzrost cen dla budżetu państwa bywa zbawieniem. Na koszt społeczeństwa łatwo można się pozbyć długu publicznego

Marek Czarkowski

We wrześniu inflacja przebiła barierę 17% i nie ma zamiaru wyhamować, w Ukrainie trwa wojna, w Europie Zachodniej kryzys, ale nad Wisłą wskaźniki gospodarcze, na razie, są całkiem przyzwoite. Także ze znalezieniem pracy nie ma większych problemów. Tylko na portalu Pracuj.pl zarejestrowanych jest ponad 109 tys. ofert. Główny Urząd Statystyczny podał, że w sierpniu br. poziom bezrobocia wyniósł 4,8% i był to najlepszy wynik od września 1990 r. Jest to tym bardziej imponujące, że w tym roku przyjęliśmy kilka milionów ukraińskich uchodźców, z których znaczna część znalazła w Polsce zatrudnienie.

Na początku września Zakład Ubezpieczeń Społecznych podał, że w pierwszym półroczu 2022 r. nadwyżka w Funduszu Ubezpieczeń Społecznych (FUS) wyniosła 10,23 mld zł. Suma składek na ubezpieczenie społeczne, która w tym czasie wpłynęła na rachunek FUS, sięgnęła zaś 130,1 mld zł i była o 12,9% wyższa od osiągniętej w analogicznym okresie 2021 r.

Co prawda, w związku z 14. emeryturą fundusz otrzymał 17,4 mld zł dotacji z budżetu państwa, lecz nie zmienia to faktu, że całociowy wynik ZUS jest imponujący. Druga połowa bieżącego roku powinna być jeszcze lepsza. Jaka jest tajemnica tego sukcesu?

Na składki trzeba zapracować

Przez lata rodzimi wyznawcy myśli liberalnej głosili tezę o rychłym upadku Zakładu Ubezpieczeń Społecznych, który z powodu kurczących się przychodów nie będzie w stanie wypłacać świadczeń emerytom i rencistom. Ratunkiem miało



We wrześniu żywność podrożała o 19,3%, licząc rok do roku.

być podniesienie wieku emerytalnego dla kobiet i mężczyzn do 67. roku życia. Rząd PO-PSL w maju 2012 r. zrealizował ów postulat, a trzy lata później przegrał wybory.

Za to Prawo i Sprawiedliwość dotrzymało złożonej wyborcom obietnicy i wycofało się z tej niepopularnej zmiany. W lipcu 2019 r.

W czasach PRL Zakład Ubezpieczeń Społecznych miał stałą nadwyżkę przychodów nad wydatkami i nie wymagał pomocy z budżetu państwa. Wtedy jednak cieszyliśmy się pełnym zatrudnieniem, o umowach śmieciowych nikt nie słyszał, a władza od czasu do czasu gnała „niebieskie ptaki” i „nierobów”

Pisowskiej ekipie udało się uszczelnić system. Wskaźnik pokrycia wydatków FUS wpływami ze składek w 2021 r. wyniósł 87,1%. Za rządów PO-PSL w 2010 r. – tylko 55,7%.

Grzegorz Schetyna przyznał, że podniesienie wieku emerytalnego było błędem. Cóż... Najwyraźniej politycy PO nie chcieli wiedzieć, że ZUS będzie działał całkiem sprawnie, pod warunkiem że bezrobocie będzie niskie, a pracodawcy nie będą uchylać się od opłacania składek. Najlepiej od jak najwyższych wynagrodzeń pracowników.

do roboty, traktując osoby niepracujące jako margines społeczny, z którym należy walczyć.

Gdy PiS przejęło władzę w 2015 r., bezrobocie oscylowało wokół 10%. Od tego czasu systematycznie spada i mimo że nie udało się wyeliminować umów śmieciowych ani innych patologii na rynku pracy, przychody Funduszu Ubezpieczeń Społecznych, ▶

► a w konsekwencji także ZUS, systematycznie rosły. W 2016 r. pracodawcy odprowadzili z tytułu składek do FUS 153,2 mld zł, a dotacja z budżetu wyniosła 44,85 mld zł. Rok później wpływy FUS sięgnęły 166,66 mld zł, dotacja budżetowa spadła zaś do 40,24 mld zł. Zaczęto mówić o rekordowo niskim deficycie funduszu. A to był dopiero początek.

Rządowi sprzyjała koniunktura gospodarcza. Pracodawcy mieli środki, by wypłacać rosnące pensje i opłacać składki zusowskie.

W roku 2018 odnotowano kolejny sukces. Wpływy ze składek wzrosły do 182,05 mld zł, dotacja budżetowa spadła do 35,82 mld zł. W 2019 r. było jeszcze lepiej. Pracodawcy odprowadzili do FUS aż 198,3 mld zł. W tym czasie w kraju zatrudnionych było ok. 16 mln osób. Wzrosła też dotacja budżetowa – do 38,9 mld zł. Bezrobocie w październiku 2019 r. było rekordowo niskie – 5%. Inflacja w styczniu tego roku wyniosła zaledwie 0,7%, by w grudniu podskoczyć do 2,6%. Był to rok wyborczy, w którym rząd Mateusza Morawieckiego po raz pierwszy zrealizował wypłatę dodatkowej, 13. emerytury.

Rok 2020 przyniósł pandemię COVID-19 z wszelkimi jej negatywnymi konsekwencjami społecznymi i gospodarczymi. Ale mimo spadku produkcji i osłabienia wzrostu gospodarczego przychody FUS ponownie wzrosły. Tym razem do 209,1 mld zł. Był to efekt tarcz kryzysowych i związanych z nimi ogromnych transferów środków do przedsiębiorstw. W ten sposób rząd nie dopuścił do upadku wielu firm i zwiększenia się bezrobocia. A przy okazji zadbał o finanse ZUS.

W roku 2021 przychody Funduszu Ubezpieczeń Społecznych znowu pobiły rekord – 228,1 mld zł. Obecny rok zapowiada się jeszcze lepiej, a to oznacza, że w 2023 r. rząd będzie miał środki na rekordowe transfery socjalne.

Co ważne, pisowskiej ekipie udało się uszczelnić system. Wskaźnik pokrycia wydatków FUS wpływami

ze składek i ich pochodnych w ubiegłym roku wyniósł 87,1%. W roku 2010, za rządów koalicji PO-PSL, było to zaledwie 55,7% i tylko w roku 2015 przekroczył on 71,9%.

Rządowi sprzyjała koniunktura gospodarcza. Pracodawcy mieli środki, by wypłacać rosnące pensje i opłacać składki zusowskie. Dziś, gdy na wschodzie Ukrainy toczy się wojna,

a Europa drży przed kryzysem energetycznym, rządzący, nie tylko nad Wisłą, szukają odpowiedzi na pytanie, co robić.

Inflacja? Całkiem niezły pomysł.

Jeszcze w marcu 2021 r. inflacja w Polsce wynosiła przyzwoite 3,2%. Potem ruszyła w górę, by we wrześniu br. osiągnąć 17,2%. Wiadomo, że na tym się nie skończy, nie brakuje opinii, że na początku 2023 r. wskaźnik przekroczy 20%. Będzie to wynik niewidziany nad Wisłą od kwietnia 1996 r. I pomyśleć, że gdy pod koniec 2015 r. PiS przejmowało władzę, mieliśmy

nie trwa wiecznie. Gdy zaczęły się problemy, kołem ratunkowym, które los rzucił ekipie Morawieckiego, okazała się inflacja.

Dla większości z nas wzrost cen to bardzo nieprzyjemne zjawisko, które zmienia nasze oszczędności w papier toaletowy. Lecz dla budżetu każdego państwa bywa zbawieniem. Dzięki inflacji łatwo można się pozbyć długu publicznego. Co z tego, że na koszt społeczeństwa. Miało to miejsce we Francji po roku 1945 i ma miejsce dziś w Polsce oraz wielu innych krajach europejskich.

Na koniec grudnia ub.r. nasz dług publiczny w relacji do produktu krajowego brutto wyniósł 56,2% i był tylko o kilka procent wyższy niż w gospodarnej Holandii. Oznacza to, że kryzys finansów publicznych na razie nam nie grozi. To jeden z ukrytych sukcesów rządu Morawieckiego. I nie mogą się z nami równać takie kraje jak rozrzucone Włochy, których dług publiczny w relacji do PKB sięgnął 154,6%, Francja – 115,4%, a nawet z pozoru oszczędne Niemcy – 69,3%.

Według opublikowanych w czerwcu br. danych Ministerstwa Finansów państwowy dług publiczny zmniejszył się w roku ubiegłym o 3,3% w stosunku do roku 2020. A w I kwartale 2022 r. spadł o 11,4 mld zł w porównaniu z grudniem 2021 r.

Dochody podatkowe państwa od stycznia do lipca br. były o 37,2 mld zł wyższe niż w analogicznym okresie 2021 r. To skutek inflacji.

w kraju deflację na poziomie minus 0,6%. Utrzymała się ona do października 2016 r.

Do połowy roku 2021 sytuacja wyglądała nieźle. Rządy Beaty Szydło i Mateusza Morawieckiego oraz Narodowy Bank Polski nie popełniły w tym czasie większych błędów. Inflacja była pod kontrolą, bezrobocie systematycznie spadało, a polityka niskich stóp procentowych prowadzona przez NBP wspierała tani kredyt i wzrost gospodarczy. Gdyby nie pandemia i wojna w Ukrainie, byłoby całkiem dobrze. Jednak nic

Z sierpniowych danych wynika, że dochody podatkowe państwa w okresie od stycznia do lipca br. były o 37,2 mld zł wyższe od dochodów w analogicznym okresie 2021 r. To skutek rosnącej z miesiąca na miesiąc inflacji. Należało tego się spodziewać, gdyż od roku 2020 rząd fundował nam kolejne tarcze – najpierw antycovidowe, potem antykryzysowe, a ostatnio „antyputinowską”. W gospodarkę wpompowano grubo ponad 200 mld zł, by zapobiec stoczeniu się w recesję i wysokie bezrobocie.

Oczywiście Morawiecki i jego ludzie mogli nie robić nic i wywołać falę upadłości, która zdemolowałaby państwo. Mogli też sygnąć groszem i – jak piszą amerykańscy komentatorzy – otrzeć się o recesję.

Wiemy, że premier, przy wsparciu prezesa NBP Adama Glapińskiego, wybrał takie rozwiązanie. I nie był w tym oryginalny. Czy w przyszłym roku będzie można je powtórzyć? Nie wiadomo. To bardzo trudna kombinacja, o czym przekonała się Turcja.

W ubiegłym roku administracja prezydenta Recep Tayyipa Erdoğana dopuściła do 50-procentowej inflacji, lecz utrzymała wzrost gospodarczy na poziomie 10,5%. Tajemnicą sukcesu tureckiej gospodarki jest współpraca z Chinami. Tamtejsi przedsiębiorcy sprowadzają z Państwa Środka półprodukty, głównie wyroby stalowe, chemikalia oraz części RTV i AGD, następnie wytwarzają produkty finalne, które eksportują na rynek europejski i do Rosji. Przykładem niech będą słynne niedgdy japońskie marki telewizorów – Toshiba, JVC oraz Hitachi – które zostały „odkurzone” przez turecki koncern Vestel i są sprzedawane w Europie. Wielkim atutem Turcji jest dostęp do taniej rosyjskiej ropy naftowej i gazu, dzięki czemu tamtejsze przedsiębiorstwa zyskały sporą przewagę konkurencyjną nad europejskimi firmami, które w tym roku dobiega wzrost cen prądu i gazu. Nic dziwnego, że w ostatnim czasie eksport towarów znad Bosforu wzrósł dwukrotnie w stosunku do poziomu sprzed pandemii i jeśli nic się nie zmieni, będzie rósł nadal.

Inflację, która na początku września br. osiągnęła w Turcji 80%, tamtejszy bank centralny zwalcza w niezwykle oryginalny sposób – obniżając stopy procentowe! Dla wielu ekonomistów to czysta herezja, lecz turecki rząd zapowiada, że inflacja wyhamuje, a następnie spadnie, gdy wzrośnie produkcja i pojawi się znacząca nadwyżka w eksporcie. Minister finansów Nureddin Nebati wyjaśnił, że jego kraj walczy z inflacją bez wstrzymywania inwestycji i zamykania produkcji. Choć Turcy narzekają, to na razie

nie protestują i mają nadzieję na poprawę sytuacji, tym bardziej że w II kwartale br. ich gospodarka napędzana popytem krajowym i eksportem wzrosła o 7,6%.

Zapewne politycy Prawa i Sprawiedliwości oraz związani z prawicą ekonomiści z uwagą obserwują to, co dzieje się nad Bosforem. Ale jestem pewien, że nie udałoby się im powtórzyć tureckiego manewru gospodarczego. Poza tym bardziej niż rosnąca inflacja niepokoi ich, czy zimą nie zabraknie węgla na składach.

Rodeo

Jednoczesna walka z inflacją, kryzysem energetycznym w Europie oraz przykrymi konsekwencjami gospodarczymi przypomina jazdę na rozjuszonym byku. Politycy wiedzą, jak łatwo z niego spaść i skrócić kark. Są świadomi, że lansowane w latach 80. i 90. neoliberalne rozwiązania sprowadzające się do prostej zasady „ciąć podatki i wydatki” tym razem nie zadziałają.

Po upadku banku Lehman Brothers w 2008 r. i decyzji administracji prezydenta Busha o wpompowaniu setek miliardów dolarów w amerykański sektor finansowy, by go ratować przed krachem, wiadomo, że to lepsze rozwiązanie niż czekanie, aż poważny kryzys gospodarczy oczyści rynek. Nie tylko polski rząd nie chce dopuścić do recesji i gwałtownego wzrostu bezrobocia. W związku z kryzysem energetycznym w Niemczech zapowiedziano pomoc dla obywateli i małych firm w wysokości ponad 90 mld euro. W kolejce po rządowe dotacje ustawiły się całe sektory niemieckiej gospodarki – poczynając od piekarzy, przez huty szkła i aluminium, na przemyśle samochodowym kończąc. Wszyscy domagają się środków na pokrycie rosnących kosztów nośników energii.

Rząd brytyjski zamroził od stycznia 2023 r. ceny prądu i gazu dla odbiorców indywidualnych. Przez pewien czas mają też być zamrożone ich ceny dla przedsiębiorstw. W podobnym kierunku pójść rządy Francji, Włoch, Hiszpanii oraz innych

państw europejskich. Nikt nie wie, komu uda się jedynie otrzeć o kryzys, a kogo rozdepczą ceny prądu, gazu i szybko rosnąca inflacja.

Jeśli w roku 2020 rząd Morawieckiego pompował miliardy w przedsiębiorstwa, by zdusić w zarodku gwałtowny wzrost bezrobocia i kryzys gospodarczy, to dziś trudno oprzeć się wrażeniu, że premier i jego ministrowie nie mają pojęcia, co robić. Utrzymanie równowagi w gospodarce będzie wymagało od nich nadzwyczajnych umiejętności i sporego kredytu zaufania społecznego. A tego im bardzo brakuje.

Co gorsza, politycy opozycji również nie mają pomysłów. Milczą, niczego nie proponują, czekają, aż Zjednoczona Prawica pójdzie na dno. Nie wiedzą, czy rząd powinien interweniować, pompując miliardy w gospodarkę, czy wzorem prof. Leszka Balcerowicza zdusić inflację, nie licząc się z kosztami społecznymi. Lecz jeśli opozycja w przyszłym roku przejmie władzę i zacznie realizować ten drugi scenariusz, wściekli Polacy szybko zakrzykną: „Wracaj, Jarek, do koryta! Lepszy złodziej niż bandyta”.

Marek Czarkowski

W najnowszym numerze tygodnika „NIE”: Śmierć Jerzego Urbana.



MAGISTER, czyli kto

Ponad połowa magistrów pracuje poza wyuczonym w toku studiów zawodem

Kornel Wawrzyniak

Tytuł magistra, a nawet kilka, przy szukaniu pracy jest przydatny, że o kant wiesz czego potłuc – mówi 34-letni Tomasz, który właśnie zaczął trzeci kierunek studiów magisterskich. Zapytany, dlaczego w takim razie znów pakuje się w studia, odpowiada, że lubi klimat uniwersytetu, a z jego doświadczeń wynika, że dyplomy w ogóle nie liczą się na rynku pracy. – Na moich pierwszych studiach, czyli filozofii,

Na szczególną uwagę zasługuje pokolenie 30-latków, bo to albo spryciarze, którzy pokończyli studia na wszelki wypadek, albo oszukani przez system edukacji frajerzy, którzy uwierzyli w maksimum Ignacego Bałińskiego, że „nauka to potęgi klucz”. – Niestety, część osób nie zna pełnej wersji tego powiedzenia: „Ucz się, ucz, bo nauka to potęgi klucz, a jak klucz będziesz miał sześć, to będziesz cieć i cześć” – ironizuje Anita, która podczas studiów pracowała jako telemarketerka. – Wiedziałam, że po studiach wschodnich niczego

Potwierdzają to kolejne wyniki prognoz zapotrzebowania na pracowników „Barometr Zawodów”, które zlecane są od 2015 r. przez Ministerstwo Rodziny i Polityki Społecznej. To wszystko wydaje się błędnym kołem, na które państwo nie ma żadnego wpływu ani pomysłu, bo szkoły wyższe kształcą, jak chcą, a nie zgodnie z potrzebami rynku. Czy bycie magistrzem jeszcze coś znaczy?

Ucz się, ucz

Od dziesięcioleci utrzymuje się w polskim społeczeństwie pogląd, że wyższe wykształcenie daje większe możliwości na rynku pracy, a na pewno większe zarobki. Reguła ta w 2022 r. sprawdza się w kilkudziesięciu zawodach, takich jak biotechnolog czy prawnik, gdzie trzeba skończyć pięć lat jednolitych studiów, aby w ogóle podjąć pracę, oraz w sferze budżetowej, gdzie wysokość zarobków uzależniona jest m.in. od poziomu wykształcenia, a wtedy dyplom magistra jest więcej wart niż licencjat. – Skończyłem studia historyczne na I stopniu. Póki nie poszedłem pracować w urzędzie, magister nie był mi do

Osoby z wyższym wykształceniem stanowią 23,1% ogółu ludności w wieku 13 lat i więcej.

skasowali nam kierunek nauczycielski, więc zamiast zostać „panem od etyki” w jakimś ogólniaku, zacząłem pisać w agencji copywritingu. Opisywałem m.in. betonowe donice i designerskie krzesła, które kosztowały więcej, niż zarabiałem w miesiąc. Pracowałem też jako realizator dźwięku, byłem kurierem rowerowym, budowałem kolumny hi-fi, no i byłem w dwóch start-upach – wymieniam Tomasz.

Właśnie tak wygląda życie magistra w dzisiejszej Polsce. Niezależnie od kierunku magistrzy odbijają się od pracy do pracy, a wręcz od zawodu do zawodu. Według danych zebranych podczas Narodowego Spisu Powszechnego 2021 mamy ich obecnie prawie 4 mln. Przebranżowienie to ich specjalność, ze względu na ogromną konkurencję na rynku pracy, gdzie według danych GUS osoby z wyższym wykształceniem stanowią 23,1% ogółu ludności w wieku 13 lat i więcej.

nie znajdę, więc zdobywałam doświadczenie zawodowe. Chociaż gdybym została na doktoracie, dzisiaj oglądałbyś mnie w telewizji jako ekspertkę od wojny w Ukrainie. Ostatecznie, jak zresztą większość ludzi, poszłam do korpo.

Anita zapytana, czym się zajmuje w pracy, odpowiada: – Racjonalizowaniem tego, że w ogóle jestem tu do czegoś potrzebna.

Przebranżowienie to specjalność magistrów, ze względu na ogromną konkurencję na rynku pracy.

Organizacja Współpracy Gospodarczej i Rozwoju (Organisation for Economic Co-operation and Development – OECD) już w 2010 r. raportowała, że polski rynek pracy nie jest w stanie wchłonąć więcej magistrów. Jednocześnie od lat istnieje deficyt osób wykształconych zawodowo, z fachem w ręku.

niczego potrzebny. Ale kiedy okazało się, że dostanę do pensji kilka stówek więcej, odezwałem się do promotora i napisałem pracę prawie identyczną jak licencjacka. Nazwałem to poszerzeniem pola badawczego – opowiada z szelmowskim uśmiechem Piotr, który pracuje w urzędzie miasta.



Inauguracja roku akademickiego w Uniwersytecie Gdańskim. 3 października 2022 r.

Czy dyplom magistra ma znaczenie na rynku pracy, pytamy rekruterkę Monikę Ciesielską, prezeskę IMSA Search Global Partners. – Zdobyta edukacja jest nie do przecenienia i należy ją traktować jako fundament w karierze zawodowej. Wystarczy spojrzeć na dostępne w sieci oferty pracy. Rzadko zdarza się, by w ofercie nie pojawiało się oczekiwanie wyższego wykształcenia. Na koniec jednak liczą się de facto doświadczenie, osobowość i motywacja do zmiany oraz dalszego rozwoju zawodowego – podkreśla autorka podcastu „Skrzydlaty HR”.

Bum edukacyjny zaczął się w Polsce na początku lat 90. Między 1990 a 2011 r. pojawiły się 42 nowe uczelnie publiczne i ponad 320 prywatnych. Do edukacji wchodziły wtedy kolejne roczniki z wyżu demograficznego lat 80. W 1990 r. mieliśmy 390 tys. studentów, w 2005 r. – już prawie 2 mln. Według GUS ich liczba zaczęła znacząco spadać w 2011 r. i zatrzymała się w 2020 r. na poziomie ok. 1,2 mln. Drugim czynnikiem, który ułatwiał decyzję o podjęciu studiów, było wprowadzenie w 1999 r. tzw. systemu bolońskiego, który sprawił, że większość jednolitych dotąd studiów podzielono na dwa etapy – trzyletni licencjat i dwa

lata magisterium. Tym sposobem po trzech latach ma się już dyplom uczelni, kierunkami zaś można żonglować, kończąc I stopień w niszowej szkole prywatnej, a magisterium robiąc na renomowanym uniwersytecie, bo o przyjęciu na II stopień decyduje średnia ocen zdobytych na

codziennym niezbyt wymagającą wersję studiów. Założmy też, że stać nas, aby ktoś napisał za nas pracę magisterską, co od dwóch dekad jest bardzo popularnym procedurą. Tym sposobem student musi jedynie przygotować się do obrony nie swojej pracy magisterskiej, nie czerpiąc żadnej wiedzy ze studiów. Oczywiście byłoby krzywdzące uogólnianie, że tak działają wszystkie uczelnie prywatne, ale z praktyki wiadomo, że szczególnie studia zaoczne polegają w wielu przypadkach na pojawianiu się w weekend na zajęciach. Nie sposób również nie wspomnieć o odkryciu dziennikarzy śledczych

„Newsweeka”. Renata Kim i Jakub Korus ujawnili w czerwcu kulisy działania mało znanej uczelni Collegium Humanum – Szkoła Główna Menedżerska z siedzibą w Warszawie. To miejsce zwane jest kuźnią pisowskich kadr. Dyplom CH można zdobyć nawet w dwa miesiące. Uczelnia

Między 1990 a 2011 r. pojawiły się 42 nowe uczelnie publiczne i ponad 320 prywatnych.

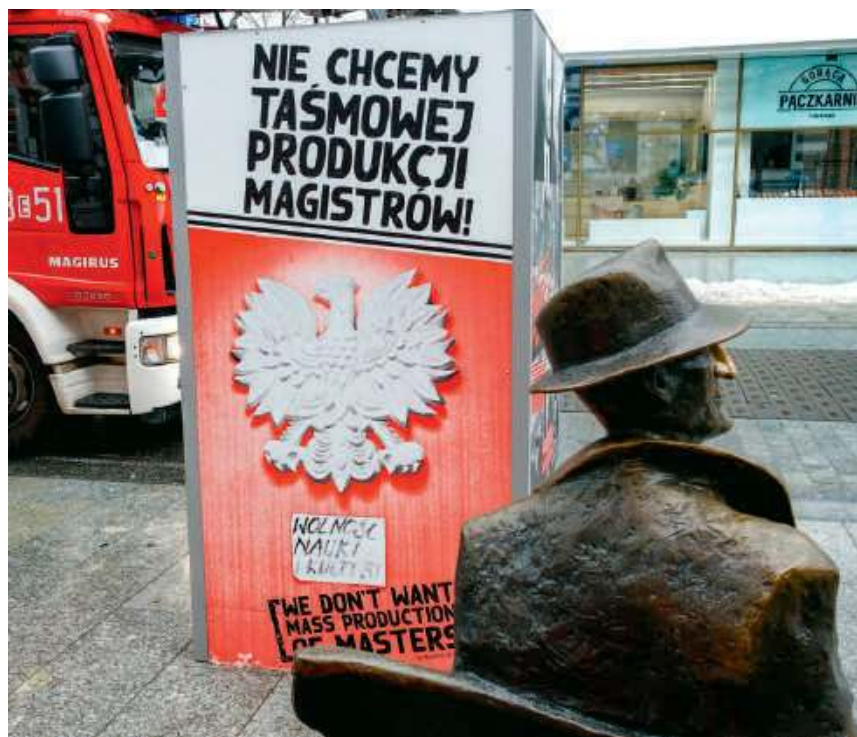
I stopniu. Można zatem skończyć na etapie licencjatu kierunek z piątkami w mało wymagającej szkole wyższej, aby dostać się potem bez problemu na renomowaną uczelnię publiczną.

Wyrób taśmowy

Magisterium straciło na znaczeniu z powodu wysypu prywatnych uczelni, w których wymarzony tytuł zaczął zależeć głównie od zasobności portfela. To dzięki prywatnym placówkom tak popularne stały się studia zaoczne, które po 20 latach konsekwentnego lobbowania przestały być w opinii publicznej gorszą wersją studiów dziennych. Dodajmy do tego system boloński i mamy przepis na niewadzącą w życiu

pomaga głównie pisowskim nominatom w pozyskiwaniu tytułów Master of Business Administration (MBA), które są wymagane od członków rad nadzorczych w spółkach skarbu państwa.

Najistotniejsza zmiana prowadząca do umasowienia dyplomów magistra dokonała się w latach 90. Państwowe szkolnictwo wyższe zderzyło się wtedy z nowym, kapitalistycznym systemem. Państwo zaczęło płacić uczelniom publicznym za studenta. Aby ich pozyskać, hurtowo obniżono więc wymagania podczas rekrutacji na studia, a egzaminy wstępne zamieniono na konkurs świadectw maturalnych. Jednym słowem, postawiono na ilość. Nie trzeba szukać patologii na prywatnych ▶



Wystawa na ul. Piotrkowskiej w Łodzi. Marzec 2021 r.

magistra w zapasie. Główny wniosek z badania przeprowadzonego dla Polskiej Agencji Rozwoju Przedsiębiorczości „Młodzi na rynku pracy – pracownicy, przedsiębiorcy, bezrobotni” zdaje się to potwierdzać: „Poziom i typ ukończonych studiów nie różnicuje istotnie szans zawodowych absolwentów uczelni jedynie w przypadku jednej grupy kierunków: technika, przemysł, budownictwo. W ich przypadku sytuacja zawodowa jest relatywnie dobra zarówno wśród licencjatów, inżynierów, magistrów, jak i magistrów inżynierów. W przypadku pozostałych kierunków sytuacja zawodowa absolwentów zależy od kombinacji takich cech jak: poziom studiów (I i II stopnia) oraz kierunku wykształcenia”.

I tak żyjemy w świecie paradoksu, w którym na wszelki wypadek masowo produkuje się absolwentów studiów II stopnia, którzy często nie pracują w zawodzie zgodnym z wykształceniem. 32-letni Rafał, mimo że skończył gospodarkę przestrzenną, pracuje w agencji reklamowej. – W zawodzie nie przepracowałem ani dnia. Nawet dyplomu nie odebrałem. Chciałem zostać planistą, ale już w trakcie studiów dowiedziałem się, że nic z tego nie będzie. Cała nadzieja była w tym, że mój zawód ureguluje państwo, bo był taki projekt. Ale tego nie zrobiono, więc nie mieliśmy jako absolwenci szans z przy-

spawanymi do stołków architektami pracującymi w urzędach od lat. Znalazłem jednak pracę w branży, która mi się podoba, więc nie ma tego złego... – wzrusza ramionami Rafał.

Z zestawienia „Barometr Zawodów 2021” wynika, że na rynku pracy mamy wystarczającą liczbę magistrów w każdej dziedzinie. Brakuje zaś przedstawicieli ok. 30 zawodów, m.in. pracowników fizycznych, przedstawicieli branży budowlanej, księgowych, piekarzy czy wreszcie medyków. „Barometr” to jednoroczna prognoza sytuacji w zawodach. Zestawienie dzieli zawody na trzy grupy: deficytowe, w których brakuje pracowników, zrównoważone,

pisowskich uczelniach. W tym roku były na uniwersytetach kierunki, na które zgłosiło się 0,4 kandydata na miejsce. To oznacza, że każdy, kto złożył tam papiery, został przyjęty. Świetny myk dla tzw. łowców okazji i wiecznych studentów. Za 85 zł, bo tyle kosztuje opłata rekrutacyjna, mamy rok studenckich zniżek. Wystarczy zaliczyć pierwszy semestr, żeby cieszyć się zniżkami przez cały rok. – Wiesz, że w Warszawie, nawet jak już dawno skończyłeś 26 lat, i tak jeździsz komunikacją za pół darmo?! – opowiada Michałina, rocznik 1972, która jest fanką studiowania (to już jej piąty kierunek) i zniżek edukacyjnych. Obecnie studiuje historię na Uniwersytecie Warszawskim, a od lat jest lekarką.

Lepszy od dyplomu fach w ręku

Choć w pierwszych latach po wprowadzeniu systemu bolońskiego pracodawcy patrzyli na absolwentów jedynie z licencjatem jak na szarlatanów lub nieudaczników, to ostatnio ich perspektywa się zmieniła. Obecnie pytania podczas rekrutacji dotyczą często umiejętności i doświadczenia zawodowego. Ale czasem dyplom magistra

okazuje się istotny. – Jeśli rekrutowany jest absolwent studiów magisterskich z niewielkim lub żadnym doświadczeniem zawodowym, dyplom magistra będzie dla potencjalnych pracodawców głównym źródłem informacji. Im bardziej doświadczony kandydat, a mam tu na myśli starszych specjalistów

Aż 53% ankietowanych magistrów nie pracuje w swoim zawodzie.

i menedżerów średniego szczebla zarządzania, tym mniejsze znaczenie ma dyplom magistra i rzadko staje się tematem pogłębionej rozmowy. Mimo to w niektórych przypadkach, np. w procesie rekrutacji księgowych czy ekspertów w IT, pracodawcy przyglądają się historii zatrudnienia i edukacji. Niechętnie zatrudnia się księgowych, którzy ukończyli jedynie kursy, a nie kierunek finansowy. Dla wielu firm to za mało. Piętro wyżej, czyli w kadrze kierowniczej, dyplom magistra staje się drugorzędny w zestawieniu ze studiami MBA czy podyplomowymi – mówi Ciesielska.

W głowie studentów pojawia się zatem myśl, że warto mieć tytuł

w których liczba pracowników odpowiada potrzebom pracodawców, oraz nadwyżkowe, w których jest więcej pracowników niż ofert pracy. Około 15 deficytowych zawodów powtarza się co roku. Główne powody są wspólne dla większości profesji. Pracownicy na pierwszym miejscu wymieniają brak chęci do pracy w zawodzie wynikający m.in. z nie trafionych wyborów edukacyjnych. Pytanie zatem, dlaczego państwo zlecające od lat takie badania nie podejmuje żadnych działań, aby kształcić potrzebnych na rynku pracy specjalistów. Czyżby odpowiedzialne za to resorty, czyli z jednej strony Ministerstwo Edukacji, a z drugiej Ministerstwo Rodziny i Polityki Społecznej, zgubiły do siebie kontakt?

Kolekcjonerzy tytułów

Na podstawie danych z GUS można policzyć, że utrzymanie dziecka od narodzin aż do ukończenia przez niego studiów magisterskich kosztuje dziś pół miliona złotych. Sam koszt kształcenia do ukończenia

studiów wyliczono na 162 tys. zł. Ile zaś kosztuje państwo wyprodukowanie magistra? W 2011 r. dr inż. Henryk Miłosz, twórca kalkulatora pozwalającego uczelniom obliczyć szacunkowy koszt kształcenia, twierdził, że jeden student kosztował państwo nawet 12 tys. zł rocznie. To oznacza, że 350 tys. osób, które ukończyły studia w 2019 r., powinny kosztować ok. 21 mld zł. Dodajmy, że wydatki budżetowe na szkoły wyższe w 2022 r. przewidziano na 9,7 mld zł.

Co piąty polski pracownik z wyższym wykształceniem pracował poniżej swoich kwalifikacji.

Gdy przyjrzymy się wstępnym wynikom Narodowego Spisu Powszechnego Ludności i Mieszkań z 2021 r., które opublikował w czerwcu Główny Urząd Statystyczny, dostrzeżemy dwa trendy. Z danych zgromadzonych przez GUS wynika, że w latach 2011-2021 zaobserwowano stały wzrost

poziomu wykształcenia ludności. Najbardziej dynamiczny przyrost, bo o prawie 40% w stosunku do 2011 r., odnotowano w grupie osób posiadających tytuł magistra, magistra inżyniera lub równorzędny. Z drugiej strony studentów ubywa. Oczywiście można uznać, że to efekt zmniejszającego się współczynnika dzietności. Gdy jednak spojrzymy uważniej na dane, okaże się, że spada tzw. współczynnik scholaryzacji, czyli w tym wypadku stosunek liczby osób decydujących się

na studia do liczby ludności. To wprost oznacza, że spada zainteresowanie studiami wśród absolwentów szkół średnich.

Zmniejszenie znaczenia tytułu magistra i magistra inżyniera widać nie tylko w masowym wydawaniu dyplomów przez uczelnie, ale również w stosunku studentów do

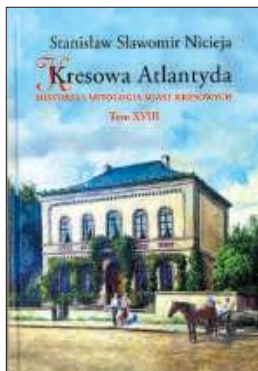


KSIAŻKI

Stanisław Sławomir Nicieja

Kresowa Atlantyda

Historia i mitologia miast kresowych, t. XVIII



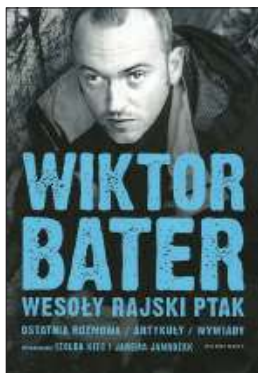
W najobszerniejszym ze wszystkich wydanych dotychczas tomie „Kresowej Atlantydy” prof. Nicieja przedstawia garnizonowy Włodzimierz Wołyński, Sarny – torfową stolicę, Uściług – jako granicę cywilizacji, cukrowo-miodowy Mizocz, Zdobuń – miasteczko na wołyńskim rozdrożu i magnacką stolicę – Ostrów. Ostatnim opisanym miastem jest Berdyczów, kojarzony zwykle z powiedzeniem „pisz na Berdyczów” oraz słynnymi na całą Europę jarmarkami. To także trzecie sławne sanktuarium maryjne Rzeczypospolitej, bastion konfederatów barskich, miejsce urodzenia pisarza Josepha Conrada. Tom jest bogato ilustrowany, a indeks liczy ponad tysiąc nazwisk.

Wiktor Bater, Izolda Kiec, Jarema Jamrożek

Wesoły rajski ptak

Ostatnia rozmowa. Artykuły. Wywiady

Marginesy, Warszawa 2022



Zapis rozmowy oraz wybór najważniejszych wypowiedzi publicystycznych dziennikarza, który w przerwaniach nagłą śmiercią wywiadzie mówi o rodzinnym domu, o dziadku oraz o tacie, uratowanym z getta warszawskiego, jedynym ocalałym z Holokaustu przedstawicielu rodziny Baterów. Podkreśla wagę doświadczeń pokolenia dorastającego w Polsce, w obliczu wydarzeń 1980 i 1981 r. oraz kilku lat późniejszych przemian w Europie Wschodniej. Słowa Wiktora Batera są formą dziennikarskiej autobiografii, a zarazem gorzką refleksją nad ludzką naturą, skłonnością do nienawiści i zabijania.

zdobycia tytułów. Według badania Millward Brown, przeprowadzonego na zlecenie Work Service SA, w Polsce aż 53% ankietowanych nie pracuje w swoim zawodzie. Według Polskiego Instytutu Ekonomicznego co piąty polski pracownik z wyższym wykształceniem pracował poniżej swoich kwalifikacji. Doświadczenia naszych rozmówców są podobne. Można ich podzielić na kolekcjonerów tytułów, magistrów dla siebie, pracujących

Od lat istnieje deficyt osób wykształconych zawodowo, z fachem w ręku.

w zawodzie i wykształconych niepraktykujących. Kolekcjoner tytułów to wspomniany na początku Tomasz, który broni kolejnych prac magisterskich, bo lubi spędzać czas wolny na uniwersytecie. Magister dla siebie to typ lekkoducha, który wybiera studia wedle swoich zainteresowań, ale zupełnie nie wiąże ich z karierą zawodową. Malwina, świeżo upieczona absolwentka filozofii, jest tego doskonałym przykładem. Na co dzień uczy w szkole jazdy jej ojca. – Mój tata szanuje moje zainteresowania, dlatego umówiliśmy się, że zanim przejmę rodzinny biznes, zrobię magistra na kierunku, jaki mi się podoba. Ale i tak zaczęłam pracować jako instruktorka w połowie studiów, bo chciałam jakoś na siebie zarobić – wyjaśnia.

Wykształcony niepraktykujący

Najpopularniejszy gatunek magistrów to wykształceni niepraktykujący. Kalina i Artur, małżeństwo po trzydziestce, prowadzą firmę z branży www. Ona jest po filologii polskiej, on po automatyce i robotyce. – Nienawidziłem swoich studiów. Czekałem tylko, aż je skończę i założę własny biznes – wyznaje Artur. Zapytany, dlaczego w to brnął, odpowiada: – Szkoda mi było tego straconego czasu, żeby ostatecznie zostać bez żadnego tytułu.

Janek, który również skończył robotykę, choć na innej uczelni, pracuje jako muzyk. – Kiedy pojechałem

na praktyki do Holandii, po trzech tygodniach stwierdziłem, że nie chcę robić czegoś tak nudnego do końca życia. Wolałem grać na gitarze, więc zrobiłem wszystko, żeby zajmować się tym zawodowo – mówi magister inżynier siedzący na środku studia nagraniowego z gitarą na kolanach. Automatyka i robotyka była w 2009 r., kiedy Artur i Janek szli na studia, kierunkiem wyjątkowo prestiżowym, po którym to praca miała szukać absolwentów.

I to się nie zmieniło. Widać jednak, że masa osób idących na studia nawet po ich ukończeniu nie wie, co chce robić w życiu.

Co zatem dziś znaczy być magistrzem? Mniej więcej tyle co nic, bo wszyscy liczący na dobre zarobki musieli się nimi stać, aby zachować konkurencyjność na rynku pracy. Pozostaje zapytać, czy ukończenie bezpłatnych studiów na państwowej uczelni, aby potem nie pracować w wyuczonym zawodzie, jest w porządku wobec społeczeństwa.

Kornel Wawrzyniak

k.wawrzyniak@tygodnikprzeglad.pl

Chcesz patrzeć mądrzej?

TRYBUNA

Czeka w kiosku!

A w niej:

- Jerzy J. Wiatr
- Longin Pastusiak
- Tadeusz Iwiński
- Danuta Waniek
- Bogusław Liberadzki
- Krzysztof Janik
- Tadeusz Wojciechowski
- Tadeusz Klementewicz
- Andrzej Wilk
- Piotr Gadzinowski

www.trybuna.info

Z Galicji



Jan Widacki

Gruba kreska po raz drugi!

Spotkanie. Na sali przedstawiciele wszystkich większych partii opozycyjnych. Temat spotkania: „Reforma wymiaru sprawiedliwości”. Chodzi oczywiście o reformę, jaką trzeba będzie zrobić po wygranych przez opozycję wyborach. Dyskusja właściwie ogranicza się do tego, jak rozliczyć PiS. Właściwie wszyscy są radykalni. Wszyscy będą wyrzucać, czyścić, stawiać przed sądem. Odwołają Głapińskiego z funkcji prezesa Narodowego Banku Polskiego (wprawdzie z wymiarem zdeterminowania w rozliczeniach). Oczywiście Piotrowicz i Pawłowicz wylecą z Trybunału Konstytucyjnego. Neosędziowie wrócą tam, skąd przybyli. Koniec z dublerami w TK (a nawet z dublerami dublerów, bo i tacy już są). Co z asesorami mianowanymi w międzyczasie z rekomendacji pisowskiej Krajowej Rady Sądownictwa sędziami sądów rejonowych – nie wiadomo. Wrócą na stanowiska asesorów czy w ogóle wylecą z sądownictwa? Gorzej, co z wyrokami wydanymi przez neosędziów? Będą ważne? Czy może nie? Czy Kowalski, któremu rozwodu pięć lat temu udzielił neosędzia, wraca do poprzedniej żony? A co z jego kolejnym, zawartym już po rozwodzie (jak sądził, prawomocnie orzeczonym) małżeństwem? Będzie ważne czy też zostanie unieważnione? A może Kowalski będzie musiał teraz żyć z dwiema żonami? Stanowiska posłów opozycji (prominentnych posłów w swoich klubach!) są znużone. Jedni uważają się za gołębie, drudzy za jastrzębie. Ci pierwsi będą wyrzucać w granicach i ramach konstytucji, ci drudzy nie będą na konstytucję się oglądać. Ci pierwsi nie mówią jednak, jak w granicach konstytucji i z poszanowaniem jej zasad można będzie wyrzucić sędziego z Trybunału Konstytucyjnego czy Sądu Najwyższego. Chyba jeszcze o tym nie myśleli. Ci drudzy po namyśle dochodzą do wniosku, że będą wyrzucać, rozliczać, stawiać przed Trybunałem Stanu także w zgodzie z konstytucją, którą być może zmienią. Tylko ciągle nie wiadomo jak. Teraz radykalizują się gołębie. W granicach konstytucji, ale przed sądem, przed Trybunałem Stanu. I to natychmiast!

Tu od razu dwie smutne uwagi. Aby zrealizować te zapowiedzi, trzeba spełnić kilka warunków. Chyba niełatwych. Po pierwsze, trzeba wygrać wybory i nie pożreć się między sobą zaraz po ogłoszeniu ich wyników. To warunek konieczny, ale wysoce niewystarczający. Trzeba wygrać tak, aby uzyskać większość konstytucyjną (bez tego nie zmieni się konstytucji i trzeba będzie działać w granicach wyznaczonych przez tę obowiązującą dzisiaj). Trzeba również wybory wygrać tak, by uzyskać liczbę głosów, która pozwoli odrzucić weto prezydenta – albo jeszcze lepiej, odwołać prezydenta lub postawić go przed Trybunałem Stanu. I to jeszcze mało, wszak na czele Trybunału Stanu stoi pierwszy prezes Sądu Najwyższego, czyli teraz pani Manowska. Nic nie wskazuje na to, by opozycja miała szansę wygrać wybory wyżej niż z minimalną przewagą. Nie sądzę nawet, by inflacja i sroga,

nieopalana zima radykalnie zwiększyły przewagę elektoratu opozycji nad wyznawcami PiS.

Bez spełnienia tych warunków żadnych rozliczeń nie będzie! Nikt nie stanie przed Trybunałem Stanu, nawet odebrana Ziobrze prokuratura oskarży najwyżej jakieś mało znaczące pisowskie plotki, i to raczej za nadużycia gospodarcze niż za niszczenie państwa. Można do opozycji skierować niegdysiejsze słowa cara: „Żadnych złudzeń, panowie!”.

Poza tym wciąż trzeba pamiętać, że nieszczęściem dla Polski jest nie PiS, tylko to, że około jednej trzeciej społeczeństwa myśli tak jak PiS. Podziela jego wizję narodowo-katolickiego państwa, jest wrogiem Europy etc. I czy to komuś się podoba, czy nie, to też są obywatele tego państwa i trzeba się liczyć z ich poglądami, życzeniami, potrzebami.

Zamiast roić o wielkości, głębokości i surowości rozliczeń, przeprowadzanych z pozycji gołębia czy jastrzębia, opozycja powinna raczej pomyśleć, jak mądrze wprowadzić i zrealizować „grubą kreskę”. Jeśli już szukać jakichś omiotologicznych odniesień, to podpowiadam jako wzór sowę, która – jak wiadomo – jest symbolem mądrości.

Nieszczęściem dla Polski jest nie PiS, tylko to, że około jednej trzeciej społeczeństwa myśli tak jak PiS.

No i pamiętajmy, że wymiar sprawiedliwości, jeszcze zanim PiS zaczęło go demolować, podporządkowywać władzy wykonawczej, wymagał zdecydowanej naprawy. Tu nie chodzi tylko o przewlekłość postępowań, ale bardziej o jakość wymierzanej sprawiedliwości. O ochronę praw obywatelskich w trakcie procesu, szczególnie w czasie śledztwa.

Czy opozycja, oprócz ubolewania nad tym, jak to PiS niszczy wymiar sprawiedliwości, oprócz zapowiedzi rozliczeń, których zresztą nie będzie miała siły zrealizować, ma jakiś pomysł, co zrobić, by ten wymiar sprawiedliwości naprawić, ulepszyć? Czy ma tu coś do zaproponowania swoim wyborcom? Niestety, wygląda na to, że nie ma nic do zaproponowania. A przecież hasło naprawy wymiaru sprawiedliwości było jednym z tych, które swego czasu wyniosły PiS do władzy. Widać, że ludzie oczekiwali reformy. PiS jedynie zagospodarowało niezadowolone społeczne i cynicznie je wykorzystało. Przypomnę tylko, że np. nieludzkie „areszty wydobywcze” funkcjonowały znakomicie także w czasach, gdy rządziła Platforma. To nie za rządów PiS, ale za rządów PO uchwalono haniebną „ustawę o bestiach”. Ministrem sprawiedliwości był wtedy, jeśli ktoś nie pamięta, Jarosław Gowin.

Wygrajcie wybory i mądrze zaprojektujcie grubą kreskę. Bo nic więcej i tak nie będziecie w stanie zrobić. ■

Rejestr ciąż do polowania na kobiety

Ma usprawnić obieg dokumentów – wyjaśnia Ministerstwo Zdrowia.
To narzędzie do inwigilacji kobiet – mówią krytycy i są bliżsi prawdy

Anna Stachowiak

1 października rozporządzenie ministra zdrowia, zgodnie z którym lekarz musi wprowadzić do Systemu Informacji Medycznej informacje o ciąży pacjentki, weszło w życie. Wcześniej, w okresie przygotowawczym, od lipca do końca września, taka opcja była dostępna dla lekarzy, ale nie obowiązkowo. Co to oznacza? Że każdy lekarz, do którego zgłosi się kobieta, ma obowiązek pozyskać od niej informację o ewentualnej ciąży, a dane wprowadzić do systemu. To z kolei oznacza, że dostęp do tych wrażliwych przecież danych będą mieć wszyscy pracownicy szpitala czy przychodni. Oczywiście ministerstwo zapewnia, że chodzi o ochronę kobiety (i jej dziecka, dodaje), a sam fakt powstania takiego rozporządzenia wynika z obowiązku dostosowania polskich standardów w zakresie opieki medycznej do prawa unijnego.

To o tyle ciekawe, że takiej troski ministerstwo nie przejawia w innych aspektach opieki zdrowotnej, gdy chodzi o prawa reprodukcyjne. W Polsce wskaźnik dostępności antykoncepcji jest najniższy na kontynencie – 35,1%, podczas gdy w Belgii to 96,4%, we Francji 90,1%, w Niemczech 75,1%, a we Włoszech 59,3% (dane za Atlasem Antykoncepcji). Poza tym dostęp do opieki ginekologicznej jest utrudniony. Z raportu „Przemoc instytucjonalna w Polsce. O systemowych naruszeniach praw reprodukcyjnych” wynika, że w 2017 r. porad z zakresu ginekologii i położnictwa udzielono 4,1 mln kobiet dorosłych. Tyle że w wieku reprodukcyjnym w Polsce jest 9 mln kobiet, a populacja potencjalnych pacjentek ginekologicznych – powyżej 15. roku życia – obejmuje 17 mln.

Powód? W gminach miejskich na jedną poradnię przypada ponad 4 tys. kobiet, a w wiejskich aż 10 tys. Mimo że NFZ refunduje procedurę założenia i usunięcia wewnątrzmacicznej wkładki antykoncepcyjnej, w 2017 r. skorzystało z niej zaledwie 8,1 tys. pacjentek. Większość poradni nie informuje kobiet o takiej możliwości, w dodatku uniemożliwia skorzystanie z bezpłatnego świadczenia poprzez odmowę lub pobieranie opłat.

Z danych Fundacji Rodzić po Ludzku wynika, że ponad 50% kobiet rodzących padło ofiarą przemocy na porodówkach, a standardy opieki okołoporodowej, tak długo

w ramach systemu informacji medycznej to wynik zaleceń wypracowanych przez zespół, który został powołany przez Komisję Europejską. W podobnym tonie wypowiada się teraz szef resortu, Adam Niedzielski. „Nie było i nie ma ani mojej zgody, ani zgody rządu na prowadzenie jakiegokolwiek rejestru ciąż. Działamy tu w interesie pacjentów i dla ich dobra w zgodzie ze standardami UE. Apeluję do mediów i polityków o niesianie niepotrzebnych emocji”, napisał na Twitterze. Dodął do tego większy apel do mediów: „Prosimy wszystkie media o odpowiedzialność za słowo. Dziś nie wchodzi w życie

Opozycja nie ma litości: rejestr to kolejne narzędzie do kontrolowania kobiet, te zaś boją się, że w razie poronienia będą się tłumaczyć w prokuraturze.

ignorowane przez ministerstwo, nie są przestrzegane. Dołożmy do tego wyrok Trybunału Konstytucyjnego, który w 2020 r. przesłankę embriopatologiczną do terminacji ciąży uznał za niezgodną z konstytucją, skazując kobiety na aborcyjne podziemie. Ministerstwo Zdrowia, to samo, które obecnie, wprowadzając rejestr ciąż, zapewnia o trosce o kobiety, przedstawia przedziwne dane, z których wynika, że aborcji w Polsce jest około tysiąca, podczas gdy wiadomo – dzięki pracy Federacji na rzecz Kobiet i Planowania Rodziny – że jest ich grubo ponad 100 tys. Tyle że poza systemem. Mając te dane w pamięci, trudno uznać, by ministerstwo nagle zaczęło tak się przejmować zdrowiem kobiet.

Tymczasem zapewnia ono, że nie powstaje żaden rejestr. Na początku czerwca rzecznik MZ Wojciech Andrusiewicz mówił, że poszerzenie zakresu danych raportowanych

żaden rejestr ciąż. Takowego nigdy nie było, nie ma i nie będzie. W związku z wymogami na szczęblu Komisji Europejskiej, dla dobra pacjentów i pacjentek rozbudowujemy jedynie elektroniczną Kartę Pacjenta”.

Ministerstwo snuje więc swoją opowieść o trosce, zwiększeniu dostępności i przejrzystości informacji oraz lepszym obiegu danych, a opozycja nie ma litości, uważając, że stworzono po prostu kolejne narzędzie do kontrolowania kobiet, te zaś boją się, że w razie poronienia będą musiały tłumaczyć się w prokuraturze. Zważywszy na fakt, że w listopadzie 2020 r. kobiety, które kupiły środki do aborcji farmakologicznej, dostawały wezwania na policję, by złożyć zeznania w charakterze świadka, i znając retorykę obecnej władzy, obawy te są uzasadnione.

Wicemarszałkini Senatu Gabriela Morawska-Stanecka skomentowała w rozmowie z TVN 24: „Plan to



całkowity zakaz aborcji, nawet tych za granicą. Kobiety, kiedy lekarz wprowadzi informację o ich ciąży do systemu, będą inwigilowane”. Podobny był wydźwięk wypowiedzi Agnieszki Dziemianowicz-Bąk (Lewica): „Dziś kobiety w Polsce unikają ciąży, bo boją się, że będą zmuszone do rodzenia w każdej sytuacji. Teraz jest jeszcze więcej powodów do strachu”. Bardziej dosadna była Katarzyna Kotula (Lewica): „Rejestr ciąż wchodzi dziś w życie. W każdym europejskim kraju rejestr służy kobietom, wspierając ich bezpieczeństwo zdrowotne. W Polsce rejestr będzie służył prokuraturze Zbigniewa Ziobry do polowania na kobiety, które przerwały ciążę. Przypominam, masz prawo przerwać własną ciążę”.

Ponieważ prawo od lat konsekwentnie staje się coraz bardziej opresyjne, kobiety naprawdę się boją. Często nie wiedzą, że w Polsce mimo

Rejestr ciąż, wbrew temu, co opowiada minister Niedzielski, obowiązuje.

restrykcyjnych przepisów osoba, która dokona domowej aborcji czy wyjedzie za granicę w celu usunięcia ciąży, nie jest karana. Organizacje kobiece, w tym Federa, podkreślały to już w listopadzie 2020 r., kiedy zgłaszały się do nich przestraszone kobiety, informując, że w związku z zakupem środków do aborcji

Parlament Europejski stanowczo zareagował na łamanie praw człowieka w Polsce w zakresie praw reprodukcyjnych.

farmakologicznej zostały wezwane na policję. Federa uspokajała wówczas: „Jesteś bezpieczna, nie poniesiesz odpowiedzialności karnej za domową aborcję. Zakup środków poronnych dla siebie, trzymanie ich w domu, potem zażycie i skuteczne przerwanie własnej ciąży to nie przestępstwo”.

To ważne zwłaszcza w kontekście nieustannych prób zmiany ustawodawstwa, tak by aborcja własna była penalizowana. W ubiegłym roku do Sejmu trafił taki projekt obywatelski, który złożyła Fundacja Pro – Prawo do Życia. „Prawna ochrona dzieci poczętych w Polsce jest fikcją. Mafie aborcyjne działają jawnie, ogłaszają się w mediach i sprzedają pigułki śmierci”, mówił na konferencji Mariusz Dzierżawski, jej prezes. Twierdził, że wyrok TK to za

mało, bo nie wymierza on kary „aborcyjnym przestępcom” (czytaj: kobietom). Kuriozalny

projekt zrównywał aborcję z zabójstwem, wprowadzał także definicję dziecka „od poczęcia do osiągnięcia pełnoletności, (...) dzieckiem poczętym jest dziecko od poczęcia do porodu”. Za nieumyślne spowodowanie śmierci człowieka, zgodnie ze zmianą definicji, grozić miało od trzech miesięcy do pięciu lat, a za umyślne od

pięciu do 25 lat. Projekt na szczęście przepadł, pokazuje jednak, że tzw. obrońcy życia nie odpuszczają.

Tymczasem w ubiegłorocznej rezolucji Parlament Europejski stanowczo zareagował na łamanie praw człowieka w Polsce w zakresie praw reprodukcyjnych. Podkreślił, że „ograniczenie lub zakazanie aborcji nie zmniejsza w żaden sposób zapotrzebowania na nią, a powoduje, że kobiety muszą się poddawać zabiegom aborcyjnym, które nie są bezpieczne”, ponadto stanowi „naruszenie praw człowieka i formę przemocy uwarunkowanej płcią, która wpływa na prawa kobiet i dziewcząt do życia, nietykności fizycznej i psychicznej, równości, niedyskryminacji i zdrowia”. PE „zdecydowanie

potępia wszelkie projekty ustaw lub ograniczenia mające na celu dalsze zakazanie, kryminalizowanie i utrudnianie dostępu do bezpiecznej i legalnej aborcji w Polsce”, pisząc jednocześnie, że „środki ograniczające prawa i zdrowie reprodukcyjne i seksualne są sprzeczne z zasadą nieretrogresji, zapisaną w międzynarodowym prawie dotyczącym praw człowieka”.

Z powodu tych przesłanek Robert Biedroń (europejska socjaldemokracja) złożył zapytanie do Komisji Europejskiej, podkreślając, że w obecnej sytuacji, kiedy obowiązuje niemal całkowity zakaz aborcji, a prawo wywiera efekt mrozący na działania lekarzy, rejestr ciąż przyczyni się do zagrożenia bezpieczeństwa Polek. „To może być kolejna próba polskiego rządu, by pozbawić kobiety ich prawa do prywatności i wolności, łącznie z prawem do aborcji”. Z tych powodów Biedroń pyta KE, jak ocenia rozporządzenie Ministerstwa Zdrowia oraz czy jest ono sprzeczne z ustawodawstwem unijnym w zakresie praw przysługujących kobietom oraz ochrony informacji. Odpowiedzi jeszcze nie ma.

A rejestr ciąż, wbrew temu, co opowiada minister Niedzielski, obowiązuje. ■

Wieś bez lekarza

Obsada w ośrodkach zdrowia jest jednoosobowa, doktorzy pracują bez urlopów, czasem nie mogą nawet zachorować

Helena Leman

W pociągu z Białegostoku do Biełska Podlaskiego toczy się dyskusja na temat ochrony zdrowia. Jedna z kobiet w średnim wieku opowiada, że jej mąż kilka razy próbował umówić się na wizytę u lekarza rodzinnego, a gdy się nie udało, zaczął się leczyć sam, aż zastał i trafił do szpitala. – Okazało się, że miał ciężkie zapalenie płuc. Z powikłań po nim wychodzi do dziś. Gdyby od razu trafił do gabinetu, gdyby porządnie go zbadało, osłuchano i zaordynowano odpowiednie leki, pewnie byłby zdrowy i wrócił do pracy – podsumowuje.

Najważniejsze, żeby lekarz przyjął osobiście – podkreślają zgodnie wszyscy, opowiadając każdy z osobna o własnych zmaganiach z dostępem do służby zdrowia. Inna kobieta, ze wsi pod Hajnówką, zgłosiła się do ośrodka zdrowia z bólem brzucha. Lekarz ją zbadał i od razu wypisał skierowanie do chirurga. – Miałam szczęście, bo zdarzają się lekarze, co kierują do specjalistów niechętnie – podkreśla. – Od nas do Hajnówki jeżdżą trzy autobusy dziennie, zdążyłam na ostatni, w szpitalu też mi się udało, zastałam jeszcze chirurga. Natychmiast trafiałam na stół operacyjny i dlatego żyję.

Starsi ze wzruszeniem wspominają czasy, gdy lekarze i pielęgniarki byli dostępni na miejscu. – Teraz jest wielki krzyk, że mamy covid, ale epidemie zdarzały się i wcześniej – dodaje jeden z seniorów. – Pamiętam ciężkie grypy w latach 60. i 70., ludzie w chałupach padali jak muchy. Lekarze z pielęgniarkami przebijali się od wsi do wsi przez zaspę, w 20-stopniowym mrozie nie mieli ani masek,

ani rękawiczek, ani kombinezonów. Znam lekarkę, co potrafiła dotrzeć wszędzie, jeszcze pracuje, choć jest na emeryturze; gdy to pokolenie lekarzy odejdzie, będzie bieda.

Jak donoszą media branżowe, w 132 gminach nie ma lekarza rodzinnego. Według Federacji Związków Pracodawców Ochrony Zdrowia Porozumienie Zielonogórskie 60% lekarzy rodzinnych w województwie podlaskim osiągnęło wiek emerytalny, w opolskim 70% to emeryci, w lubuskim 40%.

Śmierć małych poradni

Od dwóch miesięcy podlaska gmina Trzcianne nie ma lekarza, gdyż ten zmarł. Bez opieki zostało ok. 2 tys. pacjentów. Włodzimierz Bołtruczuk leczył mieszkańców od 1987 r., był także prezesem podlaskiego oddziału Porozumienia Zielonogórskiego. Krzysztof Sulima, zastępca wójta,

Z czasem kadra medyczna z wiejskich ośrodków zaczęła się wykruszać, teraz obserwujemy to na poziomie gmin.

mówi, że nowa lekarka już podpisała umowę, ale jeszcze nie podjęła pracy. Tymczasowo będzie przyjmować pacjentów w świetlicy wiejskiej w Nowej Wsi. Budynek przychodni w Trzciannem przechodzi generalny remont, ma tam powstać Gminne Centrum Usług Medycznych. Krzysztof Sulima zapewnia, że centrum będzie podmiotem publicznym wpisanym do rejestru przy wojewodzie, zależnym tylko od gminy.

W Jaświłach, też w powiecie monieckim, w grudniu ub.r. zachorowała lekarka rodzinna. „Mamy się



zgłaszać do Jasionówki, ale tam nikt nie odbiera telefonów. Podobno lekarz przyjmuje tylko w wybrane dni i krótko. Ludzie starsi, schorowani, bez samochodów, nie wiedzą, co robić. Żeby chociaż raz w tygodniu lekarz był”, skarżył się dziennikarce „Gazety Współczesnej” jeden z mieszkańców Jaświł.

Dzwonię do przychodni w Jaświłach, która jest filią monieckiego szpitala powiatowego. Telefon odbiera pielęgniarka, wyjaśnia, że lekarz jest osobiście w poniedziałki i wtorki od godz. 8 do 11, w środy, czwartki

i piątki zaś są teleporady. Podobnie jest w przychodni w Szymkach, która jest filią placówki z Michałowa, lekarz jest tu raz w tygodniu, w środy od godz. 10 do 18. W pozostałe dni w przychodni czuwa pielęgniarka, wypisuje recepty na powtarzające się leki, udziela ogólnych porad.

Na stronie Porozumienia Zielonogórskiego w artykule z 2 września br. „Śmierć małych poradni staje się faktem” czytamy, że w Rozmierzy w województwie opolskim zmarła 81-lletnia lekarka. Jej 1,3 tys. pacjentów zostało bez opieki. Położona



W dawnym ośrodku zdrowia w Orli otwarto dzienny dom pomocy dla seniorów, znalazło tu miejsce 15 osób potrzebujących pomocy w codziennym funkcjonowaniu.

być zdrowi. Czym będą dojeżdżać do przychodni w Busku, jak nie ma komunikacji?”, komentował ktoś inny.

Mieszkańcy walczyli zacięcie. Zawiązali komitet protestacyjny, pisali listy do decydentów: prezydenta, premiera, ministra zdrowia, wojewody i burmistrza. W liście do wojewody skarżyli się, że dyrektor POZ kazał pacjentom z likwidowanej placówki „iść do lasu”. W reportażu jednej z telewizji mówili, że z ich wsi zrobiono bagno, zabierając szkołę, bibliotekę, a teraz ośrodek zdrowia. Gdy druga strona tłumaczyła, że budynek przychodni jest stuletni, a pacjentów za mało, jedna kobiet nie wytrzymała: „Przez cztery lata lekarz przyjmował raz w tygodniu, dlatego pacjentów zrobiło się mało”.

Dzwonię do sołtysa Szczaworyża, przychodni nie udało się uratować.

W lubelskim Ratoszynie Drugim ośrodek zdrowia także był od dekady. Walka o jego utrzymanie trwa. Pierwszy raz został zamknięty w 2019 r.,

10 km dalej poradnia w Izbicku nie jest w stanie przyjąć chorych z Rozmierzy, bo pracuje tam również emerytowany lekarz, który ma pacjentów ponad limit. Gminny ośrodek zdrowia w podlaskiej Narwi trzyma się dzięki pracy emeryta, który niedawno obchodził 50-lecie praktyki lekarskiej. W Czyżach dwoje pracujących lekarzy jest po sześćdziesiątce. Gmina Czeremcha zatrudniła młodego lekarza z Białorusi.

Wioleta Walasek, sołtyska z podlaskiej Jałówki, której sołectwo obejmuje nadgraniczne wsie, sama jeździ do lekarza rodzinnego aż do Białego-stoku, ale ma samochód. Mieszkańcy najczęściej leczą się w Michałowie, dwadzieścia parę kilometrów stąd. – Dla ludzi starszych, bez własnego środka lokomocji, to problem, ponieważ autobusy słabo kursują – ocenia.

W Jałówce nie tak dawno temu był wiejski ośrodek zdrowia. „Jeszcze 10-15 lat temu oprócz gminnych ośrodków zdrowia funkcjonowały ośrodki wiejskie – mówił mediom zmarły niedawno Włodzimierz Bołtruczuk. – Z czasem kadra z tych wiejskich ośrodków zaczęła się wykruszać, a teraz obserwujemy to na poziomie gmin”. Jak wskazywał, trzeba mieszkać na wsi albo dojeżdżać, a to nie zachęca młodych lekarzy. Ponadto generalnie obsada w wiejskich ośrodkach jest jednoosobowa,

lekarze pracują bez urlopów, czasem nie mogą nawet zachorować. Do tego dochodzi utrudniony dostęp do diagnostyki oraz specjalistów. Lekarz rodzinny na wsi musi być biznesmem, zatrudniać pielęgniarkę, pilnować faktur, dbać o zamówienia, płacić wysokie czynsze jak komercyjne firmy. Nie mówiąc już o możliwości

Znam lekarkę, co potrafiła dotrzeć wszędzie, jeszcze pracuje, choć jest na emeryturze. Gdy to pokolenie lekarzy odejdzie, będzie bieda.

rozwoju; lekarzom na wsiach trudno pogodzić obowiązki z robieniem specjalizacji. Na to nakłada się częsty brak wsparcia ze strony lokalnych władz.

Wiele zależy od samorządu

„Będzie park linowy, nowoczesne boiska przy skateparku. Będzie megaatrakcyjnie w Busku-Zdroju. A co z 47 sołectwami? Co z Szczaworyżem?”, pytali internauci półtora roku temu na stronie infobusko.pl. „Nie ma pieniędzy na utrzymanie ośrodka zdrowia dla kilkuset pacjentów, a są na najdroższą tężnię w Polsce, na kładkę na Górkę, na Ośrodek Aktywności Społecznej przy Boczej, ale by seniorzy z niego korzystali, to muszą

w marcu 2021 r. placówka wznowiła działalność, ale tylko na półtora roku. 1 lipca 2022 r. funkcjonowanie przychodni zawieszono, i to nie z powodu braku lekarza. Zdecydował rachunek ekonomiczny. Władze spółki Powiatowe Centrum Zdrowia w Opolu Lubelskim uznały placówkę za nieopłacalną, gdyż tylko 413 osób zadeklarowało chęć korzystania z niej. Pacjenci o jej zawieszeniu dowiedzieli się z kartki na drzwiach. Obecnie mają się leczyć w przychodni w Opolu Lubelskim, odległym o 20 km.

– Interweniowałam u starosty – opowiada radna powiatowa Bernarda Giza-Matecka. – Większość pacjentów, którzy chcą korzystać z ratoszyńskiej przychodni, to osoby starsze, samotne, z przewlekłymi ▶

► chorobami, dla których już sama zmiana lekarza jest kłopotliwa. Jak mają dojechać do innej przychodni, skoro transport zbiorowy na ich terenie praktycznie nie istnieje? Lecz jeszcze nie wszystko stracone, wójt gminy Chodel podjął pewne kroki w tej sprawie, rozmowy trwają.

Przykłady Szczaworyża i Ratozyna pokazują, jak wiele zależy od samorządów. I że tworzenie filii z powiatowymi spółkami nie zawsze wychodzi na zdrowie wiejskim przychodniom.

Dostęp do lekarza to niejedyny problem, na wsiach wzrasta też liczba osób niesamodzielnych. Już w 2018 r. NIK w raporcie „Seniorzy bez opieki” informowała, że 54 podlaskie gminy (46%) nie zapewniały usług opiekuńczych, nie lepiej było w innych województwach, np. w mazowieckim usług opiekuńczych w miejscu zamieszkania nie zapewniało 111 gmin, czyli 33%. Iżba zauważa, że tak świadczone usługi są najmniej kosztowną dla gminy formą pomocy seniorom.

Dzienne domy pomocy

Jadąc szosą z Bielska Podlaskiego do Orli, mijam pola kukurydzy i dwujęzyczne, polsko-białoruskie tablice z nazwami miejscowości. We wsi: kościół, zabytkowa synagoga, cerkiew, urząd gminy i dzienny dom pomocy dla seniorów w dawnym ośrodku zdrowia. Otwarto go zaledwie dwa tygodnie temu, wewnątrz



pachnie jeszcze farbą i świeżym drewnem. Jest godz. 16, seniorzy już wyjechali do swoich domów, ale zastają dwie młode opiekunki. Mówią, że znalazło tu miejsce 15 osób potrzebujących pomocy w codziennym funkcjonowaniu, choć chętnych było dużo więcej.

– Przez 18 lat pracy w Gminnym Ośrodku Pomocy Społecznej w Orli dało się zauważyć, że osoby w podeszłym wieku potrzebują wsparcia, od kilku lat zatrudniamy opiekunki środowiskowe, ale to nie wystarcza. I tak narodził się pomysł domu – mówi Marta Osa, kierowniczka GOPS w gminie Orla, któremu podlega

Placówka służby zdrowia w mniejszym ośrodku to duże ułatwienie dla mieszkańców.

placówka. – Dzięki zaangażowaniu wójta gminy Leona Pawluczuka udało się pozyskać środki na remont budynku z Regionalnego Programu Operacyjnego Województwa Podlaskiego na lata 2014-2020. Na bieżącą działalność i wyposażenie domu zdobyliśmy dofinansowanie ze środków Europejskiego Funduszu Społecznego. Przygotowaliśmy projekt „Dzienny Dom Pomocy w Orli – rozwój usług społecznych i zdrowotnych dla seniora”. Uczestnicy projektu przebywają w nim od godz. 8 do 16, w tym czasie mają zapewnione drugie śniadanie i obiad oraz różnego rodzaju zajęcia i warsztaty, a także wsparcie lekarza, pielęgniarki, psychologa i fizjoterapeuty. Seniorzy nie ponoszą żadnych kosztów, mają również zapewniony bezpłatny transport.

Marta Osa dodaje, że problemem jest brak skoordynowanej opieki medycznej. Najważniejsze jednak, że w gminie jest przychodnia – podkreśla. Placówka POZ w Orli to filia publicznego zakładu opieki zdrowotnej w Bielsku, lekarki dojeżdżają, mieszkańcy martwią się, że jedna jest w wieku mocno emerytalnym.

Od 2020 r. działa też dzienny dom pomocy w Lewkowie Starym w gminie Narewka. Takie domy na wsiach to jednak wciąż rzadkość.

Dać to, czego naprawdę potrzeba

Fundacja Hospicjum Proroka Eliaza działa na Podlasiu od 2011 r., założył ją dr Paweł Grabowski. Jako hospicjum domowe obejmuje opieką mieszkańców pięciu podlaskich gmin: Michałowa, Narwi, Narewki, Zabłudowa i Gródka. W lipcu br. fundacja otworzyła pierwsze wiejskie hospicjum stacjonarne, w Makówce w gminie Narew. Opracowała także model działania opieki na terenach wiejskich, który nosi nazwę „Dać to, czego naprawdę potrzeba”. Głównym celem projektu jest wsparcie osób zależnych w ich lokalnym środowisku, unikanie, jak długo to

Z głębokim żalem przyjęliśmy wiadomość o śmierci naszego Przyjaciela i Kolegi

Andrzeja Graniewskiego

Wieloletniego Prezesa Zarządu
Fundacji Rozwoju Medycyny „Człowiek-Człowiekowi”

Wyrazy głębokiego współczucia Rodzinie i Bliskim Zmarłego

składają Przyjaciele i Koledzy
z Fundacji Rozwoju Medycyny „Człowiek-Człowiekowi”

Uroczystości pogrzebowe odbędą się w dniu 10.10.2022 r. o godz. 13.00 w Domu Pogrzebowym na Cmentarzu Wojskowym przy ul. Powązkowskiej 43/45 w Warszawie

możliwe, umieszczania ich w domach pomocy społecznej lub hospicjach stacjonarnych.

W maju rzecznik praw obywatelskich Marcin Wiącek wsparł projekt i wspólnie z fundacją zorganizował konferencję w sprawie opieki paliatywnej na obszarach wiejskich. Na razie model jest testowany na terenie wymienionych wyżej pięciu gmin, jeśli się sprawdzi, będzie można go powielać gdzie indziej, gdyż starzeje się nie tylko Podlasie. Partnerem strategicznym projektu jest regionalny ośrodek polityki społecznej.

– Wielu podopiecznych naszego hospicjum domowego to byli rolnicy, przywiązani do swojego otoczenia – mówi Katarzyna Zdanowska. – Staramy się, żeby odchodzili w miejscu, które kochają, gdzie są wspomnienia, pod swoimi obrazami na ścianie. Zespół naszego hospicjum domowego nie tylko niesie im pomoc medyczną, ale, co najważniejsze, daje im swój czas i uwagę. Przywozi zakupy, leki, pomaga nieraz sprzątnąć dom, przynieść wodę ze studni czy drzewo do pieca lub załatwić wózek inwalidzki. Daje też trochę wytchnienia osobom, które opiekują się chorymi. Często 80-letnia żona zajmuje się mężem lub na odwrót i każde się boi, żeby jedno nie umarło przed drugim. Bywa, że dla naszego zespołu dotarcie do tych wszystkich osad, kolonii rozrzuconych wśród pól, przy szutrowych drogach, to wyzwanie, zwłaszcza że personelu mało.

Hospicjum domowe świadczy usługi za darmo. W Polsce opieka paliatywna jest świadczeniem gwarantowanym, ale kwalifikuje się do niej tylko kilka chorób, większość podopiecznych fundacji jest poza tą kwalifikacją. Na facebookowej stronie hospicjum parę historii: o panu Anatolu, niepełnosprawnym po skoku do wody, który razem z przyjacielem zbudował tóżko elektryczne, żeby lepiej funkcjonować, o 93-letniej pani Zinie, szczęśliwej, że dzięki pomocy hospicjum mogła po operacji wrócić do domu, który sama zbudowała. Na stronie zaglądamy wolontariusze i darczyńcy, ktoś pisze, że jest właśnie w Białymstoku ciężarówką i może coś przewieźć, znalazły się również

narzędzia dla pana Mirka, złotej rączki w hospicjum.

Opieka zdrowotna dwóch prędkości

Według raportu GUS „Obszary wiejskie w 2020 roku” na terenach wiejskich funkcjonowało 4,6 tys. przychodni, a w miastach 16,9 tys. W 2020 r. na jednego mieszkańca wsi przypadały niecałe 3 porady, na

można bowiem już mówić o żadnej prędkości.

Resort zdrowia szykuje zmiany w POZ. Lekarze z Porozumienia Zielonogórskiego oceniają je tak: „Większa pula badań diagnostycznych, możliwość konsultacji ze specjalistami, ułatwiony dostęp do profilaktyki, edukacji, porad dietetycznych – to opieka koordynowana POZ w pigułce. I w teorii. Bo w praktyce

Lekarz rodzinny na wsi musi być biznesmenem, zatrudniać pielęgniarkę, pilnować faktur, dbać o zamówienia, płacić wysokie czynsze jak komercyjne firmy.

mieszkańca miasta niecałe 11. Tylko 6,6% pacjentów zamieszkujących miejscowości wiejskie dotyczyła opieka specjalistyczna, w przypadku mieszkańców miast było to 39,9%. Od 2010 r. na wsi przybyło 440 przychodni, w miastach 4448.

Porozumienie Zielonogórskie w cytowanym wyżej tekście podkreśla, że brak zachęty do podejmowania pracy na terenie małych miast i wsi sprawia, że nawet POZ dwóch prędkości to dzisiaj mit, w wielu miejscowościach na prowincji nie

możliwości placówek są ograniczone, kryzys kadrowy pogłębia się, a największym wrogiem projektu jest brak szczegółów i przygotowania”. Choć kierunek zmian uważają za słuszny.

W podlaskim Podbielu, gdzie cerkiewka błękitna jak niebo, słyszę, że do lekarza rodzinnego dostać się trudno, a do specjalisty na cito trzeba czekać pół roku, a normalnie rok.

Helena Leman

h.leman@tygodnikprzeglad.pl

Nie omijałeś spraw trudnych, wrażliwych i ludzi w potrzebie
Zrobiłeś tyle dobrego na Ziemi, czyń to dalej, w Niebie

**Z głębokim żalem i wielkim smutkiem przyjęliśmy wiadomość o śmierci
naszego Przyjaciela i Kolegi**

Andrzeja Graniewskiego

wieloletniego pracownika Instytutu Fizjologii i Patologii Słuchu

Straciliśmy nie tylko wieloletniego, znakomitego współpracownika, ale przede wszystkim dobrego i serdecznego Kolegę, wspaniałego Człowieka. Będzie nam bardzo brakowało Jego wiedzy, pomysłów, ciekawości świata i pasji, a także Jego uśmiechu, sposobu bycia, głębokiego barytonu, żartów oraz okazywanej nad wyraz obficie życzliwości.

**Rodzinie i Bliskim
składamy wyrazy głębokiego współczucia**

*Przyjaciele, Koleżanki i Koledzy
z Instytutu Fizjologii i Patologii Słuchu*

Uroczystości pogrzebowe odbędą się w dniu 10.10.2022 r. o godz. 13.00 w Domu Pogrzebowym na Cmentarzu Wojskowym przy ul. Powązkowskiej 43/45 w Warszawie

Jak Europa walczy z Pegasusem

Technologiczne możliwości inwigilacji i podsłuchiwania społeczeństwa wymknęły się spod kontroli.
Europa próbuje ją przywrócić

Rozmawia Jakub Dymek

Gdy aktywiści i dziennikarze rozmawiają o Pegasusie, zwracają uwagę, że to nie jest po prostu podsłuch, lecz coś znacznie poważniejszego – cyberbroń i system do totalnej inwigilacji. Ale dlaczego ta różnica jest tak podkreślana?

– Te systemy – celowo używam liczby mnogiej, bo jest ich więcej – to narzędzia inwigilacyjne nowej generacji. A różnica względem klasycznych podsłuchów jest kluczowa. Można zaatakować kogoś bez angażowania pośrednika, „trzeciej strony”, czyli bez udziału operatora telekomunikacyjnego, który miałby taki podsłuch założyć. Nie trzeba fatygować się do jego siedziby – wystarczy kilka kliknięć i telefon jest już przejęty. Można go wtedy wykorzystać do wielu innych rzeczy, nie tylko do podsłuchu. Zyskujemy dostęp do cudzych zdjęć, aktywności w przeglądanie internetowej, konta na Facebooku i konta w banku.

I można ofiarę np. zdalnie szantażować.

– Tak. Spójrzmy na to z perspektywy osoby oskarżonej. Jeśli na czymś telefonie zostanie znaleziona notatka o tym, jak zabić prezydenta (a Pegasus technicznie pozwala na jej podrzucenie), oskarżonemu bardzo trudno będzie się wytłumaczyć, że nie ma z tym nic wspólnego. Nawet jeśli to rzeczywiście spreparowany dokument. Były takie sprawy, jedna w Indiach, gdzie na szczęście udało się to udowodnić. Ale tylko z powodu błędu autorów tej operacji. Plik z kompromitującymi materiałami rzeczywiście był w telefonie podejrzanego, ale okazało się, że nie ma żadnych śladów edycji tego



WOJCIECH KLICKI

– prawnik związany z Fundacją Panoptikon. Współautor raportu „Osiodłać Pegaza. Przestrzeganie praw obywatelskich w działalności służb specjalnych – założenia reformy”.

dokumentu w metadanych, czyli nie mógł zostać na tym urządzeniu napisany. I to dowiodło, że został podrzucony.

To jednak prowadzi nas do dużo poważniejszego wątku – pytania, czy w ogóle demokratyczne społeczeństwa powinny się zgadzać, żeby służby podobnego narzędzia używały.

Chyba na to jest już za późno? Państwa, także te demokratyczne, używają narzędzi w rodzaju Pegasusa, a społeczeństwa z tym się pogodziły.

– Ale czy ty jako obywatel zgadzałeś się kiedyś na używanie Pegasusa? Ja sobie nie przypominam. Żadnej zgody nie wyrażałem, niczego podobnego nie podpisywałem. Kupno i stosowanie Pegasusa w Polsce dokonało się za naszymi plecami. Co więcej, służby nie przypuszczały, że kiedykolwiek to się wyda. Nie tylko w naszym kraju, lecz globalnie. Myślano, że ten system nie zostawia śladów. Dzięki działaniu Amnesty International czy kanadyjskiego Citizen Lab po prostu udało się to pokazać. I dopiero wiedząc, co się stało, możemy wyrazić zgodę. Wiem, naiwnie to brzmi, ale mamy narzędzia czy pomysły, które pozwoliłyby ograniczyć używanie kolejnych Pegasusów w przyszłości.

Jakie?

– W Parlamencie Europejskim działa komisja, która zajmuje się badaniem, jak wykorzystywano Pegasusa – nie tylko w Polsce, ale i w Grecji, na Węgrzech, w Hiszpanii czy wobec urzędników samej Komisji Europejskiej. Handel takimi narzędziami szpiegowskimi można ograniczyć. Tak aby państwa, które nie zapewniają należytego nadzoru nad służbami – np. Polska – nie mogły sobie sprowadzić z Izraela czy od innego dostawcy oprogramowania szpiegowskiego.

Brak kontroli nad służbami oznacza, że służby mogą podsłuchiwać każdego?

– Tak.

I winnych naruszeń nie spotka kara, a nad całym procesem nie ma legalnej – mówiąc kolokwialnie – czapy?

– Nie. Publicznie dostępne statystyki pokazują, że liczba wniosków o podsłuch stale rośnie. W ciągu ostatnich kilku lat liczba konwencjonalnych podsłuchów zwiększyła się o 20%, a liczba pobranych billingów czy lokalizacji o 60%. Chciałbym wierzyć, że te billingi czy podsłuchy są pobierane i zakładane wyłącznie wtedy, gdy zachodzi podejrzenie, że mamy do czynienia z podejrzanymi o naprawdę poważne przestępstwa. Ale nic na to nie wskazuje. Zaufanie do służb w Polsce spadło zaś poniżej zera. Afera Pegasusa tylko do tego się przyczyniła, bo wiemy, że jeśli służby chcą kogoś podsłuchiwać, mogą to zrobić. I nie musi to być przestępca. Może to być przeciwnik polityczny albo ktoś z firmy, która konkuruje z biznesem naszego szwagra, naprawdę! Pamiętasz wybory z 2020 r.? Wtedy pojawiła się informacja, że sztab Trzaskowskiego mógł być podsłuchiwany. Tyle że w Polsce tak często rzuca się najpoważniejsze oskarżenia, że łatwo było tę informację zignorować. Jeśli jednak naprawdę wykorzystano oprogramowanie szpiegowskie do podsłuchiwania kogoś, to całe wybory stają pod znakiem zapytania. Rzecz w tym, że to możliwe i nie mamy nikogo, kto mógłby to rzetelnie wyjaśnić.

Kiedy Donald Trump krzyczał, że jest podsłuchiwany, też go zignorowano – uznano, że to typowe dla niego myślenie spiskowe. Po latach okazało się, że istotnie podsłuchiwano jego kampanijnego doradcę na podstawie zmanipulowanych dowodów. Winnych nadużyć nawet ukarano, ale wtedy już mało kogo sprawa interesowała.

– Ale to jest kluczowa różnica: jednak kogoś ukarano. Są mechanizmy, które pozwoliły – nawet jeśli za późno – pociągnąć winnych nadużyć do odpowiedzialności. W Polsce niestety ich nie mamy. A charakterystyczne dla służb jest to, że oczywiście koledzy na kolegów nie donoszą. Brak kontroli i odpowiedzialności działa zresztą nie tylko w jednym przypadku. Kiedy podczas tzw. audytu rządów PO minister Kamiński ujawnił, że poprzednie rządy miały podsłuchiwać aż 60 dziennikarzy i dziennikarek, również niewiele

się wydarzyło w celu wyjaśnienia sprawy, poza prywatną inicjatywą niektórych ofiar.

Problem Pegasusa, choć mamy czasami takie poczucie wyższości, nie dotyczy państw autokratycznych i dyktatur. Przeciwnie, to w demokracjach dochodzi do tych nadużyć. Lista krajów, które mają problem z podejrzeniem wykorzystania Pegasusa do działań stricte politycznych, jest dość długa: od Izraela, przez Finlandię, po Hiszpanię...

– Pomyśl, jak wielką pokusę stanowi Pegasus. Wystarczy kilka kliknięć i już jesteś w telefonie przeciwnika politycznego albo krytycznego dziennikarza. Mechanizmy zabezpieczające obywateli nie są dostosowane do tych zagrożeń, bo prawo powstawało w czasach, gdy podobnie zaawansowanej technologii po prostu nie było. Gdy to zrozumiemy, jaśniejsze staje się, że cała Europa musi dogonić rzeczywistość i właśnie próbuje to zrobić.

Wystarczy kilka kliknięć i telefon jest przejęty. Zyskujemy dostęp do cudzych zdjęć, aktywności w przeglądarce internetowej, konta na FB i w banku.

To znaczy?

– Słyszymy o nadużyciach, do których doszło, a nie słyszymy o wykorzystaniu Pegasusa do walki z terroryzmem czy przestępczością zorganizowaną. I to interesuje komisję Parlamentu Europejskiego. Jednym z mechanizmów, które sugerujemy także komisji, aby wziąć Pegasusa i podsłuchy pod kontrolę, jest informowanie ludzi, że byli podsłuchiwaani. Oczywiście po fakcie, z wyjątkiem spraw bardzo wrażliwych z punktu widzenia bezpieczeństwa narodowego. To, poza jawnością, może umożliwić ludziom dochodzenie przed sądami swoich praw, jeśli zostały one naruszone przez np. przekroczenie uprawnień.

Jednak w Polsce policja i prokuratura wsadzają ludzi do aresztów tymczasowych na lata, nie martwiąc się przesadnie ani o nadużycia, ani odszkodowania, które potem idą w miliony. Dlaczego w sprawie pod-

słuchów miałyby się bać pozwów ze strony obywateli?

– Podsłuchy i nadużywanie aresztów tymczasowych mają ze sobą tyle wspólnego, że i tu, i tu elementem, który umożliwił nadużycia, była niedostateczna kontrola sądów. Sędziowie są zmuszeni niejako zaufać prokuraturze i służbom. Co powoduje, że w niektórych środowiskach w Polsce zwracanie na to uwagi jest mało komfortowe. Ale co do zasady jestem przeciwnikiem rozumowania, że skoro z jednym problemem państwo polskie sobie nie radzi, czy wręcz tworzy patologie, to nie powinniśmy mieć nadziei, że uda się naprawić inny problem. Naprawmy jeden i drugi. **Czy inwazja Rosji na Ukrainę zwiększyła przyzwolenie na ignorowanie czy łamanie praw obywatelskich w imię kolektywnego bezpieczeństwa?**

– Nawiązując do przykładu z Trumpem, zwrócę uwagę na pewną osobę, która też nie jest jakoś powszechnie lubiana i szanowana. Mowa o Marcinie

Roli, twórcy internetowego kanału wRealu24, który jest oskarżany o szerzenie prorosyjskich podobno narracji. Służby, razem z cyfrowymi gigantami, blokują kanały internetowe tego człowieka. Ja bym chciał, choć sam nie jestem fanem twórczości Marcina Roli, żeby on jednak miał szansę się odwołać od tych decyzji i by podobne decyzje zapadały w przejrzysty sposób. Tak samo z blokowaniem przez rząd stron Poufna Rozmowa, które publikują mejle ministra Dworczyka i jego kolegów z KPRM.

Jedno i drugie motywowane jest tym, że jesteśmy niejako na wojnie. A zbiorowe emocje nie pozwalają zauważyć, że choć dziś blokowany jest ktoś, kogo nie lubimy, jutro może to dotknąć nas. Prawdę mówiąc, obawiałem się, że wykorzystanie zagrożenia, ta atmosfera stanu wojennego, posłuży do mocniejszego dokręcenia śruby. Może nie było potrzeby? ▶

► **Ale z wrzuceniem do lodowatej rzeki kobiety z Konga albo obywatelki Syrii na drut żyletkowy na granicy polsko-białoruskiej nie ma problemu. Zaostrenie retoryki zagrożenia rzeczywiście nie odbiło się jeszcze na mieszkańcach Warszawy albo Łodzi, ale w strefie przygranicznej pozwala robić dosłownie wszystko, nawet gdy nie obowiązuje już stan wyjątkowy.**

– To prawda, stan wojny został wykorzystany do dalszej dehumanizacji ludzi na granicy. Ale to też zaczęło się przed 24 lutego. Dehumanizacja uchodźców miała miejsce wcześniej, a wskazywanie, że „inni” uchodźcy – czyli ci z krajów Afryki i Bliskiego Wschodu – stanowią dla

inwigilacji przez amerykańskie agencje rządowe, otrzymał właśnie rosyjskie obywatelstwo. W kontekście prowadzonej przez Rosję wojny spowodowało to, że dziś media znów kwestionują jego motywację. Co o tym sądzisz?

– Narracja, że Snowden był i jest rosyjskim agentem, z pewnością jest bardzo wygodna z punktu widzenia osób i służb, których działanie i metody Snowden ujawnił. Ja jednak nie zajmowałem się nigdy motywacjami i metodami działania Snowdena, a tym bardziej nie interesuje mnie ocena jego osobowości czy moralności. Ważne są fakty. Tego, co zostało ujawnione na temat działania amerykańskich służb, szpiegowania

terytorium czy pewnych instytucji Zachodu, ale tego, kim jesteśmy, naszej kultury i tożsamości. Nie możemy jednak w wojnie z Rosją stać się Rosją. Jeśli tak ma się to odbywać – z przyzwoleniem na inwigilację, przemoc, kłamstwa – to ja nie chcę w takiej wojnie brać udziału.

A czy przypadkiem to się nie dzieje?

– Zachowajmy miarę i proporcje. Możemy w Polsce i Europie mówić o wielu problemach z naruszaniem naszej prywatności, bezpieczeństwa i praw. Ale wciąż możemy o tym mówić. Mimo że jako Fundacja Panoptikon jesteśmy bardzo krytyczni wobec polskiego rządu, włos z głowy jeszcze nam nie spadł. Gdybyśmy byli po drugiej stronie granicy, drżałbym jednak o swoje bezpieczeństwo. Pewne tendencje w naszym kręgu cywilizacyjnym są naprawdę niepokojąco podobne do tego, co się dzieje w Rosji, ale nadal myślę, że symetrii nie ma.

A przyzwolenie na przemoc?

– Mechanizm wykluczania ze wspólnoty i dopuszczania się przemocy wobec tych, którzy nie są nami, oczywiście istnieje. Udowodniła nam to granica polsko-białoruska. Ale aktywiści i lokalni mieszkańcy też przeciwko temu się buntują. W sądach zapadają korzystne dla uchodźców wyroki. Nie ma mimo wszystko w Polsce podobnego przyzwolenia na brutalność, jakie jest w Rosji. Choć sceny z ubiegłego roku spod granicy budzą naprawdę gorzkie wspomnienia i pytanie, czy to przyzwolenie na dehumanizację innych w kontekście wojny rośnie, czy maleje.

Jakub Dymek

j.dymek@tygodnikprzeglad.pl



W Parlamencie Europejskim działa komisja badająca, jak wykorzystywano Pegasus w Polsce, Grecji, na Węgrzech, w Hiszpanii czy wobec urzędników samej KE.

nas zagrożenie, jest stałym elementem dyskursu publicznego w Polsce. Gościńność wobec obywateli Ukrainy w uderzający sposób przypominała o różnicach w traktowaniu uchodźców ze względu na ich kolor skóry i granicę, przez którą trafiają do Polski.

A ustawa o obronie ojczyzny daje wojsku dostęp do danych Polaków i z wyjątkiem pięciu postów Konfederacji zagłosował za nią cały polski parlament: i Sejm, i Senat.

– Ale opozycja zaproponowała poprawki, które wprowadzały kontrolę nad przekazaniem wojsku tych danych i szły w słusznym kierunku.

Ale zostały odrzucone!

– Jednym głosem w komisjach, gdzie popierała je cała opozycja. To była bardzo wyrównana walka. Jednak kiedy trzeba było zagłosować za całą gigantyczną ustawą, te wątki danych osobowych przepadły. Nie dziwię się, że postowie i senatorowie nie zagłosowali przeciwko ustawie o obronie ojczyzny, bo to by ich wystawiło na atak. Tylko sobie to wyobraźmy: „Jak to? Opozycja jest przeciwko obronie ojczyzny?”.

Edward Snowden, sygnalista, który 10 lat temu ujawnił skalę globalnej

sojuszników czy dezinformowania własnych obywateli, nie zmienia już to, że Snowden po latach przyjął z powodów rodzinnych rosyjskie obywatelstwo. To, co ujawnił, było skandalem, o którym nie powinniśmy zapominać. A że znalazł się w Rosji, to nie był jego wybór. Ważniejsze jest meritum, to, o co w tej aferze chodzi.

Czyli?

– Amerykańskie korporacje i służby wykorzystywały to, że są – obrazowo mówiąc – w samym centrum internetu. I działały zgodnie z logiką: bierzemy wszystko. Wszystkie informacje, jakie da się wyciągnąć o użytkownikach. A potem będziemy to przeczesywać. W ten sposób zasysano informacje o każdym z nas, o milionach jeśli nie miliardach osób, które nigdy nie były o nic podejrzewane i oskarżone.

Ale krytycy Snowdena powiedzą dziś tak: czy mu się to podoba, czy nie, jest narzędziem w rękach Moskwy, które służy do uderzania w Zachód.

– Gdy zaczęła się wojna 24 lutego, w trakcie jednej z sejmowych debat padł argument, pod którym i ja się podpiszę. Bronimy dzisiaj nie tylko

Refleksje pesymisty



Andrzej Romanowski

Wielebne głupstwo

Pprzed kilku laty, w artykule opublikowanym w kwartalniku „Łódzkie Studia Teologiczne”, książd profesor, abp Marek Jędraszewski, nie poznał się na żarcie amerykańskiego historyka i do życia naukowego powołał fikcyjnego kronikarza, Kpinomira. Dziś inny książd profesor, metropolita Sawa, zwierzchnik Polskiego Autokefalicznego Kościoła Prawosławnego, szerzy kolejne nieprawdy: „Chrześcijaństwo na nasze ziemie przynieśli uczniowie świętych Cyryla i Metodego. [...] My wiemy, że Mieszko został ochrzczony w obrządku bizantyńskim, a dopiero później, w 966 r., dokonano ponownego chrztu. [...] Później Bolesławowi Chrobremu zależało, żeby wejść w sferę wpływów niemieckich; zorganizował zjazd gnieźnieński. Zaproszono też Adalberta, tj. Wojciecha, który zwalczał obrządek bizantyński. Poszedł on na wschód, przez Prusy aż na Litwę. Nawracał i chrzczył już ochrzczonych. W każdym razie obrządek wschodni przez Karpaty i Galicję dotarł na Ruś” („Polityka” nr 33).

Jestem katolikiem, ale od lat piszę z czią i miłością o polsko-ruskim prawosławiu, odkrywam jego dobroczynny wpływ na kulturę mojego narodu, zachwycam się liturgią, fascynuję dogmatami. Od lat bronię prawosławia, bo widzę w nim relikty dawnej, wielonarodowej i wielokulturowej Rzeczypospolitej, konfesję, która od moich współwyznawców doznała w dziejach wielu krzywd. Ale szacunek dla prawosławia nie może stać wyżej niż szacunek dla prawdy. Nie jest bowiem prawdą, że na zjazd gnieźnieński w 1000 r. zaproszono Wojciecha-Adalberta, skoro zjazd był pielgrzymką do... jego grobu. Wojciech nawet nie zaczął swojej misji, bo został przez Prusów zamordowany; tym samym więc nie doszedł przez kraj Prusów aż na Litwę. O jakimkolwiek powtórnym chrzcie Mieszka I źródła milczą. Obrządek bizantyński nigdy na ziemie polskie nie dotarł, chyba że mówimy o obrządku słowiańskim, ale i to niemożliwe, skoro brak śladu przynależności w IX w. jakiegokolwiek skrawka ziem polskich do Państwa Wielkomorawskiego. I nawet jeśli pamiętać o istnieniu w X w. ochrzczonej ludności słowiańskiej nad Bałatonem lub o reliktach obrządku słowiańskiego w XI-wiecznych Czechach, to język staro-cerkiewno-słowiański był wszędzie tam zapisywany głągolicą, a można wykluczyć, by wcześniej, przez Panonię zajęta przez pogańskich Madziarów, przedarł się na pogańską Ruś. Tymczasem uczniowie Cyryla i Metodego powędrowali w 886 r. z Wielkich Moraw wcale nie na północ, do dzisiejszej Polski, lecz na południe, w dodatku w kajdanach, bo wyklął ich biskup niemiecki Wiching. Wykupieni

w Wenecji przez posta bizantyńskiego, przynieśli obrządek słowiański do Dalmacji, a potem do Bułgarii, gdzie w początku X w. powstał drugi alfabet języka staro-cerkiewno-słowiańskiego: cyrylica. I dopiero w wersji cyrylickiej przeszło chrześcijaństwo z Bułgarii na sąsiednią Ruś. Jakie więc Karpaty i jaka (w X w.!) Galicja?

Jędraszewski i Sawa nie są historykami, lecz teologami. Jednak to ich nie usprawiedliwia: są uczonymi, zobowiązanymi przysięgą doktorską do świadczenia prawdy. Ale jakiej prawdy? Czy prawda może być respektowana przez Kościoły? Skoro prawdy nawet takie jak powyższe są niszczone, wykoślawiane i przekręcane, to cóż mówić o sprawach wstydlivych, których w historii Kościołów nie brakuje? Jędraszewski opublikował swoje rewelacje w czasopiśmie naukowym. Czy nie obowiązywały tu recenzje wewnętrzne? „My wiemy”, mówi dziś Sawa. Czy mediewistyka prawosławna dysponuje wiedzą inną niż ogólnie przyjętą?

Kiedyś, wobec ofensywy laicyzmu, biskupi przynajmniej publicznie okazywali respekt dla wiedzy. Obecnie pękły wszelkie bariery.

„Wielebne głupstwo”. W „Monachomachii” Ignacego Krasickiego odnoszą się te słowa do XVIII-wiecznego klasztoru katolickiego na prowincji. Równie dobrze rzecz można: wielebne nieuctwo. Krasicki nie był wrogiem Kościoła, przeciwnie, był rzymskokatolickim biskupem, z czasem, już po „Monachomachii”, został nawet arcybiskupem, bo jego szyderstwa z klasztoru jakoś w tym awansie nie przeszkodziły. Ale dziś takich biskupów już nie ma. A prowincjonalne nieuctwo sięgnęło samych szczytów hierarchii. Jeszcze kilkadziesiąt lat temu, wobec ofensywy laicyzmu, biskupi wystrzegali się wypowiedzi kontrowersyjnych i przynajmniej publicznie okazywali respekt dla wiedzy. Obecnie pękły wszelkie bariery, tym bardziej że pogarda dla wiedzy stała się znakiem rozpoznawczym państwa PiS. Gdy jednak przyjąć, że w Kościele/Cerkwi szuka schronienia człowiek wierzący bez względu na własne zapatrywania, to minimalnym jego oczekiwaniem musi być prawda – gdy jej brakuje, nie wolno milczeć zwłaszcza jemu. „Śmiejmy się z głupich, choć i przewielebnych”, radzi bp Krasicki.

a.romanowski@tygodnikprzeglad.pl



W kwietniu Rosjanie przeprowadzili test międzykontynentalnej rakiety Sarmat zdolnej do przenoszenia ładunków nuklearnych.

Nuklearna łamigłówka Putina

Wojciech Łuczak

Czy Kijów – polityczne i decyzyjne centrum Ukrainy – jest celem numer jeden na gotowej już zapewne liście celów rosyjskiej taktycznej broni nuklearnej? Czy zdesperowany, rozczarowany niepowodzeniami militarnymi, walczący o przetrwanie i potencjalnie o dotychczasowy kształt Federacji Rosyjskiej Putin zdecyduje się na jeden paraliżujący cios w ukraiński mózg? Czy w ten sposób planuje on zakończyć coraz bardziej kompromitującą dla niego awanturę wojenną?

Na tak postawione pytania amerykański czterogwiazdkowy generał Philip M. Breedlove – emerytowany SACEUR, NATO Supreme Commander, były dowódca wojsk Sojuszu Atlantycznego w Europie – odpowiada negatywnie. Breedlove był doświadczonym pilotem F-16, przeznaczonych także do uderzeń jądrowych na potencjalnym europejskim

Co robi Ameryka, gdy Rosja odpali bombę atomową?

teatrze działań. Dowodził dywizjonami i skrzydłami myśliwców taktycznych, a potem zajmował się planowaniem globalnym US Air Force. Jak sam mawia, zjadł zęby na budowaniu operacji nuklearnych. I choć minęło trochę czasu od chwili, kiedy w maju 2013 r. otrzymał od demokratycznej administracji Baracka Obamy nominację na najwyższe stanowisko dowódcze w NATO, nadal doskonale orientuje się w sprawach, którymi żyją jego koledzy w dowództwie Sojuszu w Mons w Belgii.

Kijów – raczej nie

Breedlove uważa, że Putin nie wyda rozkazu uderzenia taktyczną bronią jądrową w Kijów. Z kilku powodów. Po pierwsze – w takiej

wojnie nuklearnej nie można wygrać. Po drugie – udane uderzenie atomowe na ukraińską stolicę wiązałoby się ze śmiercią setek tysięcy osób, w tym dyplomatów państw NATO. A to implikowałoby mocną odpowiedź. Jaką? Generał wyklucza atlantycką ripostę nuklearną, ale ta konwencjonalna byłaby drugocząca dla Rosji. Jako dawny pilot, śledzący uważnie poczynania lotnictwa rosyjskiego, nie ma żadnych wątpliwości, że jego pokonanie i utrzymanie panowania w powietrzu przez samoloty NATO nie byłoby specjalnym wyczynem. A co dalej? No cóż... Amerykański generał jest absolutnie pewien jednego – odpowiedź na ewentualny atak atomowy Putina na Ukrainę nie może być kolejną serią sankcji.

Skoro nie Kijów, to co kryje się za deklaracjami Moskwy o możliwości użycia taktycznej broni nuklearnej? Breedlove rysuje trzy opcje planowania rosyjskich generałów.

Od demo po uderzenie frontowe

Na dole drabiny jądrowej eskalacji znajduje się tzw. wybuch demonstracyjny – demo. Pocisk z głowicą nuklearną czy bomba lotnicza eksplodowałyby gdzieś nad Morzem Czarnym. Po to, aby rozluźnić więzy frontu sojuszników i uświadomić Zachodowi, że żarty już się skończyły. Słabi, wątpiący aliansi powinni wówczas się wyłamać. Straty nie byłyby zbyt duże, a efekt – piorunujący dla świata. Warto w tym momencie przypomnieć, że tego rodzaju przewidywanie wynika z dawnej amerykańskiej logiki atomowej. Dla znawców historii nie jest żadną tajemnicą, że przez polityczny Waszyngton końca II wojny światowej przewijała się nieśmiała koncepcja zdetonowania pierwszych bomb A gdzieś na Pacyfiku, aby pokazać Japończykom, co ich czeka, jeżeli nie ogłoszą kapitulacji. Naukowcy, fizycy z Los Alamos, byli nawet pewni, że na eksplozję – efekt ich tytanicznych wysiłków – zaproszona zostanie delegacja japońskiego sztabu i będzie już po wszystkim. Natomiast armia, a raczej lotnictwo US Army, chciało wypróbować nową broń w praktyce... Demo jest jednak bardziej wytworem kultury i obyczajowości Zachodu niż realiów Wschodu Putina.

Drugim szczeblem w atomowej drabinie Putina – jak to widzi Philip M. Breedlove – jest eksplozja taktycznego ładunku jądrowego gdzieś wysoko nad Ukrainą. To koncepcja zwana *airburst*. Wywołałaby ona ogromne szkody i straty, ale

wybuchów na Pacyfiku pogoda spłatała śmiertelnego figla planistom. Ofiarami opadu promieniotwórczego nie tam, gdzie się spodziewano, stali się japońscy rybacy.

Celem *airburst* byłoby kompletne sparaliżowanie ukraińskiej infrastruktury na danym terenie na skutek działania impulsu elektromagnetycznego. Całkowicie zlikwidowałby on wszystkie komputery, urządzenia

Na dole drabiny jądrowej eskalacji znajduje się wybuch demonstracyjny. Pocisk z głowicą nuklearną czy bomba lotnicza eksplodowałyby gdzieś nad Morzem Czarnym.

elektroniczne (za wyjątkiem archaicznych lampowych!), linie energetyczne i sieci przesyłowe w rejonie eksplozji.

I wreszcie trzeci stopień eskalacji – użycie taktycznej broni jądrowej gdzieś na froncie, aby zadać przeciwnikowi jak największe straty na polu walki. Ryzykując jednak przy tym życie i zdrowie własnych żołnierzy. Ale w tym przypadku wszyscy zdajemy sobie sprawę z tego, że ani Putin, ani jego generałowie nie zwracają sobie głowy losom „ładunków jedno-razowych”, jak obrazowo wyraził się w przechwyconej przez Ukraińców rozmowie radiowej jeden z rosyjskich dowódców.

Scenariusze na najgorsze

W tym momencie docieramy do najciekawszej części nuklearnej łamigłówki Putina, a także planistów

na filmach akcji. A superbohaterowie ratowali zazwyczaj świat, siedząc na nich okrzakiem i rozbijając je szczyrkami lub śrubokrętami albo wręcz przecinakami. Realia są zupełnie inne. Amunicja jądrowa jest gorąca. Wytwarza promieniowanie i dlatego trzeba ją przechowywać z zachowaniem najwyższych środków ostrożności. Podczas ewakuacji radzieckich bomb atomowych

z terenu dawnego NRD... wieszano je na specjalnych hakach w schrono-hangarach na lotnisku pod Kołobrzegiem. Wiele miesięcy po przejęciu obiektu nasi eksperci od broni chemicznej odkryli ślady ich szczątkowego promieniowania.

Skoro mamy do czynienia z rosyjską taktyczną amunicją jądrową mniejszej mocy, nie jest ona zainstalowana w przeznaczonych do natychmiastowego użycia międzykontynentalnych pociskach strategicznych, lecz starannie składowana w mniej lub bardziej znanych magazynach. Według Pawła Podwiga, byłego wykładowcy moskiewskiego Instytutu Fizyki i Techniki, a obecnie pracującego w CERN w Genewie, zlecając taktyczne uderzenie atomowe na Ukrainę, Putin musi sięgnąć po zasoby 12. specjalnego zarządu moskiewskiego resortu obrony. W jego pieczy znajdują się tzw. Obiekty S, czyli rozsiane na terytorium Federacji Rosyjskiej magazyny taktycznej broni nuklearnej. Ten najbliższy granic Ukrainy jest znany jako Biełgorod-22, zlokalizowany ok. 40 km od obszaru zaatakowanego państwa. Nie trzeba chyba dodawać, że jest on ciągle i wnikliwie monitorowany z orbity przez Amerykanów, ale pewnie również za pomocą innych środków, w tym agentury na miejscu...

Co czeka Moskwę?

Co się stanie, jeśli Amerykanie odkryją i potwierdzą fakt wydobycia

Rosjanie są przyzwyczajeni do wykorzystywania małych ładunków nuklearnych. Za pomocą ponad 100 ładunków „do celów pokojowych” drążono skały, robiono wielkie dziury w ziemi.

stosunkowo niewielką liczbę zabitych na miejscu. Nie licząc oczywiście umierających od napromieniowania czy odchodzących w długich męczarniach w efekcie wdychania promieniotwórczego opadu, i to wszędzie, w zależności od siły i kierunków wiatru. W tym miejscu trzeba odnotować, że pół wieku temu podczas jednego z próbnych amerykańskich

z NATO. Czy Sojusz Północnoatlantycki ma przygotowane scenariusze na każdy z tych wariantów kremlofskiego szaleństwa? Precyzyjna odpowiedź na to pytanie obecnie jest chyba dla rosyjskiego wywiadu najbardziej interesująca.

Głowice nuklearne do pocisków raketowych czy jądrowe bomby lotnicze wszyscy widzieli wielokrotnie

► i przygotowania do akcji taktycznej amunicji jądrowej z obiektu Biełgorod-22 lub innego? Gen. Breedlove jest przekonany, że nie tylko USA, ale i cały Sojusz Północnoatlantycki zrobi wszystko, aby odstraszyć Rosjan od jej bojowego wykorzystania. Ale jak? Breedlove nie chce się sam wypowiadać, odsyłając ciekawych do znakomitego materiału „Co będzie, jeśli Rosja użyje broni nuklearnej na Ukrainie?” pióra Erica Schlossera,

stoi pod znakiem zapytania. Nunn sądzi, że już teraz administracja prezydenta Bidena uprzedziła bez żenady Moskwę, co ją czeka w przypadku atomowego taktycznego uderzenia na Ukrainę. Na pewno nie będzie to kontruderzenie nuklearne. Ale w zależności od liczby ofiar takie kroki jak zatopienie okrętu, z którego odpalono by pocisk z głowicą jądrową, zatopienie całej Floty Czarnomorskiej czy ustanowienie strefy zakazu lotów

rosyjskie sztaby i centra dowodzenia, podejmą także działania hybrydowe, ale konwencjonalne. Zachowując sobie dalsze opcje militarne na wszelki wypadek. Wiadomo, że administracja Bidena sformowała zespół ekspertów o nazwie Tiger Team, który od dawna prowadzi gry decyzyjne, po to aby zbudować optymalne scenariusze na wypadek nuklearyzacji wojny na Ukrainie. Cel jest znany – należy odstraszyć Moskwę od najgorszego, a w skrajnym wypadku zmusić ją do rezygnacji z kolejnego ciosu atomowego.

Mała bomba – mała krew

Trudno jednak przewidzieć posunięcia Kremla. Problem również w tym, na co zwrócił uwagę Schlosser po rozmowie z 94-letnim obecnie byłym sekretarzem obrony Williamem J. Perryem, że Rosjanie są przyzwyczajeni do wykorzystywania małych ładunków nuklearnych. Mało kto wie, że za czasów radzieckich zdetonowano ponad 100 ładunków „do celów pokojowych”. W ramach tzw. Programu nr 7 dla gospodarki drążono skały, robiono wielkie dziury w ziemi. Na Ukrainie w 1972 r. w kopalni w Krasnowgradzie – ponad 100 km od Charkowa – zdetonowano minę jądrową, aby zatkać wyciek gazu. Ładunek miał moc jednej czwartej bomby z Hiroszimy. W roku 1979 w podobny sposób zneutralizowano niebezpieczeństwo niekontrolowanego wybuchu metanu w kopalni w Junokommunarsku w Donbasie. Eksplozja miała siłę jednej czterdziestej piątej bomby z Hiroszimy. Nikt z 8 tys. mieszkańców Junokommunarska ani z szeregowych górników nie miał pojęcia o użyciu ładunku nuklearnego. Tym ostatnim dano jeden dzień wolnego na zajęcia obronne, a potem posłano do pracy.

Stąd przekonanie wielu amerykańskich decydentów, że dla Putina marzącego o powrocie czasów radzieckich podjęcie decyzji o użyciu tzw. małej broni atomowej nie będzie specjalnym problemem. Przecież Ukraińcy mieli ponownie zostać podbici czymś, co w rosyjskim slangu wojskowym nazywa się małą krwią.

Wojciech Łuczak

Na Ukrainie w 1972 r. w kopalni w Krasnowgradzie zdetonowano minę jądrową, aby zatkać wyciek gazu. Ładunek miał moc jednej czwartej bomby z Hiroszimy.

zamieszczonego w czerwcowym numerze magazynu „The Atlantic”. Zdaniem Sama Nunna, długoletniego przewodniczącego senackiej Komisji Sił Zbrojnych, eksperta od problemów strategii nuklearnej, trzy czynniki zabezpieczały dotychczas świat przed katastrofą nuklearną: rozsądni, przewidywalni przywódcy, dokładne informacje i eliminacja wielkich pomyłek. Dziś to wszystko

Rosjan nad Ukrainą. Nawet jeśli wiązałoby się to ze zniszczeniem wszystkich systemów przeciwlotniczych w rosyjskich bazach.

Jeśli ponad wszelką wątpliwość Rosja rozpocznie przygotowania do taktycznego ataku jądrowego na Ukrainę – czytamy dalej w artykule Schlossera – USA zaczną od ukazania tego faktu światu, uruchomią narzędzia cyberwojny, aby sparaliżować

Profilaktyka zdrowotna
i innowacyjne rozwiązania
w ochronie zdrowia

4. KONGRES
ZDROWIE
POLAKÓW
DEBATY I PANELE HYBRYDOWE

Zapraszamy
17-18.10.2022
kongres-zdrowiepolakow.pl

Organizatorzy:

Logo of the Ministry of Health, National Institute of Hygiene, and other participating organizations.

Lewomyślniej



Roman Kurkiewicz

Urban z pokojowym Noblem literackim

Jest taki obyczaj w mediach społecznościowych, że notatkę na jakiś temat, prośbę, apel opatruje się ilustracją niemającą kompletnie nic wspólnego z meritem poruszanej sprawy. Jest to często kotek (kotki się klikają, mają oglądanie, przyciągają), rzadziej piesek, dawna szkoła to oczywiście fragment nagiego ciała kobiecego, ów symboliczny biust, choć dzisiaj trafia się i kształtny, kaloryferkowo wyrobiony tors czy brzuch męski. Trochę taki jest mój tytuł, choć ma też elementy dawnej szkoły. Niby nie jest na temat, posługuje się elektryzującym nazwiskiem Jerzego Urbana, który zmarł (nigdzie nie odszedł), człowieka, wobec którego niemal nikt ze sfery publicznej nie pozostawał obojętny: kochając lub nienawidząc, podziwiając lub gardząc, rozumiejąc lub nie podejmując takiego wysiłku, upamiętniając lub odsyłając do lamusa historii, żeby nie powiedzieć śmietnika. Mam i ja swój stosunek do Jerzego Urbana, ale przy tej, nieuchronnej, jakkolwiek by z niej żartować, okazji postanowiłem się nim nie dzielić. Tak więc liczyłem (bez wielkiego przekonania zresztą), że ktoś sięgnie i przeczyta, bo będzie ciekaw, co ja tu o Urbanie wysmaruję. W tym momencie tekstu wiadomo już, że nic z tego. Zatrzymam się nad tytułami prasowymi czy medialnymi.

Przeżyłem co najmniej cztery ich epoki: czytane w pierwszym okresie lektur prasowo-formacyjnych jako rodzaj przewodnika informacyjnego po numerze, czy to były wielkie płachty „Polityki”, rzadziej „Tygodnika Powszechnego” (lata 70.), czy dzienników (tak, tak, czytałem). Potem nadszedł czas wielkiej smuty lat 80. i zasadniczo pojawiła się śmiertelna nuda, język tytułów drętwy, powtarzalny, kliszowaty, sam nie wiem, jakim cudem niezniechęcający w stopniu całkowitym do czytania. Po 1989 r. miałem wrażenie, że język tytułów ożył, zaczął wirować w feerii zwirowanych, trzymany pod kloszem możliwości przekraczania granic żartów. To był czas tytułów nieokleśnianych – w jakiejś mierze brałem też w tym karnawale udział. Małą notkę o zawaleniu się najwyższego masztu radiowego w Konstantynowie zatytułowałem: „Był najwyższy, jest najdłuższy”, łamiąc konwencję BBC-owskich wzorców, zaleceń, powagi i odpowiedzialności. Z pewną ekscytacją obserwowałem drugie życie innej z moich tytułów: „Co czwarty bocian jest Polakiem”, chociaż oczywiście potem ktoś napisał, że doskonale pamięta, że to on wymyślił. W czasie euforycznej tytułotwórczości z zazdrością komentowaliśmy, że „na Zachodzie” są ludzie, którzy tylko układają tytuły do tekstów, inni piszą leady. Potem zaczął powstawać rynek reklamy w Polsce i wszyscy tytularze zostali copywriterami. A w mediach znowu zaczęło wiać nudą i przewidywalnością, purytańską

przyzwoitością, którą jedynie tygodnik „Nie” Jerzego Urbana demolował ponad poziom obowiązującej skali przekroczeń. No i nastał internet, kiedyś nadzieja, potem sprywatyzowany moloch nad molochami, gdzie treści nie znaczą, gdzie znaczą kliknięcia, gdzie obowiązują reguły bazarowego zwabiania, zwanego marketingiem. Ten rodzaj tytułów przeszedł do mediów, bo mając statystyki przed oczyma, fachmani uznali, że coś się czyta, bo jest durny, nic niemówiący tytuł. „Kompościńska ujawnia! Wiemy co!”, po czym w tekście okazuje się, że dziecko Kompościńskiej ma dwie nogi i dwie ręce. „Nowakowa nie pozostała dłużna Kowalskiej. Dotarliśmy do nagrania. To koniec”. Już nawet nieważne, o czym to.

Prawdę mówiąc, chciałem napisać całkiem o czymś innym, co delikatnie zasugerowałem w tytule nie na temat, czyli o tygodniu przyznawania nagród noblowskich. To jest jak co roku ten październikowy tydzień, który mamy za sobą. W czwartki i piątki rusza lawina komentarzy, zadziwień, zaskoczeń, bluzgów i zachwytów, dzielenia się tym, co być winno, a nie jest, oburzenia, że Komitet Noblowski znowu dał plamę, że się nie zna,

Na czym jak na czym, ale na ekonomii Polacy się znają – od kontrolera biletów do prezesa NBP.

że nie rozumie, że jest sterowany, durny i banalny, koteryjny i generalnie do niczego się nienadający, kiedy ogłasza swoje nagrody w czwartek (literacką) i w piątek (pokojową). Na czym jak na czym, ale na literaturze i pokoju na świecie wszyscy się znają doskonale. Gwaru nie ma za to we wcześniejsze dni, bo jak tu komentować coś takiego jak zasługi na polu „zsekwencjonowania genomu neandertalczyka i odkrycia nieznanego wcześniej hominida – denisowianina” (fizjologia i medycyna); co rzec na temat „eksperymentów z kwantowym splątaniem fotonów, ustaleniem naruszenia nierówności Bella i pionierskich dokonań w dziedzinie informatyki kwantowej”; w co kliknąć w wypadku nagrody za „chemię kliknąć” i chemię bioortogonalną? Tu musi zapaść cisza. Tego wolno nam nie rozumieć, nie mieć pojęcia, o co chodzi, swój czas mają ściślaki, których na co dzień nie rozumiemy, nie uważając, że nasza fizyczno-chemiczno-medyczna ignorancja jest czymś wstydliwym.

Nie ma co się martwić, w poniedziałek też ruszy lawina mądrości powszechnej, bo nagroda zostanie przyznana z ekonomii, a na czym jak na czym, ale na ekonomii Polacy się znają – od kontrolera biletów do prezesa NBP. Och, ty Noblu przebrzydły!

Szyici walczą o Irak

Bagdad w głębokim impasie politycznym

Jakub Katulski

Ostatnie dwie dekady w Iraku trudno nazwać stabilnymi. Od czasu amerykańskiej inwazji w 2003 r., która obaliła rządzącego od 24 lat Saddama Husajna, w kraju trwały walki wewnętrzne. Toczyły je rozmaite milicje, które zarówno sprzeciwiały się amerykańskiej obecności wojskowej, jak i rywalizowały między sobą, nierzadko krwawo. Jednym ze skutków tych walk było wyłonienie się w 2013 r. Państwa Islamskiego, powstałego na gruncie lokalnej Al-Kaidy, ale także szyickiej partyzantkiej Armii Mahdiego, na czele której stanął duchowny Muktada as-Sadr.

Rok bez rządu

Dzisiaj jest o nim głośno za sprawą kryzysu politycznego, w którym Irak utknął po wyborach z października ub.r. To właśnie As-Sadr stanął na czele bloku, który zdobył najwięcej mandatów w parlamencie, ale do tej pory nie udało mu się stworzyć rządu koalicyjnego mimo rozmów z kurdyjskimi i sunnickimi sojusznikami. Z drugiej strony rywalizujące z As-Sadrem proirańskie ugrupowania szyickie także nie osiągnęły sukcesu w negocjacjach. A lider sadrystów kategorycznie odmówił układania się z grupami jawnie wspierającymi działalność Iranu w kraju.

Nic w tym dziwnego. Kiedy na czele Armii Mahdiego zwalczał amerykańską okupację Iraku, dorobił się na Zachodzie opinii antyamerykańskiego radykała. Słusznej jedynie częściowo, gdyż As-Sadr sam siebie uważa raczej za nacjonalistę, który chce ograniczyć wszelkie zagraniczne wpływy w polityce i ułatwić Bagdadowi obranie własnego kursu politycznego, odrębnego od Teheranu i Waszyngtonu, do których przylgnęło wiele innych sił w kraju.

Muktada obarczany jest winą za przedłużający się kryzys, po tym jak w czerwcu zarządził, by parlamentarzyści z jego bloku złożyli mandaty, i przeniósł swoją politykę na ulicę. Według Haley Bobseine, analityczki zajmującej się Bliskim Wschodem, ruch ten był błędem i nie przyniósł sadrystom spodziewanych zysków politycznych. Nie przewidzieli oni, że ich mandaty szybko obejmą przedstawiciele konkurencyjnych ugrupowań szyickich, powiązanych tym razem z irańskim reżimem i nazywanych zbiorczo Radą Koordynacyjną. W rezultacie właśnie te ugrupowania zdobyły aż 130 mandatów w złożonym z 328 deputowanych parlamencie – Radzie Reprezentantów.

Konkurencja jednak również popchnęła błąd, jak przekonuje Bobseine w artykułach dla waszyngtońskiego think tanku Middle East Institute, lekceważąc As-Sadra i licząc, że będzie on biernie się przyglądał, jak Rada Koordynacyjna spróbuje w przyspieszonym tempie zbudować własną koalicję rządową. Sadryści, którzy w Muktadzie widzą silnego przywódcę, szybko odpowiedzieli na te działania. W lipcu i sierpniu szturmowali budynek Rady Reprezentantów oraz atakowali biura ugrupowań wchodzących w skład Rady Koordynacyjnej, zarówno w Bagdadzie, jak i innych miastach.

Wzrastające napięcie wymusiło zawieszenie prac parlamentu, a premier Mustafa al-Kazimi wezwał oba rywalizujące bloki, by przystąpiły do negocjacji, które sadryści jednak zbojkotowali. Bojówki wspierające Muktadę as-Sadra okupowały Zieloną Strefę, część Bagdadu, w której mieści się parlament, wiele ambasad i biur rządowych.

Nieoczekiwane odejście mardży

29 sierpnia nastąpił zwrot akcji – ajatollah Kazim al-Hairi ogłosił, że

z powodów zdrowotnych rezygnuje z pozycji mardży. W islamie szyickim mardżą jest najwyższy rangą duchowny, którego opinia stanowi źródło prawa dla podążających za nim wiernych. Nie istnieje żadne oficjalne ciało przyznające duchownym taką pozycję, wynika ona przede wszystkim z zaufania wiernych. Opinie Al-Hairiego w różnych sprawach były sprzeczne z fatwami wydawanymi przez innego irackiego mardżę, Alego as-Sistaniego, który stał się znany przede wszystkim za sprawą spotkania z papieżem Franciszkiem w marcu ub.r. Al-Hairi w 2003 r. przekonywał, że Irakijczycy powinni zabijać członków partii Baas Saddama Husajna, „mających krew na rękach”. As-Sistani uważał zaś, że powinny ich sądzić miejscowe sądy, karając w ramach obowiązującego prawa. Dla As-Sadra wybór na mardżę jego ruchu Al-Hairiego był wręcz osobistą wendetą, gdyż to właśnie baasistów podejrzewa się o zabicie ajatollaha Muhammada as-Sadra, ojca Muktady.

Rezygnując ze stanowiska, Al-Hairi wezwał wiernych, by teraz słuchali nauk ajatollaha Chameeneiego, najwyższego przywódcy Iranu, którego wpływy Muktada as-Sadr chciałby ograniczyć. Przywódca sadrystów w reakcji na to po raz kolejny zapowiedział wycofanie się z polityki (robił to już wiele razy i nie dotrzymywał słowa), sugerując też, że w odejściu mardży maczał palce Teheran. Nie zmienia to faktu, że stracił mandat dla swojej władzy. Szyicki duchowni bowiem, aby wejść do polityki, potrzebują poparcia mardży. Tymczasem Al-Hairi nie skrytykował wprawdzie otwarcie As-Sadra, ale tak odebrano jego słowa, gdy przestrzegł Irakijczyków, by nie podążali za ludźmi, którzy chcą podzielić kraj lub szyitów, a może im brakować właściwych religijnych kwalifikacji.



W demonstracji 1 października 2022 r. w Bagdadzie rannych zostało 86 osób.

Tym samym odniósł się do faktu, że Muktada as-Sadr nie ma wysokiej rangi wśród szyickiego duchowieństwa ani nie jest uprawniony do wydawania fatw. Choć dawniej mówiono, że pobiera on nauki, by zostać ajatollahem, dotychczas nie osiągnął tego zaszczytnego tytułu.

Odejście Al-Hairiego i zapowiedź As-Sadra nie uspokoiły nastrojów, mimo że Muktada wezwał jednocześnie swoich zwolenników do ustąpienia i przeprosił publicznie za to, że napięcia między szyitami w poprzednich tygodniach kosztowały życie 22 osoby, a 150 Irakijczyków zostało rannych. Jeszcze tego samego dnia sadryści szturmowali pałac prezydencki, a służby porządkowe odpowiedziały ostrzałem i granatami z gazem łzawiącym. Według Agencji Reutera w starciach zginęło kolejne 10 osób.

Prezydent Barham Salih wezwał 31 sierpnia do rozpisania kolejnych przyspieszonych wyborów, by zapobiec dalszej eskalacji starć między rywalizującymi grupami. Byłoby to na rękę sadrystom, lecz wbrew interesom Rady Koordynacyjnej, która wciąż nie była w stanie zbudować koalicji. Rada Reprezentantów odrzuciła jednak po kilku dniach wnioski o rozwiązanie parlamentu, także przy wsparciu ze strony Sądu Najwyższego.

Wrzesień w Iraku upłynął na niemal codziennych starciach między sadrystami a innymi grupami szyickimi. Wśród niektórych przywódców ruchu pojawiło się przekonanie, że należy działać na rzecz powrotu sadrystów do Rady Reprezentantów. Muhammad al-Ghazi, parlamentarny doradca prawny, wysłał nawet pod koniec września list do parlamentu, w którym zaznaczył, że rezygnacja odbyła się bez zastosowania

As-Sadr chce ograniczyć obce wpływy w polityce i ułatwić Bagdadowi obranie własnego kursu politycznego, odrębnego od Teheranu i Waszyngtonu.

niezbędnych protokołów, tym samym sadryści, z punktu widzenia prawa, nadal są parlamentarzystami. Niektórzy z nich zdradzili dziennikarzom portalu Middle East Eye, że to dla nich dobra wiadomość, a powrót do parlamentu jest koniecznością.

Kryzys elit

Nie kończy to jednak kryzysu, a sytuacja w Bagdadzie daleka jest od spokojnej. Kiedy 28 września parlament zebrał się pierwszy raz od sierpnia, by zagłosować nad rezygnacją przewodniczącego Muhammada al-Halbusiego,

odrzucając ją przeważającą większością głosów, w Zielonej Strefie spadły trzy rakiety z katuszy, raniąc ochroniarzy. Sadryści potępili atak, za który wielu obarcza winą proirańskie milicje, które już wcześniej przypuszczały podobne ataki, w szczególności na amerykańskie cele wojskowe i cywilne. Zwolennicy As-Sadra tego samego dnia próbowali wdrzeć się do parlamentu w trakcie posiedzenia, lecz zostali powstrzymani przez policję.

Trudno przewidzieć, jak rozwinię się sytuacja, tym bardziej że główne strony konfliktu raczej nie są zainteresowane kompromisem. Licznym Irakijczykom kolejne kryzysy, jakich doświadcza ich kraj, są jednak solą w oku. Dłatego 1 października w Bagdadzie odbyła się manifestacja upamiętniająca trzecią rocznicę protestu z 2019 r. Wówczas podczas demonstracji przeciwko rządowi Adila Abd al-Mahdiego zginęło ok. 560 osób, a tysiące zostało rannych. Teraz również zareagowała policja, która użyła gazu łzawiącego i gumowych kul przeciwko demonstrującym, rzucającym kamieniami i butelkami z benzyną. Obyło się bez ofiar śmiertelnych, lecz rannych zostało 86 osób. Mniej więcej połowę stanowili przedstawiciele służb bezpieczeństwa.

Kryzys, w jakim pogrążony jest Irak, to przede wszystkim kryzys elit, które nie są zdolne do współpracy. Bronią niewydolnego i skorumpowanego systemu, który od lat nie potrafi skutecznie rozwiązywać problemów Irakijczyków. W końcu zarówno ugrupowania Rady Koordynacyjnej, jak i sadryści zajmują pozycje w ministerstwach i biorą udział w kluczowych procesach. Niezdolność do porozumienia się może doprowadzić do eskalacji kryzysu, a nawet popchnąć kraj w kierunku wojny domowej i kolejnych zagranicznych interwencji, przeciwko którym od dwóch dekad występują Irakijczycy. ■

Rozmawia Andrew Roberts

Henry'ego Kissingera – doradcy ds. bezpieczeństwa narodowego oraz sekretarza stanu w administracjach Richarda Nixona i Geralda Forda – czytelnikom PRZEGŁĄDU nie trzeba przedstawiać. 2 lipca 2022 r. na łamach „Spectatora” ukazał się ciekawy wywiad, którego Kissinger udzielił wybitnemu brytyjskiemu historykowi Andrew Robertowi. Ten ostatni jest autorem wyśmienitej pracy o Napoleonie Bonapartem, która została przetłumaczona na język polski („Napoleon Wielki”, Warszawa 2015). Mamy także przekład jego „nowej historii II wojny światowej” („Wicher wojny: nowa historia drugiej wojny światowej”, Warszawa 2010).

O Kissingerze stało się ostatnio głośno po jego wypowiedzi w Davos, gdy stwierdził, że linia demarkacyjna pomiędzy Rosją a Ukrainą powinna wrócić do stanu sprzed 24 lutego. Próba siłowej zmiany tej linii na korzyść Ukrainy może się przerodzić z walki o wolność Ukraińców w wojnę przeciwko samej Rosji. Słowa te wywołały lawinę krytyki, m.in. ze strony prezydenta Zelenskiego. Kissinger jest przekonany, że kiedy Zelenski krytykował jego stanowisko z Davos, nie zapoznał się z jego wypowiedzią. Następnie zaś przywódca Ukrainy – w wywiadzie udzielonym 7 czerwca dziennikowi „Financial Times” – zgodził się zasadniczo z Kissingerem. Zdaniem amerykańskiego polityka, jeśli sytuacja wróciłaby do stanu sprzed wybuchu wojny, byłoby to zwycięstwo Ukrainy i Zachodu. NATO, wzmocnione obecnością Szwecji i Finlandii, stało się zdolne do obrony Litwy, Łotwy i Estonii. Ukraina ma największe siły konwencjonalne w Europie blisko współpracujące z NATO. Okazało się też, że Sojusz Północnoatlantycki potrafi skutecznie przeciwstawić się rosyjskiej armii, której cień wisiał nad Europą od czasów II wojny światowej.

Ukończywszy 99 lat, Kissinger opublikował interesującą książkę „Leadership: Six Studies in World Strategy” (Przywódcтво: sześć studiów na temat światowej strategii). Roberts stawia pytania dotyczące tej pracy. Wcześniej jednak porusza kwestie amerykańskiej polityki wobec Chin i Iranu, skłaniając Kissingera do podzielenia się swoimi nietuzinkowymi przemyśleniami.

Giganci polityki

Wielcy przywódcy muszą rozumieć swoje społeczeństwa i w nie wierzyć. Ale też muszą być zdolni wznieść się ponad nie



Niedawno minęła 50. rocznica pana tajnej wizyty w Chinach w lutym 1972 r. Od tego momentu jest pan głęboko zaangażowany w politykę wobec Chin. Jaką politykę wobec nich Zachód powinien prowadzić dzisiaj? Co pan czuł w związku z konfrontacyjną w stosunku do Chin polityką administracji Trumpa?

– Wydaje się, że Stany Zjednoczone od czasów Trumpa prowadzą wobec Chin politykę opartą na myśleniu, że jeśli wokół tego kraju zbuduje się sieć sojuszy, przekonano to Państwo Środka do zaakceptowania reguł gry wypracowanych na Zachodzie. Jednakże chińskie podejście do polityki różni się od europejskiego. Europejskie podejście zostało wypracowane przez stosunkowo małe kraje, które stały musiały mieć na uwadze wpływ otaczających je państw, co pociągało za sobą nieustanną korektę układu sił. Historia Chin na przestrzeni tysiącleci to historia kraju zdecydowanie dominującego w swoim regionie. Stworzyło to styl polityki zagranicznej, w którym wpływ wywiera się

poprzez skalę swoich osiągnięć, powagę postępowania, wzmocnione tam, gdzie to konieczne, siłą militarną, ale przez nią niezdominowane. Długoterminowa polityka w odniesieniu do Chin musi zatem zawierać dwa elementy. Pierwszy – to dysponowanie dostateczną siłą, tak aby chińska potęga mogła być zrównoważona za każdym razem, gdy będzie chciała dominować. Drugi – to koncepcja, w ramach której Chiny są traktowane jak równe i jako uczestnik systemu.

Nie sądzi pan, że administracja Bidena z sukcesem realizuje obecnie tę politykę?

– Wydaje się, że próbuje ona zainicjować dialog. Ale zaczyna go zazwyczaj od oświadczenia na temat chińskich niegodziwości. Nacisk na kwestię Tajwanu prowadzić będzie do konfrontacji. Nie wiem, jaki będzie wynik dyskusji, które są prowadzone, ale myślę, że obecnie jesteśmy w nich zbyt skrzepowani.

Czy uważa pan, że administracja Bidena dobrze sobie radzi w związku z irańskimi rozmowami nuklearnymi?

– Byłem pełen wątpliwości w odniesieniu do pierwotnego porozumienia nuklearnego [z Iranem – P.K.]. Sądziłem, że bardzo trudno będzie zweryfikować irańskie obietnice, a rozmowy mogą nieco spowolnić proces budowy bomby atomowej, ale jednocześnie uczynić tę budowę przesądzoną. (...) Nadal żywię obawy, które miałem od początku. (...) Tak naprawdę nie istnieje inne wyjście aniżeli wykluczenie Iranu jako siły nuklearnej. Nie ma możliwości zaprowadzenia pokoju na Bliskim Wschodzie, jeśli Iran będzie posiadał broń atomową. Zanim to by nastąpiło, istnieje wysokie ryzyko wykonania przez Izrael uderzenia wyprzedzającego, ponieważ nie może on sobie pozwolić na wytworzenie przez Iran środków odstraszających [bomby atomowej – P.K.]. (...) Tutaj leży jądro tego kryzysu. (...)

Pana nowa książka (...) skupia się na szóstce ponadprzeciętnych XX-wiecznych liderów politycznych, których pan znał – Adenauerze, de Gaulle'u, Nixonie, Sadacie, Lee i Thatcher (...). Dlaczego ta szóstka i dlaczego zdecydował się pan na napisanie pracy o przywództwie właśnie teraz?

– Podjąłem decyzję o napisaniu tej książki, ponieważ moje życie upłynęło w powiązaniu z ludźmi, którzy usiłowali kształtować wydarzenia. (...) Przywódcy winni interpretować wypadki, nadawać im kierunek oraz techniczne i strategiczne znaczenie.

Każdy demagog, potrafiący wykorzystać resentymenty, może zyskać wielkie wpływy. Tak wygląda największy problem stojący na drodze przyszłości demokracji.

(...) Wydawało mi się, że jeśli chce się zrozumieć z pożytkiem dla siebie, co jest niezbędne do kształtowania biegu spraw, z którymi boryka się społeczeństwo, przyjęcie się przywódcą to dobra metoda.

W końcu 1945 r. był pan w Niemczech (...) i na własne oczy oglądał katastrofę, którą naziści sprowadzili na ten kraj. W pana opowieści Adenauer, bardziej niż ktokolwiek inny, wprowadził Niemcy z powrotem do wspólnoty narodów za pomocą

tego, co nazywa pan „strategią pokory”. Co pan przez nią rozumie?

– W normalnych warunkach liderzy mają do dyspozycji pewne elementy, na których mogą oprzeć strukturę społeczną. Adenauer jednakże został kanclerzem w momencie, gdy społeczna, polityczna i filozoficzna struktura zupełnie się załamała, gdy kraj znajdował się pod okupacją. (...) Sprowadził on to rozbite społeczeństwo z powrotem na drogę demokracji. (...) Pod koniec wojen napoleońskich Talleyrand przejął stery polityki zagranicznej

Wydaje się, że administracja Bidena próbuje zainicjować dialog z Chinami. Ale zaczyna go zazwyczaj od oświadczenia na temat chińskich niegodziwości.

państwa pobitego, ale pozostającego całością i w sferze stosunków dyplomatycznych mogącego jawić się jako równe innym państwom. Inaczej Adenauer, który, gdy przejmował władzę, musiał dopiero uczynić ten kraj moralnie równym innym krajom. Aby to się ziszcilo, musiał przystać na jego podział, demontaż niektórych gałęzi przemysłu i stopniowe budowanie demokratycznych instytucji. Musiał zmierzyć się z tym wszystkim w atmosferze, w której ciągle istniały pewne elementy tradycyjnego nacjonalizmu i, paradoksalnie, w kontrze do Partii Socjaldemokratycznej, odgrywającej

pozytywną rolę w Niemczech w poprzednim okresie, ale która teraz postanowiła afirmować ten rzekomy narodowy cel. (...) Uczynił to dzięki swojej osobowości, sile i, paradoksalnie, pokorze. W jednej z debat w niemieckim parlamencie wykrzyknął: „Myślicie, że kto przegrał wojnę?”. Nie jest to zdanie, które liderzy zazwyczaj wypowiadają!

Odbył pan kilka niezwykłych spotkań z Charles'em de Gaulle'em, wielką, lecz „niemożliwą” figurą.

Powiada pan, że przywrócił on wielkość Francji, zarówno podczas II wojny światowej, jak też jako prezydent kraju, przy użyciu „strategii woli”. Czy był on geniuszem, czy po prostu irytującym człowiekiem, jak oceniali go Churchill i Roosevelt?

– De Gaulle jako przywódca Francji wyłaniał się stopniowo po klęsce militarnej tego kraju, przybывая do Anglii bez pieniędzy, bez politycznych struktur i bez znajomości języka. Jego przywództwo nad tzw. „wolną Francją” zostało ustanowione przez Churchilla, który zwrócił się

do niego: „Ty jesteś sam i ja jestem sam, mogę zatem cię uznać”. Na tej podstawie zbudował on obraz – a był to nie tylko obraz, ale i jego głębokie przekonanie – że ucieleśnia on wielkość Francji, która była kiedyś wyróżniającą ją cechą. U zarania negocjacji był całkowicie uzależniony od brytyjskich funduszy, które przyjął, ale tylko jako pożyczkę i z naciskiem na zwrot wszystkiego na końcu wojny. Od początku ustanowił zasadę, że strategiczne rozwiązania dla Francji będą dziełem Francuzów, przy jednoczesnym uznaniu brytyjskiego przywództwa. Było to strasznie irytujące, ponieważ Churchill przystał na to, podczas gdy Roosevelt nigdy tego nie zrobił. Roosevelt zawsze odrzucał de Gaulle'a i uważał za samolubnego przywódcę, którym on jednak nie był (...). Po powrocie do Francji zastał potężne siły, które zawiadywały ruchem oporu, zastał partię, a on sam nie był kimś znanym na francuskiej ziemi. Na początku ludzie nie rozpoznawali go, ponieważ był zaledwie głosem płynącym z radia BBC. Zdołał jednak uzyskać taką moralną władzę, że mógł przybyć do Paryża i stanąć na czele rządu, w zasadzie o to nie prosząc. Następnie miał na tyle siły wewnętrznej, by zrezygnować (...), osiągnąwszy to, o co walczył i za co cierpiał. (...) Przebywał „na wygnaniu” przez 13 lat, powrócić, zdołał rozwiązać ▶

► problem algierski i zrównać Francję z Wielką Brytanią poprzez położenie nacisku na nuklearną siłę swojego kraju. Oczywiście bez wprowadzenia specjalnych relacji z Ameryką [jakie posiada Wielka Brytania – P.K.]. Było to coś nadzwyczajnego. Francuska polityka zagraniczna pozostaje wciąż pod głębokim wpływem tradycji gaullistowskich.

Spośród tych sześciu osobistości najczęściej pracował pan z Richardem Nixonem. Generalnie w książce maluje pan jego portret w życzliwy sposób, koncentrując

z którymi miał do czynienia, wykazywał rodzaj niepewności. Sprawiało to, że wykonując swój urząd, wydawał zasadnicze polecenia pośrednio, przez emisariuszy albo na piśmie. W prywatnych rozmowach nikt zatem nie mógł być pewien, jakiego rodzaju obiekty może on żywić, on bowiem ich nie wyrażał, aby uniknąć konfrontacji twarzą w twarz. (...)

Jakie były geostrategiczne dokonania Nixona?

– Kiedy obejmował urząd, pół miliona Amerykanów było w Wietnamie, następne 50 tys. w drodze.

Nie ma możliwości zaprowadzenia pokoju na Bliskim Wschodzie, jeśli Iran będzie posiadał broń atomową.

się na jego polityce zagranicznej, nie ukrywając jednak charakteru Nixona i wad. Jaka to była osoba?

– Nie znałem Nixona, zanim nie otrzymałem od niego nominacji na stanowisko, co samo w sobie jest godne odnotowania, ponieważ wcześniej przez 15 lat byłem głównym doradcą w zakresie polityki zagranicznej Nelsona Rockefellera – jego głównego oponenta. Nixon był człowiekiem o dużej inteligencji, o dużej odwadze, nie stronił od refleksji. Jednocześnie wobec ludzi,

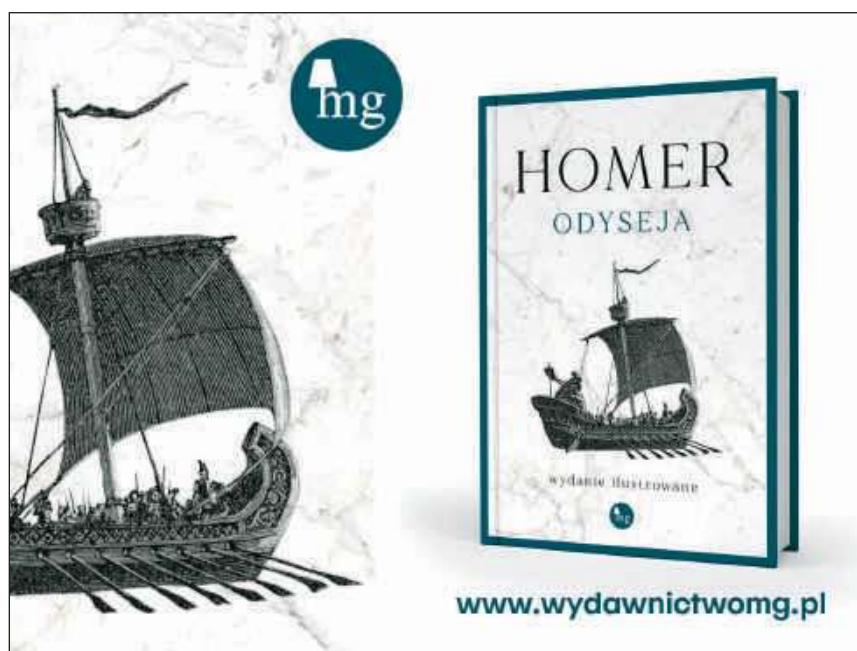
Intelektualny, polityczny i strategiczny problem, przed którym stanął, był następujący: w jaki sposób wycofać żołnierzy, nie zdradzając tych ludzi w regionie, którzy ryzykowali życie, wiążąc swój los z demokracją. Dla Nixona i dla mnie jedyną prawdziwą kwestią związaną z Wietnamem było więc to, czy jesteśmy w stanie wycofać nasze siły w taki sposób, który niekomunistycznej części Wietnamu dawałby realną, polityczną szansę na przetrwanie. Moim zdaniem osiągnął ten rezultat. Następnie upadł, ale nie

w Wietnamie, lecz w Waszyngtonie w wyniku Watergate [słynna afera, której jedną z odsłon była nieudana próba założenia podsłuchu w sztabie wyborczym Partii Demokratycznej mieszczącym się w biurcu Watergate w Waszyngtonie – P.K.]. Po drugie, Nixon wpadł na pomysł, że kiedy ma się dwóch przeciwników – Chiny i Rosję – trzeba się przyjrzeć, czy nie istnieją między nimi rozbieżności (...). Przez 20 lat byliśmy bliżej każdego z nich, niżli oni ze sobą, co zmuszało te państwa do rywalizacji ze swoim ideologicznym partnerem. Po trzecie, na Bliskim Wschodzie udało mu się podzielić proces pokojowy i wprowadzić podejście krok po kroku, które zaowocowało serią porozumień. Pozwoliło to Ameryce przejąć rolę twórcy polityki, podobną do tej, którą Wielka Brytania odegrała przed kryzysem sueskim [wywołanym decyzją Egiptu o nacjonalizacji Kanału Sueskiego, ale przede wszystkim chęcią utrzymania przez Wielką Brytanię i Francję kontroli nad kanałem – P.K.]. Pod koniec jego kadencji Ameryka odgrywała wiodącą rolę. (...)

Konrad Adenauer zapytał pana kiedyś, czy wielkie przywództwo jest dzisiaj możliwe. Było to w 1967 r. Czy mogę zadać to samo pytanie? Czy dostrzega pan jakichkolwiek przywódców na miarę tych sześciorga, o których pan pisze?

– Ogół przymusów, w jakie uwickłana jest współczesna działalność polityczna, jest tak przyniatający, że dalekosiężne myślenie i żywe poczucie historii – coś, co było drugą naturą Churchilla – prawie nie może zaistnieć. Nie potrafiłbym wskazać współczesnego przykładu zachodniego przywódcy, który by je ucieleśniał. To ogromne niebezpieczeństwo, bo każdy demagog, potrafiący wykorzystać resentymenty, może zyskać nieproporcjonalnie wielkie wpływy. Tak wygląda największy problem stojący na drodze przyszłości demokracji. Wielcy przywódcy muszą rozumieć swoje społeczeństwa i w nie wierzyć. Ale też muszą być zdolni wznieść się ponad nie i prowadzić je z miejsca, gdzie są teraz, do punktu, w którym nigdy nie były.

Wstęp, wybór i przekład Piotr Kimla



Pełzająca III wojna światowa

W 2021 r. różnego rodzaju konflikty zbrojne trwały w ok. 20 państwach

Bohdan Piętko

II wojna światowa, która doprowadziła do śmierci ok. 70 mln ludzi i niewyobrażalnych zniszczeń, słusznie jest uważana za najstraszliwszy konflikt zbrojny w historii. Jednakże rok 1945 nie przyniósł pokoju. Jeszcze nie skończyła się II wojna światowa, a już w zaciszach gabinetów politycznych zaczęto mówić o III wojnie. Świat został podzielony na dwa antagonistyczne bloki skupione wokół USA i ZSRR, które rywalizowały o wpływy m.in. w państwach powstających w wyniku wyzwolenia się narodów Afryki i Azji z kolonializmu. Bloki te nie mogły sobie jednak pozwolić na bezpośrednią konfrontację ze względu na posiadanie przez USA i ZSRR (oficjalnie także przez ChRL, Francję i Wielką Brytanię) broni masowej zagłady, której arsenały stale rozbudowywano.

Strach przed zagładą nuklearną powodował, że w okresie tzw. zimnej wojny (1946-1989) toczono zastępczą, albo pełzającą, III wojnę światową, głównie w krajach Trzeciego Świata. Niezależnie od tego wybuchły konflikty zbrojne niemające bezpośredniego związku z rywalizacją antagonistycznych bloków polityczno-militarnych. Były one głównie następstwem problemów pozostawionych w nowo powstających państwach przez kolonializm europejski. Wojny toczne na świecie po 1945 r. pociągnęły za sobą wiele ofiar, niejednokrotnie dorównując zniszczeniami II wojnie światowej.

Zaczęło się w Korei

Za pierwszy gorący konflikt zimnej wojny uważa się wojnę koreańską (1950-1953), która wybuchła w wyniku ataku przeprowadzonego



Jeniec Wietkongu czeka na przesłuchanie przez amerykańskie siły specjalne. 23 stycznia 1967 r.

25 czerwca 1950 r. przez siły KRLD na Republikę Korei. Decydując się na taki krok, Kim Ir Sen sądził, że Waszyngton zaakceptuje jego politykę faktów dokonanych. Jednakże USA z koalicją sojuszników (m.in. Wielką Brytanią, Kanadą, Australią i Turcją) interweniowały pod szyldem sił międzynarodowych ONZ. Stronę północnokoreańską wsparła natomiast „ochotnicza” armia chińska. Podczas tej wojny po raz pierwszy po Hiroszimie i Nagasaki strona amerykańska rozważała użycie broni jądrowej. Zwolennikiem jej wykorzystania był głównodowodzący wojsk amerykańskich, gen. Douglas MacArthur, który ponadto proponował przenieść wojnę na teren Chin. Propozycję tę odrzucił prezydent Harry Truman. W wojnie koreańskiej zginęło ok. 2,5 mln ludzi, z czego straty wojsk południowokoreańskich wyniosły 415 tys. zabitych, północnokoreańskich ok. 600 tys., chińskich – 400 tys.,

amerykańskich – 33,6 tys. Zginęło też ok. 1 mln cywilów koreańskich, z których co najmniej 100 tys. zostało zamordowanych przez południowokoreańską armię i policję w związku z podejrzeniami o wspieranie komunizmu.

Zanim jednak wybuchła wojna koreańska, doszło do wojny domowej w Grecji (1946-1949), która pochłonęła ok. 70 tys. ofiar. Wojnę tę spowodował prawicowy rząd grecki, wspierany przez USA i Wielką Brytanię, który po zakończeniu okupacji niemieckiej rozpętał terror wobec zasłużonej w walce z okupantem lewicowej partyzantki ELAS. Siły rządowe nie zaważały się sięgnąć po wsparcie byłych kolaborantów hitlerowskich i rodzimych faszystów. Dla cywilów podejrzanych o pozostawanie pod wpływem komunizmu tworzone obozy koncentracyjne. Wojna, zakończona klęską obozu lewicy i masową emigracją rodzin lewicowych partyzantów, była pierwszą konfrontacją ►

► zastępczą antagonistycznych bloków skupionych wokół USA i ZSRR.

Taki sam charakter miała wojna domowa w Chinach (1945-1949), będąca faktycznie ostatnią fazą trwającej od 1927 r. wojny pomiędzy Komunistyczną Partią Chin a nacjonalistycznym Kuomintangiem. Ich konfrontacja została przerwana w 1937 r. japońską agresją na Chiny. Wojnę ponownie rozpoczął w listopadzie 1945 r. Kuomintang, wsparty przez lotnictwo amerykańskie. Konflikt, zakończony zwycięstwem strony komunistycznej, pochłonął po obu stronach ok. 2,5 mln ofiar.

Wojny indochińskie

Kolejną odłogą zastępczej wojny pomiędzy blokiem wschodnim i zachodnim były dwie wojny indochińskie. Trwająca w latach 1946-1954 I wojna była konfrontacją między rządzoną przez komunistów Demokratyczną Republiką Wietnamu a Francją, próbującą przywrócić zwierzchność kolonialną nad byłymi Indochinami Francuskimi. Udało się to Francji tylko w południowej części Wietnamu, gdzie w 1949 r. władze kolonialne utworzyły Republikę Wietnamu, nazywaną przez Francuzów Republiką Kochinchiny. Po stronie francuskiej zginęło w tej wojnie 75,6 tys. żołnierzy, po stronie Wietnamu Południowego – 58,9 tys. żołnierzy, a po stronie DRW co najmniej 191 tys. (maksymalnie 300 tys.). Straty ludności cywilnej wyniosły od 125 tys. do 400 tys. ofiar.

Wojna zakończyła się klęską Francji, ale na mocy konferencji genewskiej (26 kwietnia-20 lipca 1954 r.), z udziałem USA, ZSRR, Wielkiej Brytanii, Francji i ChRL, Wietnam został podzielony wzdłuż 17 równoleżnika na część północną (DRW) i południową. Postanowienia konferencji o przeprowadzeniu wolnych wyborów nie zostały jednak wykonane przez Wietnam Południowy, mający poparcie USA. Doprowadziło to do II wojny indochińskiej (1955-1975), w której miejsce Francji jako protektora Wietnamu Południowego zajęły USA. Strona amerykańska do walki z siłami północnowietnamskimi i komunistyczną partyzantką w Wietnamie

Południowym używała na szeroką skalę lotnictwa. Amerykanie bezwzględnie bombardowali nie tylko Wietnam, ale także Kambodżę i Laos, przez które przebiegały szlaki zaopatrzeniowe partyzantki wietnamskiej. Straty USA wyniosły 58,3 tys. poległych żołnierzy, straty sojuszników Ameryki (Australii, Filipin, Korei Południowej, Nowej Zelandii i Tajlandii) – 5,2 tys. poległych, straty wojsk południowowietnamskich – ok. 254 tys. zabitych, a wojsk północnowietnamskich i wspieranej przez nie partyzantki – ok. 900 tys. Zginęło też ok. 2 mln cywilów wietnamskich – głównie na skutek nalotów amerykańskich i bezwzględności walczących stron.

W wojnie koreańskiej (1950-1953) zginęło ok. 2,5 mln ludzi, w tym 1,4 mln żołnierzy południowo- i północnokoreańskich, chińskich i amerykańskich.

Pokłosiem tej wojny, zakończonej klęską USA i likwidacją Wietnamu Południowego, była tragedia Laosu i Kambodży. Wojna domowa w Laosie (1953-1975), w której zwyciężyła strona komunistyczna wsparta przez DRW, pochłonęła ok. 40 tys. ofiar. Z kolei amerykańskie bombardowania Kambodży w latach 1969-1973 kosztowały życie ok. 600 tys. ludzi. Wojna domowa w tym kraju z lat 1970-1975, której stronami były wspierany przez USA reżim Lon Nola, tzw. Czerwoni Khmerzy i DRW, pochłonęła natomiast 300 tys. ofiar. Rezultatem wojny było zdobycie władzy przez Czerwonych Khmerów. Było to ekstremistyczne ugrupowanie łączące skrajny maoizm z khmerskim nacjonalizmem, wrogie zarówno wobec ZSRR, jak i USA. Eksperyment społeczny realizowany w ciągu 44 miesięcy ich rządów, prowadzący się do wcielenia w życie ultrakomunistycznej utopii, doprowadził do ludobójstwa – wymordowania od 1,7 mln do 2,2 mln spośród 7,5 mln mieszkańców Kambodży.

Izrael i Afryka

Obalenie reżimu Czerwonych Khmerów w styczniu 1979 r. przez zbrojną interwencję Wietnamu komunistycznego doprowadziło do

III wojny indochińskiej, czyli odwetowego ataku ChRL (sympatyzującej z Czerwonymi Khmerami) na Wietnam. Trwające miesiąc walki (17 lutego-16 marca 1979 r.) pociągnęły za sobą 26 tys. ofiar po stronie chińskiej i ok. 30 tys. po stronie wietnamskiej.

Odpryskiem II wojny indochińskiej było także ludobójstwo dokonane w latach 1965-1966 w Indonezji przez juntę gen. Suharta na członkach partii komunistycznej i osobach podejrzewanych o takie sympatie. Minimalna liczba ofiar tej zbrodni szacowana jest na 250-500 tys., a maksymalna nawet na 2 mln. Do ludobójczej czystki, tym razem na tle etnicznym, doszło ponadto w 1971 r. w Bangladeszu

podczas wojny o wyzwolenie tego kraju spod panowania Pakistanu (od 300 tys. do 3 mln ofiar).

Pośród wojen towarzyszących procesowi dekolonizacji należy wymienić wojnę algierską (1954-1962) pomiędzy Francją a algierskim Frontem Wyzwolenia Narodowego (ok. 400 tys. ofiar, w tym 26 tys. po stronie francuskiej) oraz tzw. kryzys kongijski (1960-1965, ok. 100 tys. ofiar), podczas którego zginęli pierwszy premier Konga Patrice Lumumba i sekretarz generalny ONZ Dag Hammarskjöld.

Polem zastępczej konfrontacji USA i ZSRR były też wojny towarzyszące konfliktowi izraelsko-arabskiemu (w 1948, 1956, 1967, 1973 i 1982 r.). Pokłosiem tego konfliktu stała się długoletnia wojna domowa w Libanie (1975-1990), która kosztowała życie od 120 tys. do 150 tys. ofiar. Brutalny przebieg miała konfrontacja na linii USA-ZSRR w Ameryce Łacińskiej. Należy tu wymienić chociażby tzw. brudną wojnę w Argentynie, czyli okres terroru junty wojskowej (1976-1982), skierowanego przeciw lewicy, który pochłonął od 13 tys. do 30 tys. ofiar, wojny domowe w Gwatemali (1960-1966, 140-200 tys. ofiar), Salvadorze (1979-1982, 80 tys. ofiar) czy Nikaragui (1981-1990, 30 tys.

ofiar) oraz tzw. operację Kondor. W jej wyniku służby specjalne Argentyny, Boliwii, Brazylii, Chile, Paragwaju, Peru i Urugwaju zamordowały w latach 70. i 80. XX w. od 50 tys. do 80 tys. osób podejrzewanych o sympatie lewicowe.

Na marginesie zimnej wojny toczyła się w latach 1980-1988 wojna iracko-irańska. Rozpoczął ją Irak, mający poparcie USA, Wielkiej Brytanii, Francji, ale także ZSRR – niechętnych rewolucji islamskiej w Iranie z 1979 r. Iran z kolei uzyskał wsparcie polityczne m.in. Chin i Libii. Trwający osiem lat konflikt nie doprowadził do żadnego rozstrzygnięcia. W sierpniu 1988 r. obie strony zgodziły się na zawieszenie broni na zasadzie status quo ante bellum. Zginęło ponad 1 mln osób (co najmniej 375 tys. po stronie irackiej i 750 tys. po stronie irańskiej). Obie strony używały na dużą skalę broni chemicznej, którą odtąd zaczęto nazywać „bronią jądrową Trzeciego Świata”.

Lekcja Afganistanu

Ostatnim znaczącym konfliktem zimnej wojny była tzw. radziecka interwencja w Afganistanie (od grudnia 1979 r. do lutego 1989 r.), czyli dziewięcioletnia wojna toczona przez ZSRR i rząd afgański przeciw partyzantce mudżahedinów wspieranej przez USA i państwa zachodnie. Celem interwencji wojskowej ZSRR było odsunięcie od władzy w Afganistanie jednej z frakcji tamtejszej partii marksistowskiej, na czele której stał Hafizullah Amin, próbujący zmniejszyć zależność od Kremla. Zabicie go przez komandosów radzieckich w wyniku szturmu na pałac prezydencki w Kabulu (operacja Sztorm-333) i zastąpienie przez posłusznego Moskwie Babraka Karmala doprowadziło do wojny totalnej. Siły zbrojne ZSRR musiały się zmierzyć nie tylko z miejscową partyzantką i ochotnikami ze świata islamu, ale i z najnowocześniejszą bronią amerykańską. Konfrontację tę przegrały, co stało się jedną z głównych przyczyn rozpadu ZSRR. Wojna doprowadziła do całkowitej ruiny Afganistanu. Zginęło w niej 14,4 tys. żołnierzy radzieckich, 18 tys. żołnierzy afgańskich

sił rządowych, co najmniej 56 tys. mudżahedinów afgańskiego ruchu oporu oraz od 562 tys. do 2 mln cywilów afgańskich. 5 mln uchodźców opuściło Afganistan, dalsze 2 mln mieszkańców tego kraju stało się uchodźcami wewnętrznymi, a 3 mln odniosło rany lub zostało kalekami. Siły powietrzne ZSRR, podobnie jak Amerykanie w Wietnamie i Kambodży, dokonywały masowych nalotów na Afganistan. Stąd tak ogromna liczba zabitych i rannych cywilów.

Zakończenie zimnej wojny w latach 1989-1991 nie przyniosło trwałego pokoju. Już w sierpniu 1990 r. rozpoczęła się I wojna w Zatoce Perskiej, wywołana najazdem Iraku na Kuwejt, co stało się pretekstem do interwencji zbrojnej koalicji zachodniej pod wodzą USA. Był to pierwszy postzimnowojenny konflikt zbrojny. Ataki terrorystyczne w Nowym Jorku z 11 września 2001 r. spowodowały ogłoszenie przez USA „wojny z terroryzmem”. Jej pierwszym etapem były interwencja amerykańska w Afganistanie (2001-2021) oraz II wojna w Zatoce Perskiej w 2003 r., zakończona wieloletnią okupacją Iraku. USA i Wielka Brytania dokonały inwazji na Irak pod pretekstem likwidacji broni masowego rażenia oraz zakończenia związków tego kraju z Al-Kaidą. Okazało się jednak, że ani taka

niej Czeczenii, które przyniosły stronie czeczeńskiej straty sięgające od 100 tys. do 140 tys. ofiar.

Koniec zimnej wojny nie zlikwidował problemów będących spadkiem po kolonializmie w Afryce. Z czasem zaś doszły do nich nowe, wynikające z rosnącego w siłę ekstremizmu islamskiego. Wojna domowa w Rwandzie (1990-1993) i będące jej rezultatem ludobójstwo (1994), które pochłonęło milion ofiar, uruchomiły proces destabilizacji Czarnej Afryki. W następstwie wydarzeń w Rwandzie doszło do tzw. kryzysu Wielkich Jezior i I wojny domowej w Kongu w latach 1996-1997 (250 tys. ofiar i 222 tys. uchodźców). Od 1998 do 2003 r. toczyła się II wojna domowa w Kongu, nazwana afrykańską wojną światową lub wielką wojną afrykańską. W zmagania zaangażowało się osiem państw Afryki. Bezpośrednio i pośrednio – z powodu chorób i głodu – zginęło 5,5 mln ludzi, a kolejne miliony uciekły lub zostały wysiedlone. Był to najkrwawszy konflikt zbrojny na świecie od zakończenia II wojny światowej.

Podobnie wielkie cierpienia przyniosły wojna domowa w Sierra Leone z lat 1991-2002 (co najmniej 75 tys. ofiar), trwająca od 1991 r. wojna domowa w Somalii (ok. 500 tys. ofiar) oraz trwający od 2003 r. konflikt

W wyniku wojny domowej w Chinach (1945-1949) zginęło ok. 2,5 mln osób.

broń, ani takie związki nie istniały.

Równie szybko pierwszego postzimnowojennego konfliktu zbrojnego doczekała się Europa. Pod koniec czerwca 1991 r. Jugosłowiańska Armia Ludowa interweniowała w Chorwacji i Słowenii. Tak rozpoczął się zbrojny etap rozpadu Jugosławii, trwający w latach 1991-1995 i 1998-1999, który pociągnął za sobą największe ofiary w Europie od zakończenia II wojny światowej (ok. 140 tys., z czego najwięcej w Bośni i Hercegowinie). Podobnie krwawe były dwie wojny czeczeńskie w latach 1994-1996 i 1999-2009, czyli bezwzględne pacyfikacje przez Rosję dążące do oderwania się od

w Darfurze (zachodni Sudan). Liczba jego ofiar sięgnęła dotąd 300 tys. Jednakże łączna liczba ofiar konfliktów zbrojnych trwających od 50 lat Sudan wyniosła 2 mln, natomiast 4,5 mln osób zostało zmuszonych do emigracji z tego kraju.

W 2021 r. różnego rodzaju konflikty zbrojne trwały w ok. 20 państwach świata (m.in. w Afganistanie, Etiopii, Jemenie, Mjanmie, Somalii, Sudanie Południowym i Syrii). Świat jednobiegunowy wcale nie stał się bardziej bezpieczny niż dwubiegunowy. Tym bardziej nie stanie się takim świat wielobiegunowy, którego dzisiaj domagają się Rosja i Chiny.

Bohdan Piętko

Pieski świat otacza słowa

Laureat Nike Jerzy Jarniewicz ze swoim stylem
jest na antypodach literackich trendów

Rafał Piłkuła

Odbierając jedną z najważniejszych nagród literackich w Polsce, Jerzy Jarniewicz żartował, że czytelników poezji jest tylu, „co poległych pod Termopilami”. Poeta zadeklarował, że przyjmuje tę nagrodę jako nagrodę dla poezji w ogóle. Dla poezji, która jest niszą nisz i ledwie strumykiem wpływającym do oceanu literackich publikacji.

Wystarczy wejść do pierwszego lepszego empiku czy innej sieciowej księgarni (tych niezależnych jest coraz mniej), by o tym się przekonać. Poezja zajmuje najwyżej kilka półek, gdzieś na obrzeżach literatury, w bliskim sąsiedztwie foremek do ciasta i gier planszowych.

Zwyczajna książka, tom poetycki „Mondo cane”, jest opowieścią o wstydzie, słabości, cielesności, przemijaniu, ale i próbach cieszenia się z życia. Tytuł nagrodzonej książki może oznaczać psi świat. Z jednej strony, to świat nędzy i braku perspektyw, ale z drugiej – to rzeczywistość prostych, często fizycznych doznań i przyjemności. Jeśli jest tu melancholia, to rozpięta pomiędzy zwierzęcym witalizmem a widmowością nieistnienia, jeśli miłość, to daleka od emfazy i tanich deklaracji. Kość z kości i ciało z ciała.

Świat z „Mondo cane” to uniwersum drobnostek i nieważności, daleko od wielkiej i małej polityki, całej banalnej codzienności relacjonowanej 24 godziny w radiu, telewizji i internecie. Daleko od tego, co znika, od newsów dnia i trendów z Instagrama. Tak, poezja miewa pieskie życie, ale też bywa najodpowiedniejszą formą do ujęcia spraw fundamentalnych, podstawowych. W końcu poezja to sztuka precyzji, odwagi w przełamywaniu schematów, to konkret. A konkretnie w tych czasach chaosu, w epoce baumanowskiej



Jerzy Jarniewicz jest autorem związanym z Łodzią, z bogatym dorobkiem literackim. To także profesor nauk humanistycznych, filolog angielski, tłumacz i autor szkiców o literaturze i o przekładzie.

płynnej nowoczesności, jest jak na lekarstwo.

Jak pisał Jerry Hopkins w biografii Jima Morrisona, „bycie poetą to coś więcej niż pisanie wierszy [...] to również podjęcie szczególnego zobowiązania: by zaakceptować tę tragiczną rolę, jaką wyznaczył los, cieszyć się nią i godnie ją wypełniać”. To podjęcie tego pieskiego życia, bez nadziei na pieniądze, sławę i uznanie. Dziś, jeśli chce się na układaniu rymów i pisaniu strof coś zarobić, trzeba być raperem. Poeci, którzy ważą słowa i myśli (dlatego Jarniewicz, odbierając nagrodę, powiedział, że nie chce wygłaszać pochopnych manifestacji politycznych), to skamieliny w czasach TikToka.

Jarniewicz ze swoim stylem jest na antypodach literackich trendów. Jest outsiderem, który opiewa

minione (tytułowy wiersz tomiku odnosi się także do filmu „Mondo cane” z 1962 r., na który autor z powodu wieku nie został wpuszczony) i nie bawi się w aktualności i frazy, które mają być „trwalsze niż ze spiżu”.

„W poezji, jak w humanistyce, nie ma na szczęście uniwersalnych kryteriów, dla jednych poezja Eliota jest dziełem geniuszu, dla drugich – ślepą uliczką. I to jest piękne”, mówił w jednym z wywiadów Jerzy Jarniewicz.

W pewien sposób nagrodzona książka bardzo się różni od innych pozycji, które znalazły się w finale Nike 2022, zwłaszcza od „Oni. Homoseksualiści w czasie II wojny światowej”, za którą Joanna Ostrowska dostała laur czytelników. Ostrowska jest aktywistką, a jej książka ma wyraźnie polityczne DNA – choć opowiada o przeszłości, jest krzykiem skierowanym do dzisiejszej klasy politycznej, która zamiast od historii się uczyć, głupio z niej ściąga.

„W końcu nagrodę literacką zdobyła książka literacka”, napisał jeden z krytyków na gorąco jeszcze z gali Nike, która odbywała się w Bibliotece Uniwersytetu Warszawskiego.

Nagrodę dla Jarniewicza odczytuje jako znak, że poezja, a szerzej literatura, nie musi być służebna, nie musi być ulotką dla ideologii, poręcznym narzędziem aktywistów czy polityków. Może być sobą i w tej swojej nieważności, taka psia i marna, może być wielka.

Lubię to w poezji. Takie bezczelne skupienie się na sobie i na warstwie literackiej. To oczywiście nie oznacza, że jest ona bezżebna i upasiona ptasim mleczkiem. Poezja może zachwycać i zmieniać świat, ale tylko świat tego jednego człowieka, czytelnika. W literaturze bowiem zawsze liczy się do jednego.

Tytuł tekstu pochodzi z pierwszej strofy wiersza „Mondo cane”



Wieczne odpoczywanie

Wojciech Kuczok

Nie czytałem

Pierwszy czwartek października, Nobla dziś dają. Redakcja zasugerowała, żebym naprędce napisał felieton o laureacie, ale ryzyko, że pierwszy raz w życiu o nim usłyszę w chwili ogłoszenia werdyktu, szacuję wysoko. Jestem czytelnikiem nałogowym, buszującym w trawie literackiej i nasłuchującym, co w niej piszczy, wiernie abonuję od z górą 30 lat „Literaturę na Świecie” (notabene w aktualnym numerze polska premiera zjawiskowego „Pana prezydenta” Miguela Asturiasa – pierwszego literackiego noblisty z Ameryki Łacińskiej), ongiś sam byłem pisarzem o renomie pozwalającej poznawać osobiście szeregi wziętych autorów obcojęzycznych – a mimo to niemal co drugie nazwisko zwycięzcy z ostatniego ćwierćwiecza nic mi nie mówiło. Dwa razy z rzędu ostatnio tak się zdarzyło, że świeżo ogłoszeni nobliści nie mieli w ogóle przełożonych książek w języku polskim, więc rozumiem tę nagłą panikę dziennikarzy, którzy nie wiedzą, do kogo zadzwonić z pytaniem, szukają ze świecą literaturoznawców potrafiących choćby poprawnie wypowiedzieć nazwisko autora.

Mnie zaskakujące werdykty cieszą niepomiernie bardziej od tych przewidywalnych, no bo cóż mi po tym, że ze wszech miar słusznie nagradza się pisarza, którego wszystkie ważne książki już czytałem i je wielbię (tak było z Vargasem Llosą) lub chociaż szanuję (Herta Müller), ba, nawet nagroda dla znajomej wzbudziła tylko ciepły uśmiech, bo choć Olga Tokarczuk zdaje się być po prostu urodzoną noblistką, drugi raz jej książek czytać mi się nie chciało – a lubię dopisywać do listy zadań lekturowych coś nowego. Kibicowski okrzyk radości, że „nasi wygrali”, chwilę później gaśnie wobec rozczarowania, że komisja nie wyciągnęła jakiegoś królika z kapelusza, którego będzie należało sprawdzić – głód poznania jest u mnie większy niż pragnienie uznania dla moich gustów. Najbardziej cieszyłem się chyba z Heaney’a i Tranströmera, którzy mieli szczęście do wybitnych polskich tłumaczy, przez co dojrzewałem w stałej obecności ich poezji, a wiersze dojrzewały we mnie. Pomnę, jak niegdyś znajoma harwardzianka chwaliła się, że Heaney mieszkał w tym samym budynku w kampusie i kiedy przypadkiem zajrzała do niego celem pożyczania odkurzacza, odparł jej zadumany: *I live in a vacuum, but I don't have a cleaner for it*. Zrozumiałem wtedy, że poetą się jest, nie zaś tylko bywa.

Najgorzej jednak dzieje się, gdy pilnie zlecone przekłady wyczekiwanych książek przynoszą zawód; autor

z owianego tajemnicą sensacyjnego laureata wzbudzającego dreszczek emocji staje się przecenionym z niedocieczonych przyczyn nudziarzem, a miarodajność nagrody zaczyna budzić podejrzenia. Ani wiersze Glück, ani prozy Francuzów (Modiano i Le Clézio), a tym bardziej powieści Chińczyków (Mo Yan, Gao Xingjian) nie spełniły moich nadziei na odkrycie nowej wartości literackiej i teraz bądź tu człowieku mądry – pochopności jurorów to wina czy pośpiechu tłumaczy? Bywało i tak, że odważne, antymieszczańskie werdykty mnie radowały nieco na wyrost i z czystej przekory, jak w przypadku Elfriede Jelinek, która co prawda napisała przynajmniej jedną wybitną powieść („Pianistka”), ale ubzdurałem sobie, że nagrodę dostała niejako w imieniu patronującego wszystkim nestbeschmutzerom Thomasa Bernharda.

Zaskakujące werdykty cieszą mnie niepomiernie bardziej od tych przewidywalnych.

Bywało, że z odwagą przesadzano i najbardziej prestiżowy laur literacki dostawał się kabareciarzowi (Fo) lub piosenkarzowi (Dylan, celowo zdrabniam jego profesję, nie należę do zakonu wyznawców jego ballad). O werdyktach podyktowanych polityczną akuratnością myślę jak najgorzej nie tylko odnośnie do Nobla, Swiatłana Aleksijewicz jest autorką poczcziwą i sprawną, ale nie dam wiary, że doczekałaby takiego wyróżnienia, gdyby nie jej dysydencki status.

O, uwaga, ogłaszają. Annie Ernaux? Oczywiście też nigdy nie czytałem nawet zdania, harwardzianka nawet o niej nie słyszała, mówi, żeby pytać romanistów. Trzecia nagroda dla Francji w ostatnich 14 latach, no proszę, a jeszcze niedawno narzekali, że nie mają szczęścia do literackich Nobli – przez prawie ćwierć wieku nie dostali nic, a wcześniej dostawali dziwacy, których nie da się czytać (Simona akurat cenię za brzmienie „Drogi przez Flandrię”, co do Saint-John Perse’a mogę się zgodzić, że hermetyczny), a jak już dostawali zastrzeżenie, to jeden odrzucił (Sartre), a drugi zginął, zanim zdążył skończyć nową rzecz (Camus). Kończę, trzeba biec do biblioteki po „Lata”, dopóki Czarne nie wznowi, będą zapisy jak nic.

W poszukiwaniu straconego czasu naszej epoki

Wyzwolenie klasowe, seksualne i artystyczne to wiodące tematy twórczości noblistki Annie Ernaux

Rafał Pikuła

Inaczej niż rok i dwa lata temu werdykt Akademii Szwedzkiej tym razem nie zaskoczył. Annie Ernaux była jedną z faworytek bukmacherów. Francuska pisarka od lat uznawana jest za autorkę ikoniczną, dlatego decyzję o przyznaniu jej Nobla szeroko komentowali krytycy i czytelnicy, zazwyczaj wyrażając aprobatę dla tego wyboru.

Nad Wisłą o Ernaux zrobiło się głośno na początku tego roku, gdy Czarne wydało „Lata”, często nazywane opus magnum świeżo upieczonej noblistki. Zarazem już 28 października do kin trafi ekranizacja autobiograficznej powieści Ernaux „Les Armoires vides”. Film noszący w Polsce tytuł „Zdarzyło się” opowiada o studentce, która wbrew zakazowi i grożącym jej konsekwencjom poddaje się aborcji. Aborcja, ale także inne formy wyzwolenia: klasowego, seksualnego, artystycznego, to wiodące tematy Ernaux.

– Dzieła Annie Ernaux to literatura przejścia, przede wszystkim tego klasowego, ale nie tylko. Są to dzieła, które w pewnym stopniu wydają mi się zachowawcze pisarsko oraz relatywnie konserwatywne w sensie formalnym. Jeśli chodzi natomiast o rozpoznania społeczne, nie jest to literatura interwencyjna, np. w reakcji na wojnę, ale taka, która problematyzuje pozycję kobiet, obszar naszej religijności, aktualną kondycję społeczną oraz polityczną – mówi dr Eliza Kącka z Instytutu Literatury Polskiej Uniwersytetu Warszawskiego.

Krytycy przyznają, że bez Annie Ernaux nie byłoby „Historii przemocy” Édouarda Louisa czy „Powrotu do Reims” Didiera Eribona, głośnych książek wypowiadających społeczne wstydy. To właśnie urodzona



w 1940 r. pisarka zbudowała wyzwolenie narracje, od których mogli się odbić kolejni autorzy. Myślę, że gdyby nie ona i jej naśladowcy, nie byłoby też w Polsce takich książek jak „Chamstwo” Kacpra Pobłockiego czy „Ludowa historia Polski” Adama

i gatunków, opowieści prasowych i historii fikcyjnych.

Przyznam, że owa eksperymentalność drażniła mnie przy lekturze „Lat”. W mojej ocenie obraz powojennej Francji jest raczej pośpiesznym rysunkiem niż wielobarwną panoramą. Wolałem ułożony, konkretny „Powrót do Reims” niż chaotyczny zbiór wspomnień, kalendarium wydarzeń, wypis rzeczy i postaci. Wydaje się jednak, że formalny wybór Ernaux to właśnie zerwanie z patriarchalnym dogmatem pisania o Historii. Zerwanie, które konserwatywnego czytelnika, w tym mnie, może irytować. Ale jeśli literatura ma wciąż mieć jakąś moc, siłę, musi wytrącać ze strefy komfortu, także czytelniczej.

W świetnym tekście „Rozcinanie rzeczywistości” na łamach „Dwutygodnika” (1/2022) Iwona Komór podkreślała, że Ernaux woli „pisanie” zamiast „literatury”, bo ten drugi termin zbyt często służy do ferowania wyroków o tym, co zasługuje, a co nie, na to miano. Nie sili się na etykiety, nie zabija o sztandary, wierzy, że słowo samo się obroni.

Literatura wciąż może odpowiadać na fundamentalne pytania.

Leszczyńskiego, nie byłoby powszechnego dziś zwrotu do nowych opowieści o klasowości.

W odróżnieniu jednak od Eribona, Louisa czy Leszczyńskiego bardzo ważnym punktem odniesienia dla Ernaux jest płeć. To kobiecość i związane z nią bariery są osią jej pisarstwa. Nie ma bowiem opowieści o wyzwoleniu z klasy społecznej, wyzwoleniu seksualnym i intelektualnym bez kontekstu płci. Ernaux idzie naprzeciw schematom nie tylko w treści, ale i w formie. Jej powieści, w szczególności „Lata”, to twórczość eksperymentalna, mieszanka stylów

W laudacji Anders Olsson z Akademii Szwedzkiej podkreślał, że pisarstwo Ernaux to literatura dla wszystkich. W czasach płynnej ponowoczesności, gdy tożsamości są zmienne, kwestia doświadczeń klasowych i kulturowych ma fundamentalne znaczenie. Opowieść o trudzie awansu, przełamywaniu wstydu i przeszkód społecznych, o pracy pamięci jest ważna dla każdego. Wydaje się więc, że wybór Akademii to również chęć powiedzenia szerokim masom w epoce popiśmiennej, że literatura wciąż może odpowiadać na fundamentalne pytania. ■

MIĘDZY OKŁADKAMI



Lisa Gray
Samotne serca
 tłum. Joanna Golik-Skitał
 Słowno, Warszawa 2022

Co kieruje kobietą, która decyduje się na związek ze skazańcem z celi śmierci? Ryzykanctwo? Wiara, że bestia okaże się zaklętym księciem – ofiarą pomylki sądowej? Wyrachowanie, bo sława to sława, a ta ponura sprzedaje się nawet lepiej, więc niech i na mnie trochę jej spłynie? Ile historii, tyle powodów, przy czym tej historii wcale nie zamknęło wykonanie wyroku. Jedną z jej bohaterek ma odnaleźć Jessica Shaw, druga została zamordowana...

To już czwarta część cyklu, ale i na tym etapie warto zawrzeć znajomość z prywatną detektywką, a potem sięgnąć po „We mgle” i kolejne tomy. Jessica biuro ma w barze czy restauracji, jej domem są motele. Od czasu do czasu funduje sobie nowy tatuaż. Współpracuje z niejakim Mattem Connorem, do którego żywi skomplikowane uczucia, a w okolicy Hollywood przeniosła się z Nowego Jorku (być może autorka, pochodząca z Glasgow, pozwoliła jej grać się w kalifornijskim słońcu pomna wymarzenia na meczach szkockich piłkarzy, które relacjonowała jako dziennikarka). Twarda zawodniczka, choć niepozbawiona współczucia. Jeden z przykładów, jak przeobraziły się postacie kobiece w kryminałach.

Aleksandra Pańko

ZASŁUCHAJ SIĘ



Marcin Masecki
Jazz z MACV
 Warszawska Opera
 Kameralna

Marcin Masecki, jeden z najlepszych pianistów jazzowych, nagrał z zespołem instrumentów dawnych trzy klasyczne koncerty. Jest Bach, jego syn i Mozart. Do każdego wstawił krótkie i zabawne „przerywniki” improwizowane, co przyjemnie ubarwia znane kompozycje. Czuć swobodę i fantazję, choć orkiestra Musicae Antiquae Collegium Varsoviense nie pozwala sobie na żadne odstępstwa od partytury.

Franciszek Jacik

NA EKRANACH

**Apokawixa**

reż. Xawery Żuławski, prod. Polska, już w kinach

Młódzież nie ma lekko w dzisiejszych czasach. Katastrofa klimatyczna, jak ostrzegają symulacje naukowe, może zniszczyć ludzką cywilizację w ciągu następnych kilku dekad. Do tego przychodzi pandemia, więc licealiści muszą najlepsze lata życia spędzić w czterech ścianach. Kamil wpada na pomysł, by po kwarantannie zwołać znajomych na imprezę w nadmorskim pałacu swojego ojca i odreagować. Sytuacja wymyka się jednak spod kontroli, kiedy ludzie pod wpływem skażenia wód – nieplanowane podobieństwo do kryzysu na Odrze – zaczynają się zamieniać w... zombie. Choć w samych lękach młodego pokolenia nie ma nic śmiesznego, Xawery Żuławski przyprawia je gatunkową ironią i nadaje im wyraźnie kampową formułę. Na ekranie dzieją się cuda: na szalonej imprezie z nieba sypią się piguły, równolegle rozkręca się epidemia „żywych trupów” i krwawa jatka, a gdzieś między wierszami tworzy się sztyła grubymi nićmi satyra m.in. na bananową warszawską młodzież, skrajne formy ekożycia, kiboli i fanatyzm patriotyczny. „Apokawixa” otrzymała na festiwalu w Gdyni nagrodę Złotego Pazura za odwagę formy i treści. Nic dziwnego, udało się tym filmem wnieść do polskiego kina powiew świeżości.

Mateusz Demski

NA POWAŻNIE



Karol Szymanowski, „Król Roger”,
 reżyseria Romuald Wicz-Pokojski,
 dyrygent Yaroslav Shemet, Opera Bałtycka,
 premiera 1 października 2022

Stary król boi się pasterza

Premiera „Króla Rogera” zawsze skupia uwagę melomanów. W Gdańsku połączono spektakl z jubileuszem 35-lecia pracy artystycznej Leszka Skrzela, który oczywiście wystąpił w tytułowej roli. Zagrał człowieka starego, schorowanego, który musi stawić czoła młodemu, tryskającemu zdrowiem pasterzowi. Nie jest do końca jasne, czy żona króla, Roksana (w tej roli znakomita Olga Pasiecznik), definitywnie porzuca męża, czy jednak do niego wraca.

Bronisław Tumiłowicz

Kolumnę przygotowała
 Agata Gogółkiewicz

Jan Cofałka

Jeno wyjmij mi z tych oczu...

Pośmiertne kłopoty Ewy Demarczyk

W sierpniu minęła druga rocznica śmierci Ewy Demarczyk, artystki, która pozostaje wyjątkowym zjawiskiem w naszej kulturze. Wybitny muzykolog Bogusław Kaczyński, pytany w 2014 r. w PRZEGLĄDZIE o stan naszej piosenki, powiedział: „Przed wojną była Hanka Ordonówna, po wojnie Ewa Demarczyk. Ich sukcesy już się nie powtórzyły”. Inny bardzo ceniony swego czasu krytyk muzyczny, Juliusz Kydryński, brat znanego popularyzatora piosenek Lucjana, napisał: „Kariera Ewy Demarczyk to coś najbardziej zdumiewającego w dziejach estradowych karier, ale też Ewa Demarczyk jest najbardziej zdumiewającym zjawiskiem w dziejach naszej estrady. Jest z nikim nieporównywalna. Nazywają ją Czarnym Aniołem polskiej piosenki”.

Mimo to na jej grobie w Alei Zasłużonych na cmentarzu Rakowickim w Krakowie ciągle znajduje się tylko tymczasowa betonowa płyta z małą tabliczką informującą, kto pod nią spoczywa. To zmusza do zastanowienia, a także nakazuje przypomnieć kilka faktów związanych

został w 1931 r. przeniesiony do Opola, po tym jak Niemcy utworzyli rejencję opolską, która miała im ułatwić germanizację Śląska, przyszedł dziadek Ewy, Andrzej Demarczyk, z córkami i zięciami Poliwodami przeniósł się do Opola. Natomiast jego najmłodszy syn, przyszedł ojciec Ewy, Leonard Demarczyk, który nie tylko pięknie malował i rzeźbił, ale również grał na akordeonie i śpiewał, podjął studia na wydziale rzeźby krakowskiej ASP. W Krakowie poznał Janinę Bańdo i z nią się ożenił. Młodzi w królewskim mieście uwili sobie gniazdko, lecz długo się nim nie nacieszyli – po wybuchu wojny musieli ono się stać azylem aż dla pięciu wspomnianych rodzin, zmuszonych do ucieczki ze Śląska. W pierwszym

Gdy 22 stycznia 1945 r. w Krakowie powstał Komitet Obywatelski Polaków Śląska Opolskiego, nie mogło w nim zabraknąć Andrzeja Demarczyka i Wojciecha Poliwydy. Obaj natychmiast po tym wyruszyli z pierwszą grupą operacyjną na Opolszczyznę. Po dotarciu do wydłudnionego Opola pierwszą rzeczą, jaką zrobił dziadek Ewy, było wdrapanie się na wieżę ratusza, aby z niej zerwać swastykę. W nagrodę za to jakiś polski oficer wyrzucił go z przydzielonego mieszkania, które dziadek odgruzował i przygotował dla rodziny. Więcej szczęścia miał zięć, otrzymując kwatery przy dzisiejszej ulicy Niedziałkowskiego 1. Mieszkanie to rokrocznie, poczynając od 1947 r., odwiedzała w czasie wakacji i z okazji świąt mała Ewa z siostrą Lucyną, z mamą i ojcem oraz ciotką Stefanią Stopkową i jej córką Basią. W Opolu odbyły się w 1952 r. złote gody ulubionego dziadka Andrzeja i babci Anny. Wtedy to 11-letnia Ewa zachwyciła zebranych grą na pianinie i śpiewem.

11 lat później w mieszkaniu Poliwydów 22-letnia studentka wyższej szkoły teatralnej Ewa Demarczyk będzie się przygotowywała do wyjścia na scenę pobliskiego amfiteatru, aby w dopiero co wykończonej przez mamę sukience (mama krawcowa obszywała całą Piwnicę pod Baranami) zadebiutować i oszołomić publiczność I Krajowego Festiwalu Piosenki Polskiej „Czarnymi Aniołami” oraz „Karuzelą z Madonnami”. Ten opolski festiwal z czerwca 1963 r. otworzył jej drogę do wielkiej kariery.

Wcześniej, w 1960 r., na ostatni marynarski urlop przyjechał do rodzinnego Starego Chorzowa Alfred Andrys, nazywany przez licznych znajomych „Alfą”. Jego kolega,

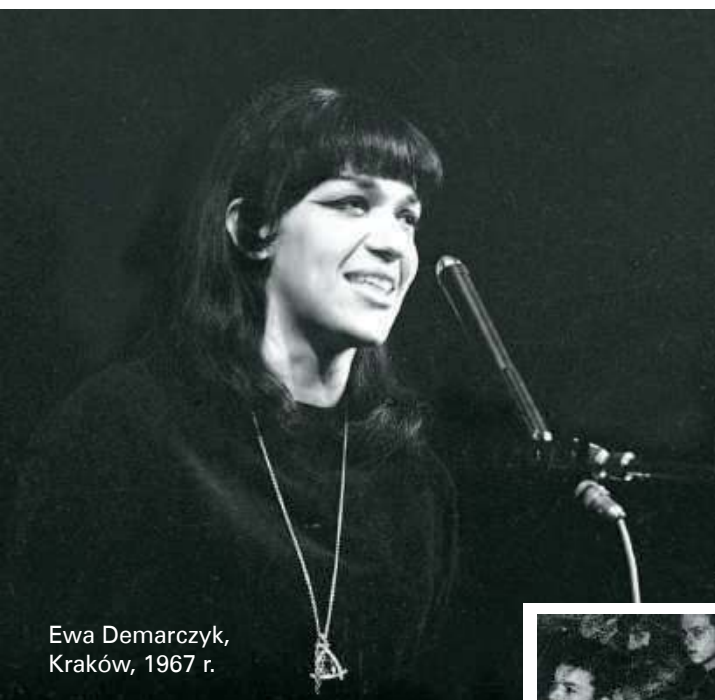
Od 1981 r. do nieoczekiwanej śmierci Ewy w 2020 r. jej partnerem był Paweł Rynkiewicz. Poznali się przy okazji remontu jej mieszkania.

z mało znanym rodowodem Ewy Demarczyk oraz jej dozgonnymi przyjaciółmi.

Urodziła się 16 stycznia 1941 r. w Krakowie, na drugim piętrze domu przy ulicy Wróblewskiego 4. Mieszkanie było potwornie zatłoczone, w trzech pokojach na 90 m żyło w czasie okupacji aż pięć rodzin, w tym dziadek Ewy, uczestnik trzech powstań śląskich, i babcia oraz dwie córki dziadka z rodzinami. Helena i Jadwiga wyszły za mąż za braci Wojciecha i Józefa Poliwydów, pracujących w konsulacie polskim w Bytomiu, w którym dziadek Ewy był gospodarzem. Przychodzili do Demarczyków na wspólne muzykowanie i śpiewanie, poznając tu przyszłe żony. Kiedy polski konsulat

z trzech pokoiw mieszkali przyszli rodzice Ewy oraz siostra jej mamy, malarka Stefania, z mężem Andrzejem Stopką, znanym grafikiem i karykaturzystą, których wyrzucono z mieszkania w Katowicach. W drugim – dziadkowie, Andrzej i Anna, z córką Heleną, jej mężem Wojciechem Poliwydą i trójką dzieci. Wreszcie w trzecim Jadwiga z pięciorgiem dzieci, bez męża, bo Józef Poliwyda przebywał na Węgrzech.

Po urodzeniu się Ewy w 1941 r., jej siostry Lucyny w 1943 r. oraz Basi Stopki okupacyjną gehennę przeżywało w mieszkaniu aż 17 osób. Filar, dzięki któremu przetrwali najbardziej dramatyczne chwile, okazał się niezwykle, potrafiący wszystko dziadek Andrzej.



Ewa Demarczyk,
Kraków, 1967 r.



Od lewej: Ewa i Lucyna Demarczyk
oraz Basia Stopka, Kraków, 1944 r.

Zbigniew Cybulski, Alfred Andrys
i Daniel Olbrychski, Kraków, 1966 r.



którego wyrzucono ze studiów na UJ, namówił go, aby pojechali na juwenalia do Krakowa, bo chciał się pożegnać z dziewczyną. Ta przyszła na spotkanie z koleżanką, którą okazała się Ewa Demarczyk, jeszcze nie wspaniała artystka z Piwnicy pod Baranami, lecz już z sukcesami w kabarecie medyków Cyrulik. Ewa zaczęła namawiać marynarza, by złożył dokumenty i wystartował na Akademię Górniczo-Hutniczą. „Alfie” nie bardzo się uśmiechało studiowanie, bo przed wojskiem nieźle zarabiał jako ślusarz w chorzowskich Azotach. W końcu jednak uległ jej namowom, uznając, że dokumenty może przysłać, a czy zda egzaminy, to inna sprawa, bo był już pięć lat po maturze. Dodatkowo przyjazd na egzaminy mu się opłacał, bo na przygotowanie się do nich otrzymał dwa tygodnie urlopu z wojska.

„Alfa”, nieoczekiwanie dla siebie, dostał się na AGH i rozpoczął studia od dość częstego towarzyszenia Ewie w Piwnicy pod Baranami. W pewnym momencie nabierało mu się sporo zaległości na uczelni i musiał przysiąc fałdów, aby się na niej utrzymać. Potem już jakoś szło. Studia ukończył w terminie. Rychło też dał się poznać jako dynamiczny działacz Zrzeszenia Studentów Polskich.

W połowie trzeciego roku został szefem ZSP na uczelni, a nawet członkiem jego centralnych władz.

Swego czasu Ewa uratowała go od konsekwencji scysji z milicjantem, grożącej pobytem w więzieniu. „Alfa” zaprzyjaźnił się ze Zbyszkim Cybulskim – bardzo się zbliżyli w czasie kręcenia w Krakowie w 1966 r. filmu „Jowita”, będącego adaptacją powieści Stanisława Dygata „Disneyland”. Alfred miał wtedy sporo czasu po obronie pracy magisterskiej w oczekiwaniu na podjęcie pracy, więc ze Zbyszkim spotykał się prawie codziennie. Tym bardziej że Cybulski przeżywał trudny okres rozterek i obaw o przyszłość. Od jego wielkiej

roli Maćka w „Popiele i diamencie” Andrzeja Wajdy, dzięki której stał się idolem pokolenia, minęło 10 lat, a nowych wymarzonych ról nie otrzymywał od cenionych przez niego reżyserów. W „Alfie” znalazł nie tylko powiernika, lecz i przyjaciela, który wyręczał go w załatwianiu doraźnych życiowych spraw.

W czasie kręcenia Jowity „Alfa” pewnej nocy wyprowadzał z Hotelu Francuskiego dziewczynę znajomego. W czasie jej legitymowania przy Rynku milicjant nieoczekiwanie, bez powodu uderzył Andrysa pałką. Ten mu odpłacił i agresor aż siadł na bruku. „Alfa” zaś podszedł do innego milicjanta, drzemającego w pobliższej ▶

► budce, by mu zgłosić napaść na siebie. W rezultacie, jak to się wówczas mówiło, został „przydrutowany”. Rano, gdy wyprowadzany był na przesłuchanie, gdyż chciano go skazać w trybie doraźnym, pojawił się na posterunku Zbyszek Cybulski, który przekonał majora, aby kolega odpowiadał z wolnej stopy, bo z jego udziałem nakręcono już niedokończone sceny w filmie. Tym

toastem gościom wytłumaczył: „Dzwoniła mecenas Ruth Buczyńska, że został uniewinniony”.

„Alfa” miał więc za co być wdzięcznym Ewie Demarczyk: za namówienie go na studia w Krakowie, za to, że wszedł (ale również dzięki swoim zdolnościom towarzyskim i inicjatywom) w środowisko artystyczne i kulturalne, w którym czuje się jak ryba w wodzie, wreszcie za to,

był Paweł Rynkiewicz. W czasie studiów na AGH założył on z kolegą ekipę remontową i to im przypadło zająć się mieszkaniem artystki. Okazało się, że Ewa z Pawłem mieli wspólnych znajomych i sporo zainteresowań, które ich połączyły na prawie 39 lat. Mieli też do siebie zaufanie. Paweł był jej partnerem, asystentem, menedżerem i opiekunem chroniącym ją i jednocześnie izolującym od nachalnych poszukiwaczy sensacji. Szczególnie gdy po konflikcie z miastem Kraków zlikwidowano w 2000 r. Państwowy Teatr Muzyki i Poezji – Teatr Ewy Demarczyk i przestała występować na estradzie, chowając się przed wszystkimi w prywatność. Zniechęcały ją równocześnie szercząca się bylejakość i zalew amerykańskiej popkultury. Będąc niezwykle osobowością estradową, wrażliwą na piękno muzyki i słów, nie potrafiła się odnaleźć w tym morzu „byle czego i byle jak”. Nie chciała tego komentować publicznie, aby jej nie wplątano w nieistotne spory i nie zaszufladkowano politycznie ani nie zaliczono do grona celebrytek uwielbiających się życiowo obnażać. Była wielką artystką wiele wymagającą od siebie i od współpracujących z nią osób.

We wrześniu 2020 r. Ewa Demarczyk postanowiła sformalizować swój związek z Pawłem Rynkiewiczem. Zaplanowali ślub w którymś z miast w środkowej Polsce. Niestety, pokrzyżował te plany „poważny

Paweł był asystentem, menedżerem i opiekunem chroniącym Ewę i izolującym od nachalnych poszukiwaczy sensacji.

sposobem wyciągnął „Alfę” z aresztu, a reżyser filmu, Janusz Morgenstern, musiał wymyślić jakieś sceny z udziałem Alfreda.

Kiedy wreszcie odbyła się rozprawa, Andrysa nieoczekiwanie skazano na siedem miesięcy odsiadki, gdyż milicjant zmienił zeznania, nie chcąc świadczyć przeciw koledze. W przeddzień uprawomocnienia się wyroku „Alfę” znalazła w Jaszczurach Ewa Demarczyk i zaprowadziła go do mecenas Ruth Buczyńskiej, która wniosła rewizję do sądu wojewódzkiego, co wstrzymało wykonanie wyroku.

Niebawem Alfred przeżył największą tragedię. Wczesnym rankiem 8 stycznia 1967 r. próbowali ze Zbyskiem Cybulskim wskoczyć do pociągu odjeżdżającego po godz. 4 z wrocławskiego dworca, bo Zbyszek musiał być o 10 w stolicy. „Alfie” się udało, Zbyszek, wskakując, zsunął się między stopień wagonu i peron. Przewieziony do szpitala zmarł o godz. 5.25. „Alfa” towarzyszył trumnie przyjaciela w drodze do Katowic, gdzie 12 stycznia 1967 r. pochowano Zbyszka.

Po pogrzebie na polecenie Stanisława Dygata jego żona Kalina Jędrusik zabrała Andrysa do Warszawy. Zamieszkał u nich, szybko jednak znalazł pracę w Ursusie. 2 marca 1967 r. uczestniczył w przyjęciu weselnym Daniela Olbrychskiego i Moniki Dzienisiewicz. Wieczorem zadzwonił telefon, odebrał go Dygat i z kimś przez chwilę rozmawiał, po czym polecił napełnić kieliszki: „No to pijemy zdrowie »Alfy«”. Zdziwionym nieoczekiwanym

że nie trafił do więzienia. Miał z Ewą kontakt do jej ostatnich dni. Nie używała komórek, dlatego dzwoniła do niego na telefon stacjonarny, który żonie „Alfy”, znanej i lubianej aktorce Grażynie Barszczewskiej, służył do kontaktów zawodowych.

Ewa nie miała szczęścia do mężów. Pierwsze jej małżeństwo, ze znanym skrzypkiem, skończyło się dość szybko. Praktycznie w czasie przyjęcia weselnego, gdy pan młody oświadczył, że zmienia plany życiowe i zamierza karierę muzyczną kontynuować w Belgii, gdzie będzie mogła występować także jego żona. Ewa tych planów nie podzielała, tym bardziej że była związana z mamą, którą się opiekowała. (Nieprawdą jednak są insynuacje autorek książki o niej, że mąż nie mógł ścierpieć,

Po dwóch latach od śmierci Ewy Demarczyk pojawił się dziwny i trudny do zaakceptowania projekt nagrobka.

że nawet w podróż poślubną zabrała mamę, bo podróż z mamą odbyła wcześniej). Drugiego męża, poślubiła po śmierci matki, która odeszła w 1979 r. Niestety, uwikłał się on w nie do końca jasne kombinacje i w rezultacie został skazany. Wtedy Ewa złożyła wniosek o rozwód. (Nieprawdą jest natomiast, że ją okradał, co sugerują autorki wspomnianej książki. Ewa faktycznie została kiedyś okradziona, ale bez żadnego udziału męża).

Od 1981 r. do nieoczekiwanej śmierci Ewy w 2020 r. jej partnerem

incydent zdrowotny” jej partnera. Ewa robiła wszystko, aby go uratować. Musiała błyskawicznie zdobyć pieniądze na jego leczenie i bardzo kosztowną rehabilitację. Potrzebowała kilkudziesięciu tysięcy złotych. „Alfa”, do którego m.in. się zwróciła, bez wahania zgodził się jej pomóc. Potrzebowała pieniędzy natychmiast, obiecał więc, że sprawdzi domowe zasoby i niezwłocznie ją powiadomi, ile zdoła znaleźć. Uzbierał prawie połowę potrzebnej kwoty, wszedł do pociągu i zawiózł pieniądze do Krakowa.



Ewa Demarczyk z partnerem Pawłem Rynkiewiczem.

Projekt pomnika nagrobnego Ewy Demarczyk proponowany przez jej siostrę Lucynę.

Paweł leżał trzy tygodnie w śpiączce podłączony do respiratora. Dzięki uporowi Ewy przeżył i został wybudzony, a potem, po rehabilitacji, odzyskał tyle sprawności, że mógł do niej powrócić. Gdy wydawało się, że wreszcie będą mogli się pobrać, nieoczekiwanie Ewa zmarła we śnie 14 sierpnia 2020 r. Pozostawiła partnerowi kartkę, komu i ile pieniędzy oddać. „Alfa” zdziwił się, kiedy Rynkiewicz zwrócił mu pożyczkę. Tym samym jednak, razem z innymi, którzy pomogli Ewie w tym trudnym okresie, został wmieszany w proces sądowy przez siostrę zmarłej, Lucynę Staśko, z którą Ewa była skłócona od 30 lat. Lucyna, choć także utalentowana, nie odniosła takiego sukcesu jak Ewa. Po jej śmierci niespodziewanie została jedyną spadkobierczynią. Dowiedziawszy się, że partner mający dostęp do konta zdołał pobrać z niego pieniądze, które według dyspozycji zmarłej zwracał dłużnikom, siostra wniosła sprawę do sądu. Od razu zarekwirowała samochód Ewy.

Już na pogrzebie zdumiała licznie żegnających Ewę zapowiedź męża Lucyny, że postawią artystce godny



pomnik wykonany przez znanego rzeźbiarza, więc jako rodzina zamierzają ogłosić wśród przyjaciół i znajomych zbiórkę na ten cel. Komunikat o zbiórce dziwił, bo Ewa do biednych nie należała. Miała duży dom w Wieliczce, którego część, gdy kupowała go z partnerem w 1989 r., została wpisana w księgach wieczystych jako własność Rynkiewicza, ponadto spore mieszkanie w Krakowie oraz konto, na które wpływały pieniądze m.in. za sprzedawane płyty.

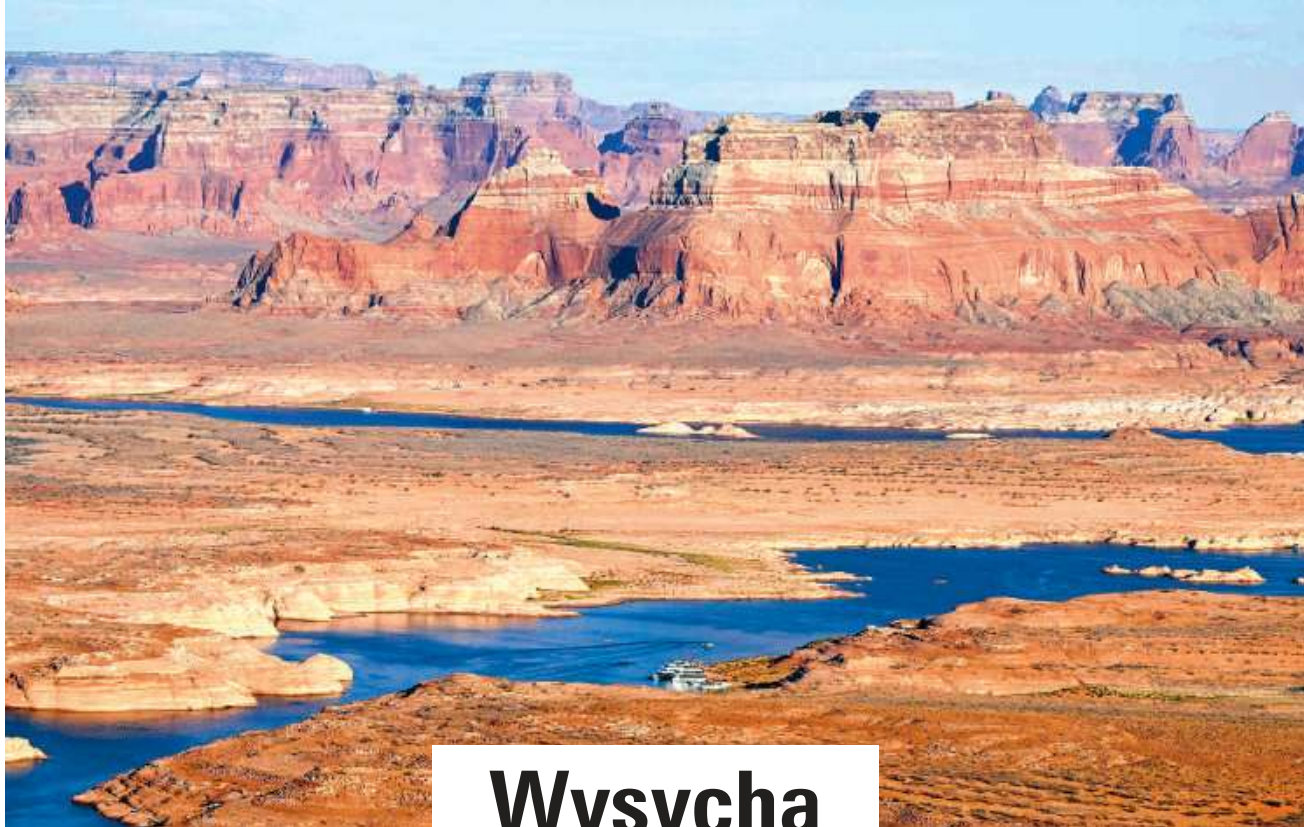
Po dwóch latach od śmierci Ewy Demarczyk pojawił się dziwny i trudny do zaakceptowania projekt nagrobka. Wiceprezydent Krakowa, przemawiając na pogrzebie, powiedział, że „Kraków ją żegna, Kraków jej dziękuje i Kraków ją przeprasza”.

Miał zresztą za co przepraszać. Teraz powinien przypilnować, aby Ewa Demarczyk została godnie upamiętniona. Trudno bowiem się zgodzić z tym, aby siostra, tyle lat z nią skonfliktowana, miała wyłączność na decydowanie o symbolicznym wyrazie jej grobu. Ogromne, czarno-białe, marmurowe koło – wielka piguła, jak ów projekt od razu nazwano, jest nieporozumieniem. „Tylko ktoś, kto nie znał prawdziwej Ewy – powie jej partner – mógł taki projekt wymyślić i zaakceptować”.

Przy okazji niech nam wolno będzie zwrócić się do prof. Stanisława S. Niciei, twórcy i kustosza Wzgórza Uniwersyteckiego w Opolu, na którym stoją już pomniki znakomitych twórców polskiej piosenki: Agnieszki

Osieckiej, Czesława Niemena, Jerzego Wasowskiego z Jeremim Przyborą, Wojciecha Młynarskiego, Marka Grechuty i Jonasza Kofty, z pytaniem, czy nie nadeszła pora, aby dołączyła do nich Ewa Demarczyk, rodzinie związana ze stolicą polskiej piosenki. Nie pisała ona co prawda ani nie komponowała piosenek, ale przecież jest twórczynią niedościgłej interpretacji polskiej piosenki artystycznej, której nadała niezapomniany wyraz. Byłaby odpowiednia do tego okazja, wszak w 2023 r. przypada 60. rocznica I Krajowego Festiwalu Piosenki Polskiej, który otworzył Ewie Demarczyk drogę na estrady świata i do serc jej wielbicieli.

Jan Cofałka



Eliza Sarnacka-Mahoney
Korespondencja z USA

Lato 2022 smażyło nas w każdym zakątku globu. W USA rekordy temperatur padły w ponad 300 miejscach, zwłaszcza na terenie Kalifornii i Arizony, które już od trzech lat gnębi susza. Dla Kalifornii pierwsze półrocze było najbardziej suche w całej jej historii. Spadło tylko nieco ponad 80 mm deszczu – 25% tego, co normalnie, a tym samym pobity został rekord suszy z 2013 r. (2022, National Centers for Environmental Information). Dotychczasowe progi upałów zostały przekroczone m.in. w Dolinie Krzemowej, gdzie 6 września termometry wskazały 43 st. C, i w stolicy stanu, Sacramento – 47 st. C, również 6 września. Nawet w chłodzonym mgłami znad Pacyfiku San Francisco było tego dnia 35 st. C.

Rzeka daje życie

Choć w walce z upałami wydatnie pomaga nam klimatyzacja, jeszcze bardziej potrzebna jest wtedy woda. Tę ogromnej potłaci południowo-zachodnich części Stanów Zjednoczonych, w tym Kalifornii, dostarcza rzeka Kolorado – piąta największa

Wysycha rzeka Kolorado

To jedna
z najintensywniej
eksploatowanych
i najpracowitszych
rzek na świecie

rzeka Ameryki (po Missouri, Missisipi, Jukonie i Rio Grande), znana głównie jako rzeźbiarka słynnego Wielkiego Kanionu. Nie wszyscy wiedzą, że to jednocześnie jedna z najintensywniej eksploatowanych i najpracowitszych rzek na świecie. To dzięki niej w Dolinie Kalifornijskiej nieprzerwanie trwa produkcja żywności, zaspokajająca aż 65% krajowego zapotrzebowania na zboże, owoce i warzywa. Bez niej nie mielibyśmy Hollywood ani Las Vegas. Obie metropolie znajdują się na terenach geologicznie pustynnych i choć oddalone od rzeki o setki kilometrów, właśnie z niej czerpią wodę

za pośrednictwem akweduktów. Gdy w 1936 r. na granicy stanów Arizona i Nevada spiętrzone rzekę słynną zaporą Hoovera – swego czasu była to największa hydroelektrownia i konstrukcja betonowa na świecie, dzisiaj jest na 38. miejscu – zaczęła ona dostarczać również energię. U podnóża zapory rozciągają się dwa sztuczne jeziora, Mead i Powell, do dziś dźwigające miano największych rezerwuarów wodnych w USA. Podsumowując, Kolorado nawadnia dzisiaj prawie 2,5 mln ha ziemi uprawnej i stanowi źródło wody pitnej dla ok. 40 mln ludzi w siedmiu stanach: Kolorado, Wyomingu, Arizonie, Utah, Nowym Meksyku, Nevadzie i Kalifornii.

Susza uśmierca rzekę

Tylko że, tak jak wiele innych systemów wodnych na świecie, Kolorado wysycha. Patrząc na rezerwuuar Mead z punktu widokowego na szczycie zapory Hoovera, przekonujemy się, jak bardzo. W latach 2000-2021 poziom wody w zbiorniku obniżył się o 48 m. Tylko w ostatnim roku spadł o dodatkowe 9 m. Naukowcy z NASA Earth Observatory, którzy dokonali tych dokładnych pomiarów, wyjaśniają, że mówimy o ubytku rzędu 75% normalnego stanu.

Jeszcze bardziej apokaliptyczny obraz widać koło zapory Morelos, na granicy amerykańsko-mekykańskiej. Tam po przejściu przez zaporę rzeka wsiąka w ziemię. Dawniej płynęła aż do Morza Corteza. Ostatni raz w 1998 r. Od 2014 r. trwają prace nad odbudową życia i wegetacji w jej dawnej delcie, która po budowie zapory Glen Canyon w Arizonie (1966) wyschła i zmieniła się w pustynię. Były nawet pierwsze sukcesy, lecz atakująca obecnie susza już zaczyna je odwracać. Generalnie wody w rzece jest dzisiaj o jedną piątą mniej niż

w rozwój miast, transportu i rozrywki. Odkąd Los Angeles staje się światową stolicą filmu i wchodzi w złotą erę, południe Kalifornii wybucha populacyjnie i urbanizacyjnie.

W 1922 r. w Santa Fe w Nowym Meksyku dochodzi do podpisania paktu Colorado River Compact – porozumienia w sprawie użytkowania rzeki przez siedem wspomnianych już stanów oraz Meksyk. Z dokumentów wynika, że wody w rzece jest wystarczająco dużo, by każdy sygnatariusz mógł zaspokoić zgłoszone potrzeby, a władze stanów

wszyscy wiedzieli, iż jeśli jej zabraknie, to już będzie problem przyszłych pokoleń. Dlatego nikt niczym się nie przejmował i porozumienie podpisało – tłumaczą autorzy.

Człowiek ignoruje naukę

Ale książka Kuhna i Flecka jest ważna z jeszcze jednego powodu. Autorzy uzyskali dowody, że raporty La Rue i jego zespołu zostały przez sygnatariuszy porozumienia odrzucone, ponieważ przedstawione tam liczby i fakty były po prostu niewygodne dla polityków pielęgnujących pewną wizję przyszłości regionu. Raporty umyślnie zignorowano, i to z błogosławieństwem najważniejszych osób w kraju.

– Znaleźliśmy zapis z zeznań, które w 1925 r. La Rue złożył w Senacie. Mówił jasno, że Colorado River Compact zasada się na nierealistycznych projekcjach, że rzeka nie poradzi sobie z liczbą planowanych tam inwestycji – podkreślają autorzy. I dodają, że La Rue nie był w swoich ocenach odosobniony. – Na alarm bili także m.in. profesor Uniwersytetu Arizony i wysoki rangą członek komisji kongresowej Herman Stabler oraz jego szefowie ze słynnego Wojskowego Korpusu Inżynierów (US Army Corps of Engineers). Umowa przewidywała dostarczanie przez rzekę 24,6 mld m sześć. wody rocznie. La Rue powtarzał, że może to być co najwyżej 18,5 mld. Dzisiaj wiemy, że wody byłoby jeszcze mniej, bo ledwie 14,5 mld. A mówimy o stanie przed suszą, obecnie to ok. 13 mld.

W czerwcu tego roku Kongres powołał przed swoje oblicze Camille Touton, komisarz Urzędu Spraw Wewnętrznych ds. Odzysku Wody, by poznać rokowania na najbliższe lata. Touton zadeklarowała, że użytkownicy Kolorado muszą w trybie natychmiastowym obniżyć konsumpcję wody o 2-4 mld m sześć., by zapobiec całkowitemu drenażowi zbiorników Mead i Powell. W podpisanej w sierpniu przez prezydenta Bidena tarczy antyinflacyjnej 4 mld dol. zostały przeznaczone na projekty zachowania i recyklingu wody z rzeki Kolorado. Następnym krokiem zleconym przez rząd federalny stanom

Kolorado nawadnia dziś prawie 2,5 mln ha ziemi uprawnej i stanowi źródło wody pitnej dla ok. 40 mln ludzi w siedmiu stanach.

100 lat temu. Naukowcy alarmują, że to początek prawdziwego kryzysu. Jak to jednak z kryzysami bywa, i ten ma więcej niż jedną matkę. Zmiany klimatyczne to tylko część opowieści o umieraniu rzeki. Bo w momencie kluczowym dla przymierza człowieka z rzeką zdrowy rozsądek i głosy ekspertów zostały złożone na ołtarzu chciwości i politykierstwa.

Człowiek uśmierca rzekę bardziej

Jest rok 1916. Młody inżynier hydrolog Eugene Clyde La Rue wraca z wyprawy przez Kolorado i Arizone i przedstawia przełożonym w USGS (United States Geological Survey) raport, że Kolorado nie może być brana pod uwagę jako stabilny dostawca wody dla całej zachodnio-południowej połaci kraju, gdyż cyklicznie wysycha. W najlepszym scenariuszu raz na 50-100 lat, w najgorszym co 10-20 lat. Rząd zlecił badania, bo pierwsze dekady XX w. to intensywny rozwój tej części kraju. Nowy Meksyk i Arizona dopiero co otrzymały status nowych amerykańskich stanów (1912), Utah jest stanem od niecałych 20 lat (1896). Atrakcyjne warunki osadnictwa przyciągają nowych mieszkańców, a ci potrzebują stałego dostępu do wody, by zmieniać nieużytki w obszary rolnicze. Przedsiębiorcy ustawiają się w kolejce, by inwestować

nie musiały ograniczać liczby wydawanych pozwoleń na wszelkie inicjatywy ekonomiczne. Gdy ciekawscy dziennikarze wyweszli, że eksperci z Eugene'em La Rue na czele oceniali potencjał rzeki na dużo mniejszy, pojawiło się wyjaśnienie, że ich ekspertyzy nie mogły być brane przez decydentów pod uwagę, gdyż sporządzono je w sposób niechlujny i niezrozumiały dla normalnego człowieka. Publicznie przedstawiono za to inne badania z monitoringu stanu wód w rzece. Prowadzono je na przełomie dekad (1918-1921) i miały być koronnym dowodem na to, że rzeka Kolorado spokojnie wywiąże się z oczekiwań.

– Problem z tymi badaniami był taki, że te lata były akurat wynaturzeniem, wszędzie spadło więcej deszczu, a zimy w Górach Skalistych wyjątkowo obfitowały w śnieg, który, topniejąc, zasadniczo zasila rzekę – wyjaśniają John Fleck i Eric Kuhn, autorzy wydanej przed trzema laty książki „Do diabła z nauką. Jak ignorowanie niewygodnych faktów zniszczyło rzekę Kolorado”.

Drugim problemem były przydziały, o które zabiegali i które otrzymywały poszczególne stany. – Każdy polityk, jeśli ma coś z kimś negocjować, woli zawyżyć stawkę, by na pewno to coś dostać, bo wyborcy nie wybaczą niespełnionych obietnic. Z wodą sytuacja była taka, że

► użytkującym rzekę było zwołanie „szczytu siedmiu”, by wypracować konkretny plan oszczędnościowy. Ale tu zaczęły się schody.

– Mamy zredukować zużycie o jedną czwartą. To przerażająca perspektywa, ekonomiczne trzęsienie ziemi i dramat dla wszystkich naszych społeczności – ocenił rekomendacje Touton Andy Mueller, gospodarz szczytu i menedżer generalny agencji Colorado River District.

Żadnego planu nie przyjęto, nikt nie zadeklarował nawet gotowości do redukcji w obrębie własnej działki. John Entsminger, menedżer Southern Nevada Water, wysłał za to list do pani komisarz, w którym rzeczowo poinformował ją, że „szczyt był kompletnym fiaskiem”.

Jak wielkim? Obrady zdominowały kłótnie o to, kto korzysta z rzeki najwięcej i kto dobrowolnie najbardziej zredukował konsumpcję wody. Sygnatariusze umowy z 1922 r. podzielili się na dwa obozy, zgodnie z podziałem rzeki na dwa obszary użytkowania, tzw. Basen Górny – obejmujący stany Kolorado, Wyoming, Utah i Nowy Meksyk, oraz Basen Dolny ze stanami z południa.

się jedynie na rezolucję, że federalne fundusze muszą być przeznaczone na ulepszenie systemu transportu i przechowywania wody, zwłaszcza w obrębie Kalifornii, bo wyparowuje jej tam aż 1,5 mld m sześć. rocznie.

Waszyngton zapowiedział, że jeśli poziom wody w Mead spadnie do stanu krytycznego, a siódemka nadal będzie wyłącznie się kłócić, to on zadecyduje o stopniu redukcji zużycia przez każdy stan. Będzie do tego zmuszony, bo gra toczy się nie tylko o wodę, ale i o energię. Hydroelektrownia na zaporze Glen Canyon już pracuje na pół gwizdka. Przy obecnym trendzie spadku poziomu wód stanie całkowicie najdalej w marcu przyszłego roku. Bez prądu zostanie co najmniej 5 mln ludzi, a ceny wzrosną w całym kraju.

Rdzenni mieszkańcy chcą zadośćuczynienia

Rozprawiając o wodzie i jej użytkowaniu w USA, nie sposób pominąć wątku rdzennych mieszkańców i ich własnej walki o dostęp do niej. Bo choć rzeki, tak jak i ziemie, kiedyś w całości należały do nich, jest

o ocalenie rzeki to jednocześnie walka o zadośćuczynienie ich osobistym krzywdom. Deklarują więc, że przyłączając się do akcji ratowania rzeki, ale najpierw oczekują zwrotu za wodę, której przez 100 lat nie użyli, a następnie rekompensaty za lukratywne projekty, z których ich wykluczono.

– Gdy kolektywnie, cała nasza trzdziestka, zaczniemy użytkować rzekę Kolorado, jak stanowi dane nam prawo, nic dla was nie zostanie. A wierzcie mi, mamy zamiar to zrobić, jeśli będziecie marginalizować nasz głos i potrzeby – zapowiedziała w maju Lorelei Cloud, członkini rady plemiennej z plemienia Południowych Ute, na dorocznym zjedzie dystrybutorów wody w Grand Junction w Kolorado. – Obyśmy jednak wszyscy zapadli się pod ziemię, jeśli nie zostawimy wody przyszłym pokoleniom, by mogły trwać i prosperować! – dodała i dostała za to największe oklaski od uczestników spotkania zgromadzonego w auli uniwersyteckiej.

Nie ma na świecie łatwych rozwiązań i w pewnym momencie nie obędzie się bez poświęceń ze strony każdego konsumenta wody z rzeki Kolorado. Ekspertki pokładają nadzieje w tym, że dużo może pomóc zwykła zmiana nawyków: pozbycie się wanien i przydomowych basenów, zastąpienie trawników lokalną, odporną na suszę roślinnością, a także używanie domowych zestawów do oszczędzania wody. Tym bardziej że te ostatnie można coraz częściej dostać za darmo od władz. Urząd miasta Tucson w Arizonie już od kilku miesięcy z powodzeniem rozprowadza zestawy składające się z wodooszczędnej słuchawki prysznicowej, minutnika do kontroli czasu spuszczenia wody, preparatu do wykrywania nieszczelności hydraulicznych oraz specjalnej torebki-wkładki do spłuczki, by toaleta pobierała mniej wody. Kolejne miasta chcą iść w jego ślady.

Warto obserwować amerykańską akcję ratowania rzeki Kolorado, bo to nieoceniona lekcja dla całego świata. I w kwestii odzyskiwania wody, i na temat skutków ignorowania możliwości natury, które doprowadziło rzekę do jej obecnego stanu.

Eliza Sarnacka-Mahoney

Dzięki rzece w Dolinie Kalifornijskiej nieprzerwanie trwa produkcja żywności, zaspokajająca 65% krajowego zapotrzebowania na zboże, owoce i warzywa.

Pierwszy nie ma zamiaru niczego redukować, zanim nie zrobi tego drugi, bo przypomina, że to Kalifornia i Arizona pochłaniają 63% ogólnych zasobów. To logiczne, że na dietę powinni najpierw przechodzić najgrubszy. Arizona nie zamierza zrobić żadnego kroku, zanim nie zrobi go Kalifornia, bo nie chce stać się dostarczycielem darmowej wody dla zachodniego sąsiada. I tak od lat się zżywa, że porozumienie w jego obecnej postaci zobowiązuje ją do wdrażania awaryjnego planu dystrybucji, jeśli poziom wody w zbiorniku Mead spadnie do 332 m, podczas gdy Kalifornia nie ma takiego obowiązku, dopóki poziom nie spadnie do 316 m. Notabene hydrologicy szacują, że 316 m będzie przed końcem tego roku. Uczestnicy szczytu zdobyli

z nimi tak samo jak z ropą i minerałami. Mnóstwo zapisów o tym, że pierwotni mieszkańcy zachowują prawo do gospodarki zasobami naturalnymi oraz do płynących z niej zysków i... notoryczne łamanie tych postanowień przez stronę amerykańską. Umowę o użytkowaniu rzeki Kolorado podpisało w 1922 r. również 30 plemion, którym na papierze przekazano kontrolę nad jedną czwartą zasobów wody w rzece. Ich styl życia w połączeniu z brakiem infrastruktury w rezerwatach sprawił, że przez 100 lat konsumowali nikłą część tego, do czego byli uprawnieni. Niektórzy, np. aż 40% członków plemienia Navajo zamieszkującego Arizonę i Nowy Meksyk, po dziś dzień borykają się z brakiem dostępu do wody pitnej. Dla nich batalia

Oko w oko



Tomasz Jastrun

Na Śmiałej

Przyjęcie na Żoliborzu, na Śmiałej. Dom Agnieszki Umedy, mojej przyjaciółki od dziecka; czas zrobić swoje, ten dom teraz jest zasiedlony przez trójkę jej dzieci z rodzinami. Jest rocznica urodzin Ryōchū Umedy. Gdyby latem 1922 r. Ryōchū Umeda nie spotkał na statku płynącym z Japonii do Europy dwóch powracających do ojczyzny Polaków, nie zamieszkałby w Polsce. A podróżował do Niemiec. Zadomowił się serdecznie w Polsce. Był potem tłumaczem polskiej literatury, miał przy okazji wielkie zasługi w upowszechnianiu japońskiego języka i kultury w Polsce. Synem Umedy był Yoshiho, mój wieloletni przyjaciel i mąż Agnieszki. Zmarł niestety 10 lat temu. Przyjechał do Polski jako dziecko, z urną z prochami ojca, bo tak umierający zażyczył sobie w testamencie.

Są japoniści, kilku Japończyków, tłum znajomych. Sama Agnieszka wykłada japoński na Uniwersytecie Warszawskim i tłumaczy japońską literaturę. W ogrodzie Hana, córka Agnieszki, w kimonie odtąńczyła japoński taniec, później prelekcje profesorów, ale zmarliśmy jak diabli w tym ogrodzie. Potem już szczęśliwie przenosiny do domu, ileż ja mam wspomnień z nim związanych. Jednak Agnieszka i Yoshiho mieszkali jeszcze w wielkim bloku Za Żelazną Bramą, gdy o drugiej w nocy 13 grudnia 1981 r. do nich dotarłem (minąłem się o północy na schodach z czwórką z łomem, gdy po mnie szli). Były urodziny Agnieszki, wszyscy już pijani. To noc stanu wojennego. Krążyłem po Warszawie, budząc ludzi. Szeptałem jak z „Wesela”, wpadam do mieszkania, wołam: „Do broni!”, a wszyscy tańczą pijani i nieprzytomni. Najbardziej pijany był Yoshiho, zwlekam go z łóżka, proszę o adresy ludzi, też Zbyszka Bujaka, szefa Solidarności. Yoshiho nagi, półprzytomny wertuje notesy. „Mam tylko numery telefonów”, bełkoce. Nawet trzeźwy mówił zabawnie po polsku. „Telefony nie działają!”, wołam. „A ja ci mówię, że się dodzwonię”, upiera się w dym pijany pianista jazzowy Janusz Bogacki i jedzie windą na parter do automatu telefonicznego. Wracza z niczym. Jestem okrutnie zawiedziony, nici z powstania.

Miałem potem wiele podobnych przygód tej niezwykłej, mroźnej i upiornej nocy. Budziłem księży, przemówiłem do ludu na postoju taksówek na placu Zamkowym, a pijany lud na mnie się rzucił, bym go wiozł na łebka. Yoshiho wkrótce wydalą z Polski, co stanie się dramatem, Agnieszka z dziećmi zostanie w kraju. Wciągnąłem go w działalność konspiracyjną w latach 70., potem był działaczem Solidarności, z japońskim paszportem.

Jest na Śmiałej Janusz, jazzman, zmieniony przez czas. Kilku bliskich mi niegdyś ludzi nie poznałem nic a nic,

ktoś wita się ze mną, dowiaduję się potem, że to Marek, mój kiedyś bliski kolega. Ludzie zmieniają się do poznania i nie do poznania. Marka nie odpoznałem, nawet gdy już wiem, kim jest, szeptem kogoś spytałem. Nie został nawet ślad po tym dawnym Marku. Jest w tej maskaradzie coś przerażającego. A Yoshiho był kolorowy, był osobliwością w szarej rzeczywistości Polski Ludowej. Mam wiele anegdot związanych z jego osobą. Ale jak się uważnie przyjrzeć, był też postacią tragiczną, zawieszony między dwiema tak różnymi kulturami. Przestał być po części Japończykiem, ale nie był także do końca Polakiem. Szamotał się w tej sieci.

Na przyjęciu był Zbyszek Bujak z żoną. Bohater stanu wojennego, bezpieka szukała go przez kilka lat, wszyscy tym żyliśmy. I po co było tak się przejmować? Ale jak blade byłoby życie bez takich emocji.

Po 12 latach wszystko zaczyna nam się psuć w domu, alarm nawala i czasami krzyczy bez powodu, zepsuła się lodówka, zmywarka, pralka, a teraz dach nagle przecieka, no i zepsuł się telewizor. Po 70 latach ja też zaczynam się psuć, wstyd wyliczać. Awarię telewizora bardzo

Co się stało w Polsce? To nie tylko upływ czasu, że Urban zupełnie spoczcwiiał, a jego cynizm stał się raczej zabawny. Kurski nie ma na to szans.

przeżyłem. Zawieźliśmy go do naprawy. Tam, gdzie wisiał na ścianie, otworzyła się jakby wielka dziura, która zdawała się sięgać kosmosu. Odkryłem, jak bardzo jestem uzależniony, chociaż teraz oglądam tylko „Fakty”, by się umartwić.

Jerzy Urban nie żyje. Żadnych złych myśli. A kiedyś nikt nie budził takiej nienawiści jak on, rzecznik rządu w stanie wojennym i potem. Był Urban uosobieniem jadłowitego cynizmu, jak teraz Jacek Kurski. Pisałem wtedy w paryskiej „Kulturze” felietony ukryte za pseudonimem. Dostałem poufną wiadomość, że Urban rozpytuje, kto jest ich autorem. Myślałem, że chce mi zrobić krzywdę, a okazało się później, że bardzo mu się podobały. A przecieź waliłem w system pałką. Co się stało w Polsce? To nie tylko upływ czasu, że Urban zupełnie spoczcwiiał, a jego cynizm stał się raczej zabawny. Kurski nie ma na to szans. Jest obrzydliwy i złowrogi.

Pies może żyć bardzo długo

Wybór jest kluczowy dla psiego zdrowia psychicznego i znacznie redukuje stres

Rozmawia Agata Michalak

Jakie aspekty życia naszych psów możemy kontrolować, żeby zapewnić im długie życie w zdrowiu?

Karen Shaw Becker: – To my, właściciele psów, w stu procentach kontrolujemy wszelkie aspekty ich życia. Przecież decydujemy o wszystkim: kiedy i co jedzą, kiedy wychodzą, kiedy wydalają, czy mieszkają w zacienionym, czy w jasnym domu itd. I nie ma w tym nic złego, jeśli spełniamy jeden warunek: mamy wystarczająco dużo wiedzy, żeby podejmować dobre decyzje na tych wszystkich polach. Kiedy zdamy sobie sprawę z tego, że to w naszych rękach jest potencjał długowieczności naszych zwierzątek, możemy się poczuć przytłoczeni. Nasza książka służy właśnie poszerzeniu wiedzy psich towarzyszy na temat tego, jak wspierać ów potencjał.

Rodney Habib: – Obszar życia psów podzieliliśmy z grubsza na cztery części i całość strategii dla ułatwienia nazwaliśmy „P.I.E.S”. Jeśli codziennie możemy zrobić coś z każdego z tych obszarów, zyskujemy szansę na poprawę długości i jakości życia swojego psa.

Rozwińmy zatem ten skrót.

RH: – „P” to „Pożywienie i dieta”. To oczywiście sfera, która ma ogromny wpływ na długość psiego życia i jest kontrowersyjna, jeśli chodzi zarówno o ludzi, jak i o zwierzęta. My sami stosujemy często diety o skomplikowanych nazwach i zastanawiamy się, czy wybory jedzeniowe powinny dotyczyć też naszych zwierząt. Czy mój pies ma być weganinem jak ja? Chcieliśmy uniknąć wchodzenia w te zawiłości. Sprowadzamy to wszystko do prostego równania: po jednej stronie jest świeże jedzenie, po drugiej



DR KAREN SHAW BECKER I RODNEY HABIB

– autorzy książki „Zdrowy pies. Jak sprawić, aby twój przyjaciel zachował zdrowie i witalność jak najdłużej” (Wydawnictwo Buchmann)



– ultraprzetworzone. Pytanie, które psi towarzysz powinien sobie postawić, brzmi: na ile dieta mojego zwierzęcia może być oparta na świeżym, nieprzetworzonym jedzeniu?

KSB: – „I” to „Idealna dawka ruchu”. Większość ludzi spędza całe dnie poza domem, są przy tym bardzo zajęci i zestresowani. Większość psów natomiast siedzi w domu, czekając, aż wrócą do niego ludzie. Gdy wracamy, często sami nie ruszamy się tyle, ile powinniśmy, bo jesteśmy zmęczeni, najchętniej (przynajmniej w Ameryce Północnej) włączymy telewizor. I naturalnie psy, które cieszą się na nasze przyjście i chcą wyjść z nami na spacer, wywołują w nas poczucie winy. Aby więc je zagłuszyć i zająć czymś zwierzątki, dajemy im przekąski, zastępując miłość

jedzeniem. Używamy zatem jedzenia do tego, by ukryć przykry fakt, że jesteśmy zbyt wyczerpani, by zająć się porządnie sobą i zwierzęciem. Musimy z ruchu uczynić priorytet, bo nasze psy mają go o wiele za mało w stosunku do ich potrzeb.

RH: – Ważny jest przy tym nie tylko sam fakt wyjścia z domu, ale też to, dokąd idziemy. Przyroda może bardzo korzystnie wpływać na psi układ odpornościowy. W książce sugerujemy więc najlepsze miejsca, do których można zabrać psa, by wesprzeć jego system odpornościowy w zgodzie z nauką.

A dwie pozostałe literki?

KSB: – „E” to „Efekt uwarunkowań genetycznych”...

...czyli coś, za co na szczęście nie jesteśmy sami odpowiedzialni!

KSB: – Niezupełnie. Kiedy 20 lat temu studiowałam weterynarię, uczono mnie, że geny są dane raz na zawsze. Dopóki nie przeprowadziłam wywiadu z dr. Davidem Sinclairem, utytułowanym badaczem długo-wieczności, mówiłam: „Jeśli twój pies ma słabe geny, to przykre, ale niewiele możemy zrobić”. Dopiero dr Sinclair zwrócił moją uwagę na epigenetykę. Owszem, geny są dane raz na zawsze, ale dziś wiemy, że ich ekspresja nie. Nikt z nas nie rodzi się z optymalnym zestawem genów, ale wszyscy możemy regulować ich ekspresję za sprawą codziennych decyzji. Chciałabym więc powiedzieć, że tutaj możemy odetchnąć z ulgą, ale tak naprawdę, jeśli nasz pies ma zwichrowane geny, to nasze codzienne wybory dotyczące jego ruchu, diety i zdrowia będą jeszcze ważniejsze! Musimy wtedy postarać się jeszcze bardziej, by wprowadzić korzystne zmiany w trybie jego życia, bo wtedy mamy realne szanse powstrzymać geny przed uaktywnieniem się na niekorzyść psa. Jeżeli zatem kupujemy szczeniaka z hodowli, inwestycja w psa o silnym genotypie będzie najważniejszym krokiem, jaki możemy podjąć, by potem uniknąć rozdzierających scen spowodowanych przedwczesnymi chorobami i śmiercią.

RH: – Przypomnę też, że w książce znajdziecie 25 pytań, które trzeba zadać hodowcy, zanim zdecydujecie się kupić od niego psa.

KSB: – Natomiast jeśli tak jak ja nigdy nie kupicie psa, tylko uratujecie tego jednookiego, trzynożnego psia z ulicy, musicie się przygotować na to, że jego DNA będzie niewiadomą. Dlatego znów: najlepiej upewnić się, że robicie wszystko, co w waszej mocy, by nie dopuścić do ekspresji negatywnych genów.

„S” to „Stres”?

KSB: – Tak, rozumiany możliwie szeroko. W USA wiele osób na czas, gdy są w pracy, zamyka psa w klatce kennelowej – to pierwszy stresor, płynący z otoczenia. 60% amerykańskich psów ma nadwagę – to też stresor, tyle że metaboliczny. Wiele technik, które ludzie stosują w treningu posłuszeństwa, mieści się w szarej strefie na granicy przemocy, co z kolei do-kłada się do stresu emocjonalnego.

Jest jeszcze stres weterynaryjny, bo my, lekarze, lubimy faszcerować zwierzęta chemią, czy tego potrzebują, czy nie. Wielu lekarzy rekomenduje użycie pestycydów, by uniknąć zarażenia psa pchłami i kleszczami! Pestycydów! Dlatego musimy zacząć bardziej odpowiedzialnie myśleć o chemikaliach, które stosujemy w domu i ogrodzie.

RH: – Przez użycie chemii, dezynfektantów i środków czyszczących nasze domy z najbezpieczniejszego miejsca dla psów i kotów zmieniły się w ostatnich dekadach w najbardziej toksyczne. My, ludzie, wychodzimy do pracy, na zakupy, na kolację. Ale pies i kot siedzą tam bez końca. Dotarliśmy do badania, które wykryło cząsteczki 48 z 70 dostępnych na rynku przemysłowych środków czyszczących w przestrzeni domowej.

Większość ludzi spędza całe dnie poza domem, a większość psów siedzi w domu, czekając, aż wrócą do niego ludzie.

Co z tym zrobić?

RH: – Na szczęście jest na to prosta rada: oczyszczacze powietrza. Maszyny filtrujące uwalniają nasze domy od szkodliwych cząsteczek, smogu...

KSB: – ...a nawet dymu papierosowego, bo ludzie rzadko myśla o tym, że psy nie mają wyboru i muszą wdychać i zjadać to, co im podsuwamy. To zresztą inna ważna strona książki, na którą wielu czytelników zwraca nam uwagę – nie zdawali sobie sprawy, jak wielkie znaczenie w życiu zwierząt ma wybór. Ponieważ podejmujemy wszystkie decyzje za nie, ważne jest, by dla ich dobrostanu umysłowego umożliwić im decyzje na małą skalę – np. o powąchanie jakiegoś drzewa na spacerze. Wybór, szczególnie w połączeniu z ruchem, jest kluczowy dla psiego zdrowia psychicznego i znacząco redukuje stres.

Wiedząc to wszystko, po przeczytaniu książki nie sposób nie odczuwać żalu i wyrzutów sumienia, że popełniło się tyle błędów!

KSB: – Nie chcemy, by ktokolwiek czuł się winny po lekturze. Dlatego bardzo się starałam, żeby nasz

głos nie brzmiał protekcjonalnie ani oceniająco.

RH: – Kiedy zaczęliśmy wgrzyzać się w obszar badań nad zdrowiem psów, mieliśmy poczucie, że podejmujemy nie lada wyzwanie. Naszym założeniem było bowiem zastosowanie najbardziej aktualnej wiedzy naukowej do tego, by nasze psy mogły nam towarzyszyć tak długo, jak to możliwe. Chcieliśmy mówić do różnych ludzi i przekonać nawet tych, którzy nie mają czasu czy środków finansowych, by się zatroszczyć o siebie samych!

KSB: – Dlatego drugim najważniejszym zadaniem, zaraz po zachowaniu łagodnego tonu, było napisanie książki tak, by ten ogrom wiedzy nie przytłaczał. By można go było podzielić na łatwe do przyswojenia kęsy, dzięki którym zmiany wprowadza się

stopniowo, w sposób bezbolesny dla budżetu. Czy wiecie, że nawet dwie minuty ruchu na godzinę wiążą się ze zmniejszonym ryzykiem śmierci (z dowolnej przyczyny)? A już zamiana 10% dziennej racji żywieniowej na zdrowsze odpowiedniki inicjuje zmiany na lepsze w psim organizmie? Chcieliśmy, by ludzie zrozumieli, dlaczego mają coś zrobić, i by wprowadzali zmiany w tempie spójnym z ich trybem życia, ich rodziną i potrzebami. Jako lekarka weterynarii pracująca w nurcie wellness chciałam, aby nasi czytelnicy stali się adwokatami potrzeb swoich psów. By wiedzieli nie tylko, co trzeba robić, ale też dlaczego i po co. I by wiedziała to zarówno 19-latka, która właśnie kupiła pierwszego chihuahue, jak i 50-latek, który uratował ze schroniska starego psa po przejściach.

RH: – Dla nas samych proces pisanie „Zdrowego psa” miał wymiar terapeutyczny. Mieliśmy w pamięci własne błędy, które nieintencjonalnie popełniliśmy. Chcieliśmy dać szansę ich uniknięcia przyszłym psim towarzyszom. Proszę: oto nowa wiedza – i miejmy nadzieję, że jak najwięcej osób z niej skorzysta. ■

Pranie na zielono

Coraz więcej korporacji deklaruje zaangażowanie w ochronę środowiska – i na słowach poprzestaje

Mateusz Mazzini

Jednym z najszerzej komentowanych w ostatnich miesiącach ruchów biznesowych była decyzja rodziny Chouinard, właścicieli znanej marki odzieży do sportów wyczynowych Patagonia, o przekazaniu wartej 3 mld dol. spółki w całości w ręce organizacji zajmujących się ochroną środowiska. Założyciel i prezes Patagonii, 83-letni Yvon Chouinard, już wcześniej znany był z proekologicznych działań. Sponsorował setki inicjatyw walczących ze zmianami klimatycznymi, we własnej firmie z kolei nie zawsze kierował się wyłączenie chęcią zwiększenia zysków. Patagonia, często wyśmiewana jako ulubiona marka bogaczy, popularna zwłaszcza we wciąż zmaskulinizowanym środowisku amerykańskich inwestorów kapitałowych, stosowała chociażby zasadę bezwarunkowej, powszechnej i całkowicie darmowej naprawy i wymiany ubrań. Jeśli ktoś w kamizelce Patagonii rozwaliał zamki, urwał kieszeń, a nawet wypalił dziurę, firma oferowała naprawę bez dodatkowych opłat, a w razie zbyt dużych uszkodzeń wysyłała nowy ciuch czy element sprzętu. Choć wydaje się to przeciwnie do biznesowego punktu widzenia, cel był szlachetny. Chouinardowi, zwanemu również „miliarderem od niechęci”, chodziło o ograniczenie konsumpcji. Tak by przedmiotów nie do końca ekologicznych, jakimi są ubrania, w obiegu było jak najmniej.

Od teraz Patagonia należy więc do dwóch organizacji, obu działających nie dla zysku. Pakiet kontrolny znajduje się w rękach Patagonia Purpose Trust, nowego podmiotu, którego zadaniem statutowym będzie kontrolowanie komercyjnych działań firmy. Patagonia jako spółka zarejestrowana w Kalifornii nadal będzie

produkować ubrania i sprzęt sportowy, jednak to Purpose Trust zadecyduje, co zrobić z zyskami. A te, według obecnego planu, mają trafić do The Holdfast Collective. To z kolei organizacja trzeciego sektora, która dzięki takiemu właśnie statusowi ma na terenie Stanów Zjednoczonych prawo do angażowania się w działania aktywistyczne, lobbingowe, sponsorowania grantów i inicjatyw mających na celu walkę z katastrofą klimatyczną i podnoszenie świadomości społecznej na temat ochrony środowiska. Co ciekawe jednak, kontrolę nad całą strukturą nadal zachowa rodzina założycielska.

Starbucks wprowadził nowy rodzaj pokrywek, by klienci do napojów nie używali słomek – i w efekcie wytwarza więcej plastiku niż poprzednio.

Yvon Chouinard w wywiadzie dla „New York Timesa” podkreślał, że do nikogo innego nie miał zaufania. Wykluczał wprowadzenie firmy na giełdę i normalną sprzedaż akcji, bo, jak sam mówił, „nawet firmy z dobrymi intencjami często są zmuszane przez swoich inwestorów do generowania szybkich zysków”. Nie chciał też całkowicie przekazać władzy w ręce innych organizacji, w których mogą zmienić się zarządy czy cele albo które mogą paść łupem polityków. Dlatego to Chouinardowie: Yvon, jego żona i dwójka dorosłych dzieci, będą wraz z grupą najbliższych współpracowników tworzyć Patagonia Purpose Trust. Tyle że nie będą już czerpać z tego zysków, a te, które już zgromadzili, przełożą na cele związane z klimatem.

Pranie sumienia

Historia Patagonii, choć zawiera elementy ekologicznej propagandy sukcesu (Chouinard szumnie nazwał

swój ruch „oddaniem firmy w ręce planety”), jest jedną z nielicznych pozytywnych opowieści o korporacyjnym działaniu na rzecz środowiska. Dożyliśmy czasów, w których najważniejsi gracze na rynku nie próbują już negować konsensusu naukowego wokół katastrofy klimatycznej – i to samo w sobie jest sukcesem. Sama świadomość jednak nie wystarczy. Zwłaszcza że w zdecydowanej większości przypadków nie idą za nią żadne konkretne działania.

Termin greenwashing jest już dość powszechnie znany. Odnosi się do działań, które deklaratorywnie mają na celu ochronę środowiska, ale

w praktyce wcale nie są proekologiczne, zapewniają tylko firmom, które o nich mówią, dobry wizerunek. Właśnie dlatego, że nie można dłużej być obojętnym na świat trucicielem, a kapitalizm i konsumpcjonizm też najlepszej prasy nie mają, korporacje próbują zapewnić potencjalnych klientów, że tak naprawdę planecie nie szkodzą. Jeżeli akurat im się zdarza, to albo szkodzą w coraz mniejszym stopniu, albo rekompensują to innymi ekologicznymi akcjami, takimi jak sadzenie drzew czy adopcja dzikich zwierząt. Stąd nazwa greenwashing, zielone pranie. Bo podejmując zielone inicjatywy, korporacje piorą swoje sumienia.

Z teoretycznego punktu widzenia żadne działanie, nawet tak radykalne jak zmiany w Patagonii, środowiska naturalnego naprawdę nie chroni. Kalifornijska firma nadal będzie przecież produkować nowe przedmioty, napędzając konsumpcję. Stworzy więcej rzeczy, które trzeba też przetransportować w globalnym



łańcuchu dostaw. Co z tego, że zyski z ich sprzedaży będą trafiać do aktywistów i naukowców? Czy nie byłoby lepiej dla planety, gdyby produkcji takich artykułów, pod żadnym pozorem niebędących artykułami jakiegokolwiek – nawet nie pierwszej – potrzeby, po prostu zaprzestać?

Nie trzeba być ekologicznym radykałem, żeby rozumieć sens takiego myślenia. O szkodliwym wpływie konsumpcji pisali praktycznie wszyscy teoretycy ekologizmu i innych zielonych ideologii, od tych bardziej umiarkowanych, jak twórca słynnej hipotezy Gai (świata jako jednego organizmu) James Lovelock, aż po ekoanarchistę Murraya Bookchina,

formę relacji ludzi ze środowiskiem naturalnym.

Oczywiście nie zawsze należy do tematu podchodzić tak radykalnie. Zwłaszcza że w gospodarce sektorowi nierówny. Bez wyczytania nowej kurtki, termosu czy plecaka jesteśmy w stanie się obejść, bez mieszkań, jedzenia czy leków już niekoniecznie. Dlatego nie we wszystkim jesteśmy w stanie zupełnie zmienić nasze przyzwyczajenia czy filozofię życia. W idealnym świecie mogłoby to oznaczać wstęp do debaty, jak funkcjonować w harmonii ze środowiskiem. W praktyce stwarza jedynie szansę dla wielkich korporacji, by zwiększały lub utrzymy-

zwrócił uwagę na bezsensowne informacje publikowane przez hotele na temat korzyści płynących z wielokrotnego używania ręczników. Odwiedzając Samoa, Westerveld przeczytał, że jeśli nie będzie prosił codziennie o nowy ręcznik, przyczyni się do ochrony lokalnej rafy koralowej. Jedno z drugim nie miało jednak nic wspólnego, bo zyski z rzadszego prania były marginalne wobec szkód, które rafa wyrządzało samo istnienie hotelu. Od tego momentu greenwashing stał się prawdziwą plagą światowego rynku reklam i działań wizerunkowych. Według szacunków firmy marketingowej Ogilvy & Mather tylko w ciągu ostatniej dekady licz-

ba praktyk możliwych do zakwalifikowania w ten sposób wzrosła na niektórych rynkach nawet kilkunastokrotnie,

głównie dzięki rozwojowi mediów społecznościowych i nowych kanałów komunikacji z potencjalnymi klientami.

Z kolei wyniki badania przeprowadzonego przez TerraChoice, proekologiczną agencję marketingu i kreowania wizerunku publicznego, pokazują, że aż 95% produktów określanych w Kanadzie i Stanach

Greenwashing to działania, które deklaratorywnie mają ochronić środowisko, w praktyce tylko zapewniają dobry wizerunek firmom.

który chciał całkowitego odwrotu od kapitalizmu i współczesnych zdobyczy technologicznych. Z ekologicznego punktu widzenia jako postawa wobec kupowania ubrań broni się wyłącznie korzystanie z drugiego obiegu. Używane, nie nowe. Wszystko inne to tylko prowizoryczne rozwiązania, co najwyżej ograniczające szkody, zamiast proponować nową

wały zyski, jednocześnie uchodząc za firmy idące z duchem czasu.

Greenwashing z tradycjami

Greenwashing ma wbrew pozorom całkiem długą historię. Po raz pierwsze słowo to zostało użyte w 1986 r. przez holenderskiego aktywistę Jaya Westervelda, który

▶ Zjednoczonych mianem zielonych tak naprawdę nimi nie jest. Firmy dopuszczają się bowiem przynajmniej jednego z grzechów głównych greenwashingu, do których należą m.in. podawanie nieprawdziwych informacji na etykietkach, zmiany w produkcji prowadzące do powierzchniowych ekologicznych zysków za cenę długoterminowych strat lub relokacja działań do krajów, w których regulacje dotyczące ochrony środowiska nie są tak restrykcyjne. Co ciekawe, wyliczają autorzy raportu TerraChoice, prawdopodobieństwo znalezienia produktu „wolnego od grzechu” jest większe w sklepie dużej sieci niż w małym butik. Dzieje się tak przede wszystkim z powodu skali. Produkcja jednego drobnego artykułu pochłania więcej energii i zasobów niż masowa produkcja T-shirtów czy butów. W dodatku choć z roku na rok rośnie liczba produktów zielonych, wciąż istnieją całe sektory gospodarki, w których dbałość o środowisko nie jest w ogóle brana pod uwagę w procesie produkcyjnym. Tutaj też pełno zaskoczeń, bo najbardziej grzeszne wcale nie są te gałęzie gospodarki, które o trucie planety intuicyjnie się podejrzuje.

TerraChoice wskazuje np., że znacznie łatwiej o produkty chociaż trochę ekologiczne w takich sektorach jak budownictwo, produkcja kosmetyków czy chemii przemysłowej, oczywiście ze statystycznego punktu widzenia. Brazylijscy badacze greenwashingu z uniwersytetu

czy betonowych konstrukcji jest nie tylko szybko zauważalna, ale i dobrze przebadana. Odwrotnie niż oddziaływanie na środowisko, a przez to na człowieka, produktów dla dzieci. Tu zarówno TerraChoice, jak i naukowcy są zgodni, produktów zielonych w tej branży praktycznie nie ma. Podobnie jest wśród producentów zabawek i elektroniki użytkowej, wciąż nieuznawanej za wielkiego truciciela, pomimo coraz słabszej jakości, która napędza konsumpcję, i wielkich problemów z utylizacją takiego sprzętu.

Grupa Volkswagen świadomie zaniżała wyniki testów emisyjności aut, by uchodziły za bardziej ekologiczne.

Ta zależność, konkludują Lucia Gatti i Peter Seele z Uniwersytetu Włoskiej Szwajcarii w Lugano, jednoznacznie pokazuje dwa zjawiska. Po pierwsze, greenwashing nie zachodzi tam, gdzie nie musi, bo niektóre sektory gospodarki nie są poddane presji społecznej czy politycznej. Po drugie, presja ma jednak jakiś sens, skoro zachowania najbardziej szkodliwych firm udało się chociażby w ograniczony sposób zmienić.

Nikt nie zyskuje

Z greenwashingiem wiąże się inny problem, którego sedno tkwi po stronie konsumentów. Sebastião Vieira i Marcos Felipe Falcão z Uniwersytetu w Kurytybie piszą o „zielonym sceptycyzmie” klientów, coraz bardziej świadomych nie tylko

zyskuje na tym nikt, tracą wszyscy, a najbardziej środowisko.

Greenwashing jest na tyle powszechny, że w wielu krajach stał się już normą. Portal Demagog, zajmujący się weryfikacją faktów w przestrzeni publicznej, wylicza te najbardziej znane przykłady. Starbucks wprowadził nowy rodzaj pokrywek, z plastikową nakładką, tak by klienci nie używali do napojów słomek – i w efekcie wytwarza więcej plastiku w nowej kombinacji niż poprzednio. Nestlé do 2025 r. zakładało produkowanie opakowań tylko z materiałów, które nadają się do recyklingu – ale nie podało dokładnych ram czasowych dochodzenia do tego celu. Lub bodaj najbardziej znany greenwashingowy skandal ostatnich lat, czyli grupa Volkswagen świadomie zaniżająca wyniki testów emisyjności swoich aut, by uchodziły za bardziej ekologiczne.

Niektóre kraje próbują z greenwashingiem walczyć. Szwajcarski regulator rynków finansowych FINMA zaapelował niedawno do władz federalnych o wsparcie walki z ekoszustami, alarmując, że obecnie nie ma odpowiednich kompetencji, by takie wykroczenia ścigać. Jak zauważa WWF, jedna z najbardziej znanych organizacji ekologicznych na świecie, problem tkwi w szczegółach – ale definicyjnych. Trzeba prawo napisać na nowo, jak najbardziej sprecyzować definicję zielonych produktów i inwestycji. A potem weryfikować, nakładać kary, oszustwa nazywać po imieniu. Bez wsparcia administracji publicznej ekokombinatorstwa nie da się ukrócić. Po raz kolejny okazuje się więc, że wolnego rynku nie można puścić samopas. Późny kapitalizm, wyhodowany przy współpracy wycofujących się ze swoich zadań państw, może nas wszystkich zepchnąć w otchłań katastrofy klimatycznej. Nie ma już czasu na pranie sumienia, potrzebujemy realnych zmian.

Mateusz Mazzini
 m.mazzini@tygodnikprzeglad.pl

W wielu krajach greenwashing stał się już normą.

w Pernambuco są zdania, że źródłem tego relatywnego sukcesu są mimo wszystko rygorystyczne ramy prawne i normy emisyjne. Oczywiście istnieją one jedynie w najbardziej zaawansowanych gospodarkach, i to tych, które wolne są od nienawidzącego wszelkich regulacji rządowych populizmu, niemniej jednak nie można udawać, że sytuacji nie polepszają. Najczęściej wynika to z prostej zależności: szkodliwość chemikaliów

zagrożeń związanych z konsumpcją, ale i kłamstw sprzedawanych im przez korporacje. Jak zauważają brazylijscy badacze, ludziom coraz trudniej odróżnić prawdziwe zielone produkty od tych, które zielone są wyłącznie z nazwy. Przez co automatycznie przestają wierzyć komukolwiek. W konsekwencji działania autentycznie proekologiczne, warte wyróżnienia i powielania, giną w szumie marketingu i propagandy. Nie

Achtung, achtung!

B były głosy, że Dariusz Pawłoś, nowy ambasador w Niemczech, to człowiek z dalekiego szeregu, średniego szczebla urzędnik, więc i ambasadorem będzie podobnym. Może tak się stanie. Choć na początek Pawłoś zapowiada, że weźmie się z Niemcami za bary. I że jego ambicją jest być takim ambasadorem, jakim był Andrzej Przylębski. Bo to on ustawił mu poprzeczkę.

Jastrzębia polityka ma więc mieć jastrzębia ambasadora. Który już obwieścił, że jednym z jego priorytetów będzie walka o reparacje. „Chciałbym przypomnieć stronie niemieckiej, że Polska nigdy nie otrzymała od Niemiec reparacji za skutki II wojny światowej – głosił, przedstawiając swoje zamiary. – Polska ma prawo domagania się zadośćuczynienia za doznane ze strony niemieckiego państwa krzywdy i oczekuje od Niemiec, że raport obrazujący skalę strat polskich zainicjuje otwarty i merytoryczny dialog między naszymi krajami, który doprowadzi do rozstrzygnięcia kwestii reparacji wojennych. W tym kontekście ambasada RP w Berlinie wraz z innymi polskimi placówkami i instytucjami działającymi w Niemczech powinna zaangażować się w kampanię informacyjną o polskich stratach wojennych, która realizowana jest pod hasłem »Bez przedawnienia«. Jako ambasador chcę jak najbardziej włączyć się w tę kampanię i ją nadzorować”.

I żeby nikt nie sądził, że to była pusta deklaracja, precyzował: „W 1952 r. rozpoczęły się pierwsze wypłaty dla ofiar w Izraelu i dla Żydów na całym świecie, których reprezentowała żydowska konferencja roszczeniowa – Claims Conference. Globalna kwota wypłacona przez Republikę Federalną Niemiec z tytułu prześladowań nazistowskich przekracza 80 mld euro. Kwoty przyznane polskim ofiarom Polska uzyskała z jednym wyjątkiem dopiero w połowie lat 90. i w XXI w. w latach

2001-2010. To były świadczenia z tytułu pracy niewolniczej, przymusowej na rzecz III Rzeszy z fundacji »Pamięć, Odpowiedzialność, Przyszłość«, a w latach 90. przekazane przez rząd Republiki Federalnej Niemiec po zawarciu Traktatu o dobrym sąsiedztwie i przyjaznej współpracy, w którym to nie znalazła się kwestia ani odszkodowań, ani reparacji wojennych. Wówczas Polska otrzymała 500 mln marek, a z fundacji »Pamięć, Odpowiedzialność, Przyszłość« – 1 812 000 000 marek. Ta kwota, razem z jeszcze jednym programem odszkodowawczym dla niewielkiej grupy ofiar eksperymentów pseudomedycznych w hitlerowskich nazistowskich obozach koncentracyjnych, to jest zaledwie 1,5% tej kwoty wypłaconej przez Republikę Federalną Niemiec ofiarom na całym świecie, głównie w Niemczech, Europie Zachodniej, Stanach Zjednoczonych i w Izraelu. 1,5%, proszę państwa. To oznacza, że polskie ofiary niemieckich prześladowań nie otrzymały żadnych odszkodowań z tytułu prześladowań nazistowskich, jedynie niewielkie wsparcie o charakterze humanitarnym ex gratia, o które same musiały występować. Kwestia reparacji uregulowana w układzie poczdamskim nie została na rzecz Polski nigdy zrealizowana”.

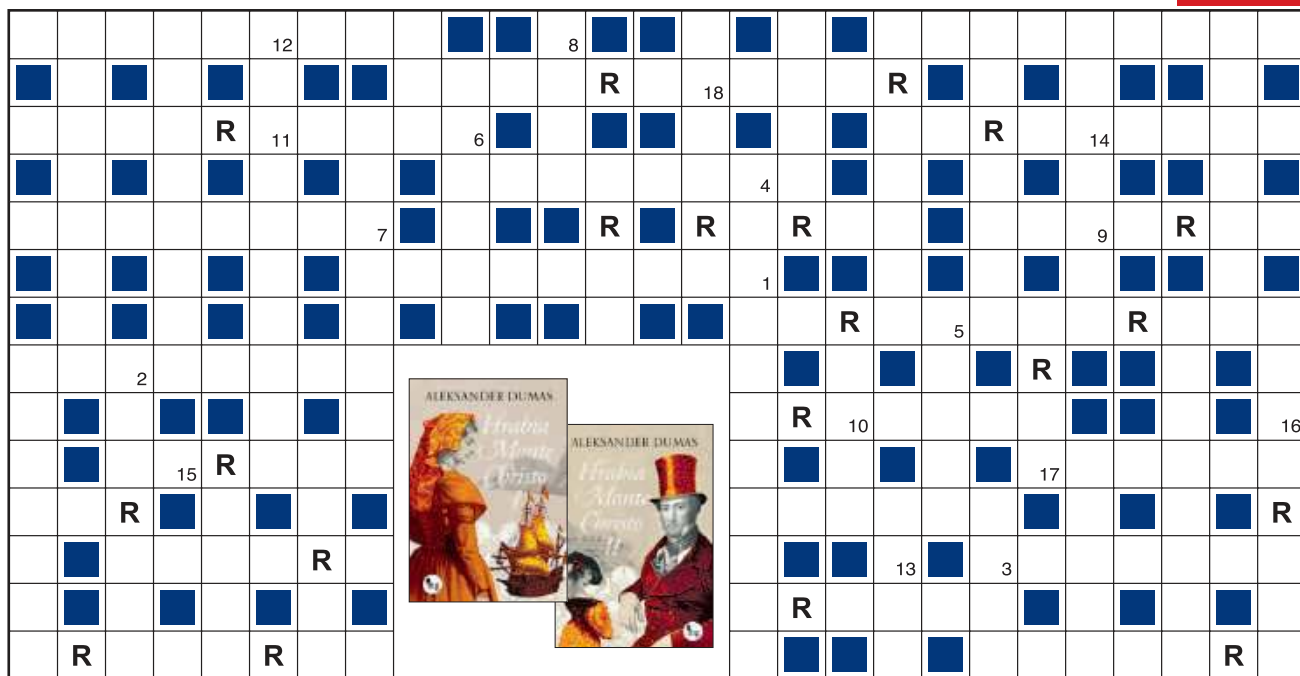
Bębny bębnią. „Jesteśmy na kursie absolutnie kolizyjnym z Niemcami. Nie ma żadnych dobrych relacji, żadnego dobrego sąsiedztwa” – takie rzeczy opowiadał na posiedzeniu sejmowej Komisji Spraw Zagranicznych poseł Janusz Kowalski i nikt z PiS nawet nie próbował choćby niuansować tych deklaracji.

Tak oto PiS znalazło cel swojej polityki zagranicznej, no i melodię dla polityki wewnętrznej, dla kampanii wyborczej w przyszłym roku. Ileż zawdzięcza Niemcom...

Attaché



Błogosławienie zwierząt w formule *drive-thru* w centrum handlowym na przedmieściach Manili, Filipiny, 2 października 2022 r.



1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17	18
---	---	---	---	---	---	---	---	---	----	----	----	----	----	----	----	----	----

Objaśnienia są podane w kolejności alfabetycznej odgadanych wyrazów. Miejsce wpisu do odgadnięcia. Wszystkie litery R ujawniono. Litery z pól ponumerowanych od 1 do 18 utworzą końcowe hasło.

- nad nią Trydent
- namalowana farbami wodnymi
- obszar wokół bieguna północnego
- błotniste staw, kałuża
- obiecanki...
- błonnik
- imię założyciela dynastii Yorków
- dawna polska miara objętości
- tam na filizankę earl grey'a
- koncert lub domówka
- oddział chorób wewnętrznych
- Ali Chamenei tam najwyższym przywódcą
- ...Reprezentantów Stanów Zjednoczonych
- odpowiedź na posunięcie taktyczne wroga
- przekupka, straganiarka
- ...główna Hitlera – Wilczy Szaniec
- we Włoszech przed euro
- najpierw trzęsienie ziemi, potem tylko rośnię
- okrągły, kwadratowy lub klamrowy
- rolnicza bryndza
- i zapisek, i wzmianka w prasie
- co godzina, to...
- szerokokątny lub krótkoogniskowy
- Zeus dla Aresa i Hermesa
- w sieci albo na rosale
- oftalmolog
- lej ją na wzburzone morze, nie do ognia
- jak ...niewolników bywa szef
- duma samca jeleniowatych
- progenitura, przychówek
- autobusu lub nadgarstek
- ptak cudak, że tak się nań patrzy?
- mody lub na lodzie
- biało-czerwony wskaźnik wiatru
- bogate cechuje oczytanego
- zwarcie elektryczne
- koń, kob lub kot, ale nie kos
- klub z Mielca lub Rzeszowa
- wkręcana, z wyżłobieniem w łebku
- pozostawianie w tym samym miejscu
- trauma fizyczna lub psychiczna
- przed lanym ponie-działkiem
- chciwość, pazerność
- cyka i bije
- zbiór zasuszonych roślin
- oznaka senności, znużenia
- filmik reklamujący film
- do przestawiania rozjazdu kolejowego
- zupa w chlebie

KUPON JOLKI „Przeglądu”

hasło:

.....

imię i nazwisko:

.....

adres:

.....

.....

.....

.....

.....

.....

.....

.....

.....

.....

.....

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać na adres redakcji w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru, z dopiskiem: „JOLKA-1086”. Do rozlosowania książki „Hrabia Monte Christo” t. I i II ufundowane przez Wydawnictwo MG. Rozwiązanie można też wysłać, pisząc SMS: KRPRZ.XXX.HASŁO KRZYŻÓWKI. Należy stosować litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia, w miejsce XXX wpisać numer krzyżówki. Osoby nadsyłające rozwiązania wyrażają tym samym zgodę na przetwarzanie ich danych osobowych. SMS-y należy wysłać pod numer 72550 (płatny 2,46 PLN + VAT) do 16 października 2022 r.

Rozwiązanie „JOLKI-1083” z nr. 39: Sukces to wielki mówca.
Nagrody otrzymują: Eugeniusz Komorowski ze Świdnicy, Natalia Kuźniar z Albigowej, Krzysztof Mauer z Mińska Mazowieckiego.

PENETRACJE

TYTUŁOWY
ANGORA

**KRZYSZTOF
MROZIEWICZ,**
PUBLICYSTA

Grzegorz Kołodko nieraz pisał o tym świecie i ciągle nie może mu się nadziwić. Nauczony doświadczeniem „Świata w matni”, który zesał do drukarni tuż przed napadem Rosji na Ukrainę 24 lutego 2022 r., napisał teraz w suplemencie do „Świata” dużą część „Wojny i pokoju” o Tajwanie, bo jako pacyfista, ale i realista zdał sobie sprawę z możliwości powtórzenia scenariusza ukraińsko-rosyjskiego na Dalekim Wschodzie. Kołodko jest najczęściej cytowanym w świecie ekonomistą polskim. Przypomina, że sankcje stosowane były po II wojnie światowej 1100 razy. Rozumowanie autora prowadzi do wniosku, że naciski ekonomiczne nie prowadzi do takich skutków politycznych, jakich rządy naciskające sobie życzą.

MONDE
diplomatie

**PRZEMYSŁAW
WIELGOSZ,**
REDAKTOR NACZELNY

Gminy położone wzdłuż granicy polsko-białoruskiej stały się strefami zadekretowanego przez państwo bezprawia. Nawet zniesienie strefy zakazu wjazdu od 1 lipca tego nie zmieniło. Straż Graniczna wciąż organizuje polowania na uchodźców, wciąż równie bezlitośnie, co nielegalnie wywozi ich na granicę i siłą przepycha do Białorusi – prosto w ręce tamtejszych służb, które karzą wypchniętych za to, że dali się wypchnąć. Biciem, głodzeniem, torturami, gwałtem. A potem znowu przepędzają ich za granicę – prosto w ręce służb polskich.

odra

URSZULA KOZIÓŁ,
POETKA

Znów wszyscy nagle przebrali się za obrońców obywatelskich praw, domagają się wyższych płac, a niby skąd na to brać pieniądze? Państwa są zadłużone po uszy. Wcześniej pod pretekstem walki z pandemią roztrwoniono krocie (spytajcie naszych: Sasina i Morawieckiego, gdzie są te zaprzepaszczone miliony), ale rozwścieczony tłum nie da sobie niczego wytłumaczyć. Lewica ma się za zbawiciela ludzkości, coraz głośniejszy prawi o drożyznie, marnotrawstwie, przekrętach, manipulacjach – a od lewicy do lewactwa jest zabiłskok. Niby mówią o tym samym, choć nie tak samo. Istotne jest, że w dzisiejszym świecie zniszczono państwo, zniszczono parlamentaryzm.

VIVA!

**MAŁGORZATA
SZUMOWSKA,**
REŻYSERKA

Jerzy Has nauczył mnie wszystkiego. Uważał, że jestem bardzo zdolna. Powtarzał: „Jeśli zrobisz w życiu jakąkolwiek karierę, coś ci wyjdzie, zawsze pobiegnie za tobą wataha wilków, która będzie tylko czekać, aż się przewrócisz, i cię dopadnie”. Jego „lekcje życia” były nieprzyjemne. Mówił, że to jest zawód dla silnych osób i trzeba być ze stali. O wszystkich mówił per ch... Uwielbiałam go. Uważam, że przygotował mnie do drogi filmowej, nie patrząc na to, czy jestem kobietą, czy mężczyzną. Chociaż uważał – i mówił o tym głośno – że mam ładne nogi. Moich kolegów strasznie irytowało, że mam fory u Hasa z powodu nóg. Było to zabawne...

Aby język giętki...

ANDRZEJ SKWORZ
O MEDIACH PUBLICZNYCH

Zmienić trzeba cały ten chory mechanizm aparatu propagandy, który udaje media publiczne.

**ARTUR BALAZS O ROSZCZENIACH
ZA STRATY Z II WOJNY ŚWIATOWEJ**

Skóra mi cierpnie, kiedy pomyślę, że tak nieprofesjonalne uruchomienie sprawy może obudzić upiory ziomkostw.

DAWID OGRODNIK O ROLACH

Wybierałem kreacje młodych stąpających po cienkim lodzie, bo sam po nim stąpałem.

MATYŁDA DAMIĘCKA
O PROTESTACH KOBIET

Dostałam parę razy wpierdol od policji, siniaki na moim ciele przypominały malarstwo Pollocka.

JERZY JARNIEWICZ O POEZJI

Nie ma na szczęście uniwersalnych kryteriów, dla jednych poezja Eliota jest dziełem geniuszu, a dla drugich – ślepą uliczką.

JANUSZ ZAORSKI O KINIE ARTYSTYCZNYM

Porusza wszystkie drażliwe tematy, jakie można sobie tylko wyobrazić. Dla wielu twórców cenzura polityczna i obyczajowa po prostu nie istnieje.

EWA FARNA O SOBIE

Nigdy nie byłam rebeliantką, skandalistką. Za to wcześniej byłam bardziej bezpośrednia. I bardziej stanowcza.

MAJA OSTASZEWSKA O BUDDYZMIE

Przez dziewięć lat praktykowałam buddyzm tybetański linii Karma Kagyu. Dziś nie jestem związana z żadną sanghą, czyli grupą buddyjską.

KUBA WOJEWÓDZKI O ANNIE POPEK

Ostrzegając ostatnio, że znalezienie dobrego partnera na Tinderze nie jest proste.

MAJA POPIELARSKA O SWOJEJ JABŁONI

Udało mi się stworzyć taką kompozycję, która cały czas jest piękna. Wiosną kwitnie jabłoń, potem oplata ją róża, która kwitnie, a jesienią kwitną śliczne, kolorowe agapanty.



Szwedzki naukowiec Svante Pääbo otrzymał Nagrodę Nobla w dziedzinie fizjologii i medycyny za badania nad ewolucją człowieka.



Rybka lubi... latać

W Kalifornii sąd potwierdził, że pszczoły można uznać za ryby. Kwestia ta była rozpatrywana w związku z wnioskiem organizacji pozarządowych, by cztery gatunki zapylaczy objąć stanowowymi przepisami chroniącymi zagrożone gatunki. Wedle prawa na opiekę władz mogą liczyć ptaki, ssaki, ryby, płazy, gady i rośliny, ale inna regulacja, do której odwołał się sąd, w technicznej definicji ryb uwzględnia także bezkręgowce. Jako że pszczoły, choć żyją na lądzie i latają, bezapelacyjnie należą do tej grupy, mogą być traktowane jak ryby, a więc chronione – uznała kalifornijska Temida. Gdyby żył prof. Falandysz, to rozstrzygnięcie byłoby miodem na jego serce.

Zrób to sam, w pracy

Przybywa firm, które zachęcają zatrudniane osoby do masturbacji. Pionierem była tu wytwórnia filmów pornograficznych z siedzibą w Barcelonie, Erika Lust Films, która wprowadziła półgodzinne przerwy na ten cel w odpowiedzi na stresy generowane przez pandemię, a także by zwiększyć koncentrację i produktywność personelu. Jeszcze dalej poszło inne przedsiębiorstwo z branży erotycznej, właściciel witryny Stripchat. W swoim cypryjskim biurze nie tylko ustanowił analogiczne przerwy, ale i zapewnił pracownikom i pracownicom kapsuły do ich spędzania, wyposażone m.in. w gogle do odbioru wirtualnej rzeczywistości. O ileż to zdrowsze niż tradycyjna przerwa na papierosa!

Zastaw się, a postaw (kurort)

IX Zimowe Igrzyska Azjatyckie odbędą się w 2029 r. w... pustynnej Arabii Saudyjskiej. Władzom tego kraju nie przeszkadza brak stosownych tradycji sportowych, to, że śnieg pada tam raz na kilkadziesiąt lat, ani nawet to, że gospodarzem olimpiady ma być nieistniejący jeszcze kurort Trojena w dopiero powstającej metropolii Neom. Na potrzeby produkcji sztucznego śniegu powstanie wielki zbiornik retencyjny, do którego woda, po odsoleniu, będzie doprowadzana z zatoki Akaba. I tak oto „Nie ma wody na pustyni” Bajmu ostatecznie trafi do lamusa.

To ważna sprawa pachnieć jak guawa

Eksperci z Uniwersytetu Stanu Oregon zmodyfikowali genetycznie drożdże w taki sposób, aby łatwiej i taniej można było produkować piwo o tropikalnych i owocowych nutach. Dzięki ingerencji w genom drożdży badacze uzyskali enzym, który przekształca związki chemiczne występujące w dużych ilościach w chmielu i jęczmieniu w lotne cząsteczki tiolowe o aromacie przypominającym guawę, mango czy ananasa. Czyżby naukowcy wzięli sobie do serca biblijne „po owocach ich poznacie”?

Młódzieź mówi: sprawdzam

Ostawiony podręcznik do nauki przedmiotu historia i terazniejszość można... zhakować. Dzięki inicjatywie #hakujemy_HiT, której pomysłodawcą jest Gazeta.pl, każdy uczeń może samodzielnie zweryfikować informacje zamieszczone w książce Wojciecha Roszkowskiego. – Gdy strony podręcznika skanuje się aparatem w smartfonie, sztuczna inteligencja analizuje ich układ edytorski: rozmieszczenie zdjęć, tytułów czy podtytułów. Po wykryciu fragmentu zakwestionowanego przez ekspertów recenzujących publikację na ekranie pojawia się informacja, że treść wymaga sprostowania – wyjaśnia Adrian Hołota, szef uczestniczącej w akcji agencji Panowie Programiści. Następ-



Paryż solidarny z Iranami po śmierci Mahsy Amini. Uczestniczka protestu na placu Republiki, 2 października 2022 r.

nie algorytm odsyła do rzetelnych opracowań dotyczących poszczególnych zagadnień. Książkowy przykład oddolnego oporu przeciwko oficjalnej propagandzie!

Potów, że ciężko uwierzyć

Skandalem zakończyła się kariera utytułowanego duetu wędkarzy ze stanu Ohio. Okazało się, że podbijali wagę okazów za pomocą otwieranych odważników. Gdy niedawno Jacob Runyan i Chase Cominsky zwyciężyli w kolejnych zawodach, dyrektor imprezy Jason Fischer zwrócił uwagę, że złowione przez nich sandacze są podejrzanie ciężkie. Postanowił rozciąć jedną z ryb i wyszło na jaw, że stawni w regionie zawodnicy są oszustami. Oprócz nakazu zwrotu 44 675 dol. mężczyzn ukarano wykluczeniem z następnych konkursów, a niewykluczone są także konsekwencje prawne. Tak to bywa, gdy komuś zawrócą w głowie wielkie sumy...



ADRES REDAKCJI
03-410 Warszawa,
ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 22 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
fax +48 22 635 84 10 **wew.** 119
przeglad@tygodnikprzeglad.pl

tygodnikprzeglad.pl

Redaktor naczelny: Jerzy Domański
e-mail: j.domanski@tygodnikprzeglad.pl

Pierwszy zastępca redaktora naczelnego:

Paweł Dybicz **e-mail:** p.dybicz@tygodnikprzeglad.pl

Zastępcy redaktora naczelnego:

Roman Kurkiewicz **e-mail:** r.kurkiewicz@tygodnikprzeglad.pl

Robert Walenciak **e-mail:** r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl

Zastępca redaktora naczelnego – sekretarz redakcji:

Joanna Wielgat **e-mail:** j.wielgat@tygodnikprzeglad.pl

Sekretarz redakcji: Agata Gogółkiewicz

e-mail: a.gogolkiewicz@tygodnikprzeglad.pl

Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko

e-mail: a.panko@tygodnikprzeglad.pl

ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY:

Julian Bartosz (Wrocław), Tomasz Borejza (Kraków),

Marek Czarkowski, Regina Dachówna (Zielona Góra),

Paweł Drag, Jakub Dymek, Beata Dżon-Ozimek,

Jakub Katulski, Leszek Konarski (Kraków),

Marek Książek (Olsztyn), Helena Leman (Malbork),

Maja Markłowska-Dzierżak, Mateusz Mazzini,

Tomasz Miłkowski, Lech Miodek, Marcin Ogdowski,

Jan Ordyński, Rafał Piłkuła, Maciej Polkowski,

Eliza Sarnać-Mahoney, Michał Sobczyk,

Małgorzata Szczepańska-Piszcz (Bydgoszcz),

Konrad Szelest, Bronisław Tumiłowicz,

Krzysztof Wasilewski, Kornel Wawrzyniak, Andrzej Werblan,

Elżbieta Wojtalik-Soroczyńska, Artur Zaborski,

Beata Znamirska-Soczała (Bielsko-Biała)

Stali felietoniści: Tomasz Jastrun, Wojciech Kuczek,
Bronisław Łagowski, Andrzej Romanowski,
Andrzej Szahaj, Jan Widacki, Agnieszka Wolny-Hamkało

Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May

Studio graficzne: Dorota Markowska-Burbełka,

Anna Rosiak, Daria Słowińska-Kettner

Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska

Fotodzyktory: Magdalena Głuska, Rafał Pyszner

Fotoreporter: Krzysztof Zuczkowski

Dyrektor ds. wydawniczych i reklamy:

Anna Banaszek **e-mail:** a.banaszek@tygodnikprzeglad.pl

Wicedyrektor ds. wydawniczych i reklamy:

Agata Mierzejewska **e-mail:** a.mierzejewska@tygodnikprzeglad.pl

Koordinator ds. innowacji i mediów społecznościowych:

Sandra Zawadzka **e-mail:** s.zawadzka@tygodnikprzeglad.pl

Sekretariat fundacji i redakcji:

Izabela Strupiechowska

Dział Kolportażu:

tel. +48 22 635 84 10 **wew.** 120

e-mail: kolportaz@tygodnikprzeglad.pl

Wydawnictwa książkowe:

tel. +48 22 635 84 10 **wew.** 111

e-mail: sklep@tygodnikprzeglad.pl

Sprzedaż elektroniczna: sklep.tygodnikprzeglad.pl

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w PRZEGŁĄDZIE bez zgody wydawcy jest zabronione. Przedruk po uzyskaniu zgody wydawcy.

Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez wydawcę jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

Druk: Quad/Graphics Europe Sp. z o.o.

07-200 Wyszkiw, ul. Pułtusk 120

WYDAWCA:

Fundacja Oratio Recta

03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7

NIP: 951-19-67-251, **REGON:** 016275090

KOD SWIFT: WPKPLPP, **IBAN:** PL

Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821





Karolina Skorek Lux et Umbra — między światłem a cieniem

Karolina Skorek posługuje się głównie technikami fotograficznymi, malarskimi oraz grafiki warsztatowej. To specjalistka od zdjęć portretowych, cyfrowo przetworzonych w stylu realizmu magicznego. Urodziła się w Sosnowcu, a po ukończeniu ASP we Wrocławiu mieszka i tworzy w Wielkiej Brytanii. Jej zdjęcia były publikowane m.in. w zagranicznych wydaniach magazynów „Vogue” czy „Harper’s Bazaar”, regularnie podbijają także serca jurorów międzynarodowych konkursów fotograficznych.

Artystka wykorzystuje symbolikę zaczerpniętą z prac wielkich mistrzów malarstwa, układy kompozycyjne i technikę *chiaroscuro* – ostrych kontrastów światłocieniowych.

Salon Sztuki Goldenmark
Katowice, ul. Młyńska 17
do 21 października



NORD OUEST

CHARLOTTE
GAINSBOURG

QUITO
RAYON-RICHTER

NOEE
ABITA

MEGAN
NORTHAM

EMMANUELLE
BEART

PASAŻEROWIE NOCY

FILM MIKHAELA HERSA



AVEC THIBAUT VINÇON AVEC LA PARTICIPATION DE LAURENT POITRENAUX ET DIDIER SANDRE

72^e Internationale
Competition
Berlin

Produced by LAURENT POITRENAUX and DIDIER SANDRE. Screenplay by LAURENT POITRENAUX and DIDIER SANDRE. Directed by MIKHAEL HERSA. Cast: THIBAUT VINÇON, CHARLOTTE GAINSBOURG, QUITO RAYON-RICHTER, NOEE ABITA, MEGAN NORTHAM, EMMANUELLE BEART. Music by LAURENT POITRENAUX. Production: LAURENT POITRENAUX, DIDIER SANDRE. Distribution: LAURENT POITRENAUX, DIDIER SANDRE.

Logo of the film festival and other production companies.

W KINACH OD 7 PAŹDZIERNIKA

WP

FILMWEB

Leidis

P

K
MAG

INSTITUT
FRANÇAIS

eprasa.pl 7942293c5a



**Już ponad 350 protez
dla dzieci z Syrii**

#MisjaProtezy



**Polska Misja
Medyczna**

**Wspieraj:
pmm.org.pl**